

MARGARET MILIAR

Opiekun

Dla Jewell i Russa Krigerów, jak zawsze z wyrazami sympatii.

Szatan z niebiesiech  
Z towarzyszami swemi  
Przez trzy dni i noce upadał...

Caedmon

(Pierwszy, znany z imienia, poeta staroangielski (VII w.),  
autor hymnu o stworzeniu świata.)

Był to koniec sierpnia i dzieciom zaczynała przykrzyć się wakacyjna wolność. Zbyt wiele godzin spędziły, folgując swoim zachciankom. Nogi i ręce miały podrapane, posiniaczone i poparzone trującym bluszczem; morską wodą zmieniła im włosy w siano, a słońce zostawiło na ich policzkach i nosach okrutne czerwone ślady. Wszystkie drzewa zostały zaliczone, ścieżki - zbadane, klify - zdobyte, a fale - pokonane. Teraz, wiedzione jakąś nieuświadomioną tęsknotą, w oczekiwaniu na zbliżający się powrót do sztywnych zasad, dzieci zaczęły przesiadywać na szkolnym boisku.

Mężczyznę w starym, zielonym coupé to miejsce również przyciągało. Każdego dnia w południe Charlie Gowen, zaopatrzone w kanapki i karton z mlekiem, parkował samochód po drugiej stronie ulicy, oddzielony od huštawek i drabinek metalowym płotem i postrzępionymi geraniami. Tu siedział, jadł, pił i patrzył.

Wiedział, że nie powinien tu być. Niebezpiecznie jest być widzianym w pobliżu takiego miejsca.

- ...gdzie gromadzą się dzieci. Rozumiesz, Gowen?
- Chyba tak, sir.
- Wiesz, co to znaczy gromadzić się?
- No, niezupełnie.
- Nie rznij głupa, Gowen. Zaliczyłeś przecież dwa lata college'u.
- Byłem wtedy chory. Jak się jest chorym, niczego się nie zapamiętuje.
- Więc pozwól, że cię oświecę. Masz trzymać się z daleka od miejsc, w których przebywają dzieci - parków, niektórych plaż, kin w soboty po południu, szkolnych boisk i placów zabaw...

Dotrzymanie tych warunków było oczywiście niemożliwe. Przecież nie mógł zawracać i uciekać za każdym razem, gdy tylko dostrzegł jakieś dziecko. Wszędzie było ich pełno, o każdej porze dnia i nocy; raz, podczas spaceru koło północy, natknął się na dziewczynkę i chłopca, którzy nie mieli nawet dwunastu lat. Szorstko nakazał im zmykać do domu, bo inaczej wezwie policję. Zniknęli w mroku i już nigdy więcej ich nie zobaczył, choć cały następny tydzień chodził tą samą trasą, o tej samej porze. Gryzło go sumienie. Kochał dzieci, nie powinien był grozić temu chłopcu i dziewczynce, powinien był dowiedzieć się, dlaczego znaleźli się o tej porze na ulicy, odprowadzić ich do domu i upomnieć ich rodziców, żeby lepiej zajmowali się dziećmi.

Odpakował drugą kanapkę. Pierwsza nie wypełniła pustki, którą czuł w żołądku, drugiej też się to nie uda. Równie dobrze mógłby jeść chmury albo kawałki zmroku, ale nie mógł powiedzieć tego swojemu bratu, Benjaminowi, który przygotowywał drugie śniadania dla nich obu. Musiał bardzo uważać na to, co mówił Benjaminowi. Najmniejsza fantazja czy niespotykane wyrażenie i Ben nabierał tego napiętego, sztywnego wyrazu twarzy, który przypominał Charliemu ich zmarłą matkę. I zaczynały się pytania: Jedzenie chmur, Charlie? Kawałków zmierzchu? Skąd przychodzą ci do głowy takie wariackie pomysły? Na pewno dobrze się czujesz? Dzwoniłeś ostatnio do Louise? Nie sądzisz, że chętnie dowiedziałyby się, co u ciebie słyszą? Słuchaj, Charlie, czy coś cię trapi? Jesteś pewny, że nie?...

Teraz już wiedział, że nie powinien wspominać niczego o chmurach czy zmierzchu. Dziś rano oznajmił po prostu: - Ben, potrzebuję więcej jedzenia.

- Czemu?

- Czemu? Bo jestem głodny. Ciężko pracuję. Zastanawiałem się, może by tak pączki i kilka kawałków ciasta...

- Dla siebie?

- Pewnie, że dla siebie. Dla kogo innego? Och, teraz już wiem, co myślisz. To było ponad dwa lata temu, a ten mały Meksykanin prawie umierał z głodu. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wtrąciła się ta wścibska baba. Dzieciak zjadł kanapkę, najadł się, przez chwilę poczuł się dobrze, tak dla odmiany. Mój Boże, Ben, czy karmienie wygłodzonych dzieci jest przestępstwem?

Ben nie odpowiedział. Zamknął po prostu pojemnik ze zwyczajowymi dwiema kanapkami i kartonem mleka i zmienił temat: - Wczoraj, jak cię nie było, dzwoniła Louise. Przychodzi po kolacji. Pójdę sobie do kina i zostawię was na jakiś czas samych.

- No, ale powiedz sam, Ben, jest to przestępstwo, czy nie jest?

- Louise to wspaniała młoda kobieta. Jeszcze zrobi z ciebie mężczyznę.

- A gdybym to ja był tamtym zagłodzonym dzieckiem i ktoś dałby mi jeść...

- Zamknij się. Nie jesteś zagłodzony, masz nadwagę. I daleko ci do bycia dzieckiem. Masz trzydzieści dwa lata.

To nie nakaz brata zamknął Charliemu usta, tylko ta nagła, okrutna wzmianka o jego wieku. Sam rzadko o tym myślał, bo czuł się taki młody, niewiele starszy od tej dziewczynki wiszącej na drabinkach głową w dół.

Mogła mieć z dziewięć lat. Po długich, bezstronnych obserwacjach, to do niej Charlie poczuł największą sympatię.

Nie należała do piękności i była tak chudziutka, że mógłby ją objąć w pasie samymi dłońmi, ale była od niej wyjątkowa pewność siebie, która zarazem fascynowała i martwiła

Charliego. Gdy wykonywała jakąś nową, niebezpieczną sztuczkę na drabinkach, zdawało się, że rzuca wyzwanie grawitacji i drążkom, aby tylko spróbowały ją powstrzymać. Jeśli spadała - a często jej się to zdarzało - odbijała się od ziemi jak piłka. Po pięciu sekundach znów była na najwyższym drążku drabinki, udając, że nic się nie stało, a serce Charliego, które właśnie zamarło, zaczynało walić ze zdwojonym tempem, arytmicznie, z powodu ulgi i złości.

Dzieci wołały na nią Jessie, i tak też, w zaciszu swojego samochodu, przy zamkniętych oknach, nazywał ją Charlie.

- Uważaj, Jessie, uważaj. Pewność siebie to jedno, ale kości można złamać, dziecko, nawet dziewięcioletnie kości. Powiniennem ostrzec twoich rodziców. Gdzie ty mieszkasz, Jessie?

Opiekun boiska, student wychowania fizycznego z miejscowego college'u, sędziował mecz koszykówki szóstoklasistów. Słońce paliło go w głowę - fryzura na jeża nie chroniła przed bezlitosnymi promieniami. Chciało mu się pić, a od kurzu wzbijanego przez przepychające się dzieci piekły go oczy, ale śledził grę z taką uwagą, jakby odbywała się na stadionie Los Angeles Coliseum. Nazywał się Scott Roberts, miał dwadzieścia lat i dzieci darzyły go wielkim szacunkiem, bo umiał podciągać się na jednej ręce i miał sportowy samochód.

Zobaczył, że przez boisko idą dwie dziewczynki, i starał się ignorować je, dopóki to będzie możliwe, co nie trwało długo, bo jedna z nich zanosila się od płaczu.

Dmuchnął w gwizdek i przerwał grę. - Dobra, chłopaki, pięć minut przerwy. - Zwrócił się do płaczącej dziewczynki: - Co się stało, Mary Martho?

- Bo Jessie spadła.

- Jasne, jasne. - Wierzchem dłoni otarł spocone czoło. - Ale skoro to Jessie spadła, dlaczego nie ona płacze?

- Nie chciało mi się - oznajmiła wyniośle Jessie. Bolało ją w kilku miejscach, ale nic, poza amputacją, nie zmusiłoby jej do płaczu przy chłopcach z szóstej klasy. Podkochiwała się w trzech z nich, a z jednym nawet raz rozmawiała. - Mary Martha zawsze płacze, jak się dzieje coś smutnego w telewizji i jak ludzie spadają.

- A co z twoimi dłońmi? Jakaś poprawa w stosunku do tego, co było w zeszłym tygodniu?

- Są w porządku.

- Pokaż.

- Tutaj, przy wszystkich?

- Właśnie tutaj, przy wszystkich zainteresowanych.

Nawet nie musiał patrzeć w stronę szóstoklasistów, którzy w lot pojęli, o co mu chodzi. Wszyscy natychmiast odwrócili się i zajęli innymi rzeczami - kozłowaniem piłki, wiązaniem sznurówek, podciąganiem szortów, przylizywaniem włosów.

Jessie wyciągnęła ręce i Scott obejrzał je z zatroskaną miną. Wnętrza obu dłoni pokrywały pęcherze w różnych stadiach rozwoju, niektóre nowe i wciąż wypełnione płynem, inne - otwarte i sączące się, jeszcze inne - zagojone i pokryte warstwami blizn.

Scott pokręcił głową i zmarszczył brwi. - W zeszłym tygodniu mówiłem przecież, żeby mama rano i wieczorem polewała ci ręce alkoholem, żeby skóra stwardniała. Nie przekazałaś jej tego.

- Nie.

- Nie masz mamy?

- Jasne, że mam. I tatę, i brata w liceum, i ciocię, i wujka, którzy mieszkają obok - tak naprawdę to nie są nasi krewni, ale nazywam ich tak, bo dają mi mnóstwo rzeczy i tak dalej - i całą masę kuzynów w Kanadzie i New Jersey.



- Kuzyni są za daleko, żeby mogli się tu na coś przydać - oznajmił Scott. - Ale ktoś z pozostałych mógł przecież położyć ci ręce alkoholem.

- Sama mogłabym to zrobić, gdybym tylko chciała.

- Ale nie chcesz.

- Bo szczypie.

- A wolisz leciutkie szczypanie czy poważne zatrucie krwi?

Jessie nie wiedziała, co to zatrucie krwi, ale ze względu na chłopców z szóstej klasy powiedziała, że wcale się nie boi. Uwaga ta natchnęła Mary Marthę do zrelacjonowania całego programu medycznego, który kiedyś widziała w telewizji. W programie tym na zatrucie krwi zachorował sam lekarz, ale dopiero gdy dostał konwulsji, zorientował się, co mu dolega.

- Ale wtedy było już za późno? - domyśliła się Jessie, usiłując zachować pozory braku zainteresowania tematem. - Umarł?

- Nie, nie mógł. Jest przecież głównym bohaterem każdego odcinka, co tydzień. Ale potwornie cierpiał. Powinnaś zobaczyć, jak strasznie się krzywił. Gorzej niż moja mama, gdy wyrywa sobie brwi.

Scott przerwał im opryskliwie: - No dobrze, wy dwie. Dostyc już. Nie chodzi teraz o brwi mamy ani o konwulsje doktora Jakmutam. Chodzi o rozpaprane dłonie Jessie, musimy coś z nimi zrobić.

Jessie oblała się rumieńcem i schowała ręce do kieszeni szortów. Podczas zabaw na drabinkach prawie ich nie czuła, ale teraz, gdy uwaga wszystkich wokół skupiona była na niej, ból stawał się prawie nie do zniesienia.

Scott o tym wiedział. Delikatnie dotknął jej ramienia i poprowadził Jessie w stronę tylnego wyjścia, a podniecona, spocona Mary Martha zamykała pochód. Żadne z nich nie zauważyło zielonego coupe.

- Lepiej idź do domu - powiedział Scott. - Weź gorącą kąpiel, skrop wacik alkoholem, posmaruj nim ręce i trzymaj się z dala od drabinek, dopóki nie pojawi się nowy naskórek. I najlepiej byłoby, gdybyś powiedziała o tym mamie.

- Nie będę musiała. Jeśli wrócę do domu w południe i pójdę do wanny, sama pomyśli zaraz, że umieram.

- Bo może umierasz - stwierdziła rzeczowo Mary Martha.  
- To dopiero, moja najlepsza przyjaciółka umiera...

- Och, zamknij się.

- Ja tylko chcę ci pomóc.

- Taką pomoc zostaw sobie dla najgorszego wroga - oświadczył Scott i odwrócił się, żeby wznowić mecz.

Kątem oka zauważył, że stare, zielone coupe, zaparkowane przy krawężniku, odjeżdża. Tym, co zwróciło jego uwagę, były okna, zamknięte mimo upału i bardzo brudne, przez co nie widać było kierowcy, więc zdawało się, że samochód jedzie sam. Chwilę później pojazd skręcił w boczną uliczkę i zniknął mu z oczu. Podobnie jak obie dziewczynki.

- Możemy wstąpić do mnie - zaproponowała Mary Martha - na tosty z cynamonem, żeby nabrać sił.

- Ja mam sporo sił, ale tosta z cynamonem bym zjadła. Może nawet mogłybyśmy same je zrobić?

- Nie. Moja mama będzie w domu. Zawsze jest.

- Czemu?

- Żeby go bronić.

Jessie już kilkakrotnie zadawała to pytanie i zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź. Oczyma wyobraźni widziała wtedy mamę Mary Marthy, absurdalnie potężną i groźną, siedzącą na ganku ze strzelbą na kolanach. Prawdziwa pani Oakley była drobna i krucha, i cierpiała z powodu licznych alergii niewiadomego pochodzenia.

- Dlaczego musi zostawać w domu, żeby go bronić? -  
drażyla Jessie. - Mogłaby przecież zamknąć drzwi na zamek.

- Zamki go nie powstrzymają.

- Twojego ojca?

- Mojego eks - ojca.

- Przecież nie można mieć eks - ojca. Spytałam ciocię  
Virginie i powiedziała, że żona może rozwieść się z mężem, i  
wtedy to będzie eks - mąż. Ale nie można rozwieść się z  
ojcem.

- Właśnie, że można. Już to zrobiliśmy, moja mama i ja.

- A on tego chciał?

- Nic go to nie obchodziło.

- Mojemu tacie pękłoby serce - oświadczyła Jessie -  
gdybym się z nim rozwiodła.

- Skąd wiesz? Powiedział ci to?

- Nie, bo go nigdy nie pytałam.

- Więc nie możesz wiedzieć na pewno.

Drzewa jakarandy, od których ulica wzięła nazwę, okryte  
były kwieciem, ich opadające płatki pokrywały trawniki i  
chodniki, a nawet samą ulicę purpurowym confetti. Niektóre z  
nich osiadły na krótkich, ciemnych włosach Jessie i na jasnej  
kitce Mary Marthy.

- Założę się, że wyglądamy jak ptaki - zauważyła Jessie. -  
Mogłybyśmy udawać...

- Nie. - Mary Martha zaczęła wydłubywać płatki z  
włosów, jakby to były wszy. - Ja nie chcę.

- Przecież lubisz udawać różne rzeczy.

- Rozsądne rzeczy.

Jessie wiedziała, że to nieprawda, bo ulubioną zabawą  
Mary Marthy było udawanie szpiega FBI. Ale wolała się nie  
kłócić. Drugie śniadanie, które wzięła na boisko, zjadła  
jeszcze przed dziesiątą, i na myśl o cynamonowych tostach  
pani Oakley aż ciekła jej ślinka. Oakleyowie mieszkali na

Jacaranda Street, pod numerem 319, w wielkim domu z sekwojowych desek, otoczonym dębami i eukaliptusami. To rodzice pana Oakleya postawili ten dom i posadzili drzewa. Gdy Jessie zobaczyła go po raz pierwszy, pomyślała, że rodzina Mary Marthy musi być strasznie bogata, ale później odkryła, że na strychu pełno jest rupieci, w garażu na cztery samochody stoi tylko mały volkswagen pani Oakley i rower Mary Marthy, a niektóre z pokoi na górze świecą pustkami - nie ma w nich nawet krzesła.

Kate Oakley nie cierpiała tego domu i bała się tu mieszkać, ale jeszcze bardziej bała się go sprzedać, bo pan Oakley mógłby wykorzystać jakiś kruczek prawny i zagarnąć połowę pieniędzy ze sprzedaży. Więc trwała na posterunku. W dzień wlepiała nienawistny wzrok w dęby, w nadziei że uschną i wpuszczą do domu trochę światła, w nocy słuchała skrzypiących i zawodzących eukaliptusów, marząc, żeby powaliła je wichura.

Mary Martha wiedziała, co jej mama sądzi o tym domu, i nie mogła tego pojąć. Sama nigdy nie mieszkała gdzie indziej i wcale tego nie chciała. Kiedy Jessie przychodziła się do niej pobawić, obie dziewczynki przebierały się na strychu w stare ubrania, urządzały przedstawienia w wielkim garażu, szukały w piwnicy ukrytego skarbu, a gdy pani Oakley nie patrzyła, łąziły po drzewach, polowały w strumieniu na żaby i udawały, że żaby to zaczarowani królewicze. Żaden z królewiczów nie został nigdy odczarowany, bo pani Oakley zawsze nakazywała im wrzucić żaby z powrotem do strumienia: „Biedactwa... Wstydę się za ciebie, Mary Martho, jak mogłaś pozbawić je domów i rodziny. A co ty byś czuła, gdyby zabrał cię jakiś olbrzym?”

Frontowe drzwi domu Oakleyów nie były zamknięte, ale przezroczyście drzwi wewnętrzne były, więc Mary Martha musiała nacisnąć dzwonek. Wydał bardzo cichy dźwięk. Pani

Oakley ściszyła go wkrótce po wyprowadzce pana Oakleya, bo czasem potrafił zawisnąć na dzwonku i domagać się, żeby go wpuściła.

- Jeśli nie ma jej w domu - zaczęła z nadzieją Jessie - mogłybyśmy wspiąć się po tej sykomorze z tyłu, wejść na balkon jej sypialni i po prostu same się wpuścić... Coś jest nie tak z waszym dzwonkiem?

- Nie.

- Nasz jest bardzo głośny.

- Moja mama i ja nie lubimy hałasów.

Wreszcie zjawiła się pani Oakley, mrugając oczami, jakby właśnie ucięła sobie drzemkę albo oglądała telewizję w ciemnym pokoju.

Była drobna, ładna i bardzo schludna w niebieskiej, samodzielnie uszytej sukience z bawełny. Jej jasne, lekko falujące włosy sięgały do ramion, nosiła klapki na obcasach. Czasem, gdy była zła na swoją mamę, Jessie porównywała ją z panią Oakley: jej mama nosiła trampki i dzinsy albo szorty i często zapominała się uczesać, a włosy miała proste i ciemne, jak Jessie.

Pani Oakley pocałowała Mary Marthę w czoło. - Witaj, jagniątko. - Następnie poklepała Jessie po ramieniu. - Dzień dobry, Jessie. Mój Boże, ale ty rośniesz. Za każdym razem jak cię widzę, mogłabym przysiąc, że urosłaś o kolejny cal.

Zawsze gdy to od niej słyszała, czyli średnio raz w tygodniu, Jessie czuła się wyjątkowo doceniona. Jej własna mama mawiała: „Mój Boże, Jessie, czy znowu muszę kupować ci nowe buty?” A brat przezywał ją tyczką, drągalem i szczypiorkiem.

- Dużo jem - powiedziała skromnie. - Mike, mój brat, tak samo. Tata mówi, że powinien dostać na nas podwójną ulgę podatkową.

Jak tylko to powiedziała, Jessie zdała sobie sprawę, że popełniła gafę. Mary Martha dała jej kuksańca, a pani Oakley odwróciła się i poszła sobie. Jej cienkie, wysokie obcasy zostawiały w linoleum małe wgłębienia.

- Nie powinnaś wspominać o ojcach ani o podatkach - szepnęła Mary Martha. - Ale dobrze się stało, bo nie będziesz musiała mówić jej o rękach. Nie cierpi widoku krwi.

- Przecież nie krwawię.

- Ale mogłabyś.

Charlie zapisał imię i adres w środku pudełka z zapalnikami: Jessie, Jacaranda Street 319. Nie był jeszcze pewny, co zamierza zrobić z tą informacją, ale wydała mu się potrzebna, jak pieniądze w banku. Może dowie się, jakie Jessie nosi nazwisko, i napisze list do jej rodziców, ostrzeże ich. „Szanowni Państwo! Nigdy wcześniej nie pisałem anonimowych listów, ale nie mogę już dłużej pozwalać, aby Państwa córka tak bardzo narażała swoje delikatne kości. Dzieci trzeba otaczać staranną opieką, strzec je przed niebezpieczeństwami życia, dbać, by dostawały dobre, pożywne posiłki, aby ich kości miały dobrą izolację i nie łamały się w zetknięciu z okrutną, twardą ziemią. Na miłość boską, błagam, chrońcie swoją małą dziewczynkę...”

Przez wiele lat dom Oakleyów stał samotnie, kilka mil na zachód od małego miasteczka San Felice, otoczony gajami cytrynowymi i orzechowymi. Po większości z tych gajów nie został nawet ślad, ich miejsce zajęły nowe parcele, które cechowały wymyślne nazwy i kusząco niska pierwsza rata. Właśnie do jednego z takich szeregowych, jednakowych domów, kilka budynków dalej, rok temu wprowadziła się Jessie z rodziną. Brantowie przenieśli się tu z mieszkania w San Francisco i byli zachwyceni wolnością, jaką daje własny dom i działka. Jak większość wolności, i ta miała swoją cenę. David Brant musiał odnowić znajomość z obcęgami, kluczami francuskimi i bezpiecznikami, na dzieci spadł obowiązek pomocy w domu, a Ellen Brant przejęła ogród. Kupiła książkę o projektowaniu terenu i drugą - o kwiatach i krzewach południowej Kalifornii z zamiarem pokazania sąsiadom, co potrafi.

Ellen Brant była niedoświadczona, ale uparta. Niektóre z krzewów, przesadzanych sześć czy siedem razy, więdły z nadmiaru troski i nawozu. Pnąca figa, która miała porosnąć komin ogrodowego paleniska, nie chciała się piąć. Liście jaśminu pożółkły i opadały od nadmiaru wilgoci, a Ellen, przekonana, że to z jej braku, włączała podlewaczkę. Rachunki ze szkółki roślin i za wodę były coraz wyższe, ale gdy Dave Brant zaczynał narzekać, ona zwracała mu uwagę, że tymi swoimi wysiłkami podnosi wręcz wartość posesji. Tak naprawdę to nie wiedziała nic o wartości posesji, a ceny nieruchomości niewiele ją obchodziły, po prostu lubiła spędzać czas na świeżym powietrzu, gdy słońce świeciło jej w twarz, a wiatr tajemniczo pachniał morzem.

O pierwszej, gdy obrywała zwiędłe kwiaty z krzewów różanych, w domu zjawiała się Jessie.

Ellen wstała, mrużąc oczy od słońca, i strzepnęła ziemię z dżinsowych szortów i gołych kolan. Była szczupła i bardzo opalona, jak Jessie, jej oczy miały ten sam niezwykły, szarzielony odcień.

- Co robisz w domu o tak wczesnej porze? - spytała, odgarniając sekatorem wilgotny kosmyk włosów przylepiony do czoła. - A przy okazji, przed wyjściem nie posprzątałaś pokoju. Znasz zasady, sama pomagałaś nam je pisać.

Jessie uznała, że nastąpił właściwy moment, aby radykalnie zmienić temat: - Mary Martha twierdzi, że może umieram.

- Doprawdy? Ale chyba nie chciałabyś, aby znaleziono cię martwą w nieposprzątanym pokoju, więc marsz na górę. Ale już!

- Nawet mi nie wierzysz.

- Nie.

- Założę się, że gdyby to Mary Martha przyszła do domu i powiedziała swojej mamie, że umiera, zrobiłaby się straszna afera. Założę się, że zaraz zaroiliby się od karetek i lekarzy, i pielęgniarek, i wszyscy by krzyczeli...

- Jeśli to ci pomoże, mogę zacząć krzyczeć już w tej chwili.

- Nie! Znaczy, jeszcze ktoś mógłby cię usłyszeć.

- O to zazwyczaj chodzi w krzyczeniu, prawda? - uśmiechnęła się Ellen. - No dobrze, koleżanko, mów. Co się stało?

Jessie pokazała jej ręce. Pokrywająca je warstwa cynamonu w niczym nie poprawiła ich wyglądu, ale Ellen Brant nie okazała ani zdziwienia, ani przerażenia. To samo, przynajmniej z tuzin razy, miała ze starszym bratem Jessie, Mikiem.

- Ja to mam chyba najbardziej alpinistyczne dzieci na świecie - oznajmiła. - Gdzie to sobie zrobiłaś?



- Na drabinkach.

- No dobrze. Napuść ciepłej wody do umywalki i zacznij moczyć w niej ręce. Zaraz do ciebie przyjdę. Muszę sprawdzić w książeczce zdrowia, kiedy ostatnio szczepiliśmy cię przeciwko tężcowi.

- Czwartego lipca, w Święto Niepodległości, jak weszłam na plaży na jeżowca.

- Mam nadzieję, że ty nie kuszysz losu.

- A co to znaczy?

- Tego dnia na plaży było co najmniej z tysiąc ludzi. Tylko ty weszłaś na jeżowca.

Choć Jessie wiedziała, że nie miał to być komplement, właśnie tak to odebrała. Bycie jedną osobą na tysiąc; jedyną, która weszła na jeżowca, wydało jej się wielkim zaszczytem, czymś, co nie mogło przytrafić się na przykład Mary Marcie.

Pół godziny później leżała już wygodnie na sofie w salonie, oglądała program w telewizji i sączyła kakao. Na rękach miała białe, za długie rękawiczki mamy, w których czuła się bardzo wytwornie, o ile nie przyglądała się im zbyt blisko.

Przesuwane szklane drzwi były na wpół otwarte, widziała więc, jak mama rozmawia na trawniku z Virginią Arlington, najbliższą sąsiadką. Jessie całkiem lubiła panią Arlington i nazywała ją ciocią Virginią, ale miała nadzieję, że ciocia zostanie na dworze i nie będzie jej przeszkadzała w oglądaniu telewizji.

Okrągła, różowa twarz i białe, pulchne ramiona Virginii Arlington połyskiwały od potu. W czasie całej rozmowy wachlowała się ulotką reklamową, którą właśnie wyjęła ze skrzynki na listy.

Nawet głos miała ciepły: - Zobaczyłam, że Jessie wraca wcześniej do domu i zmartwiłam się. Czy coś się stało?

- Nic groźnego. Od ciągłych zabaw na drabinkach bolą ją ręce.

- Biedactwo. Ma tyle energii, że nigdy nie wie, kiedy powinna przestać. Zupełnie jak ty, Ellen. Ty też się czasem zaharowujesz.

- Jakoś sobie radzę. - Znowu uklękła przy różach, w nadziei, że Virginia zrozumie aluzję i pójdzie sobie. Lubiła Virginie Arlington i doceniała jej uprzejmość i szczodrość, ale bywały momenty, że Ellen wolała pracować w spokoju, bez kogoś nad głową, kto przypominałby jej, że się zaharowuje. Virginia nie miała dzieci, a jej mąż, Howard, często wyjeżdżał w interesach. Zatrudniała ogrodnika na pół etatu, dwa razy w tygodniu przychodziła do niej pani do sprzątanania. Aby otworzyć puszkę, garaż czy okna w samochodzie, musiała tylko nacisnąć guzik. Ellen nie zazdrościła jednak sąsiadce. Wiedziała, że gdyby zamieniły się rolami, robiłaby tyle co teraz, a Virginia w dalszym ciągu nie robiłaby niczego.

Mimo słońca, którego nie cierpiała i zazwyczaj unikała, Virginia nie ruszała się z miejsca. Po pięciu minutach spędzonych na słońcu nos robił jej się czerwony, a na karku pojawiała się wysypka.

- Mam pomysł - rzekła nagle. - Może wymknę się do centrum i kupię Jessie jakieś gry planszowe? Wiesz, coś interesującego, coś, co by ją zajęło i uspokoiło.

- Myślałam, że dzisiaj miał wrócić Howard.

- Wrócił, ale cały czas śpi. Zanim się obudzi, będę już z powrotem.

- Doceniam twoją propozycję, naprawdę - powiedziała Ellen - ale kupiłaś już Jessie tyle zabawek, książek i gier...

- Nie zepsuję jej. Dzisiaj rano czytałam w gazecie, że kupowanie dzieciom prezentów nie psuje ich, o ile rzeczy te nie są substytutem czegoś innego...

Ellen czytała tę samą gazetę. - Miłości.

- Tak.

- A Jessie ma mnóstwo miłości.

- No właśnie, wiem. I jeśli już jest kochana, to drobiazgi, które jej kupuję, nie mogą jej zaszkodzić.

Ellen zawahała się. Niektóre z tych „drobiazgów” wcale drobiazgami nie były - włoski rower z dziesięcioma przerzutkami, kaszmirowy sweter, zegarek na rękę - ale nie chciała wydać się niewdzięczna. - Dobrze, jak chcesz. Ale proszę cię, nie wydaj zbyt dużo pieniędzy. Jessie gotowa pomyśleć, że drogie prezenty należą jej się za każdym razem, jak stanie się jej coś złego. Życie nie wygląda w ten sposób.

Na chwilę zapadła pełna skrępowania cisza, jak cisza, która następuje po kłótni o pryncypia. Martwiło to Ellen. Nie było przecież żadnej kłótni, a nawet nieporozumienia, chodziło o tak drobną kwestię - dwudolarową grę dla Jessie.

Virginia szepnęła: - Chyba cię nie uraziłam, co, El? Może myślisz, że sugerowałam, że Jessie nie ma wystarczającej ilości zabawek i drobiazgów... - W jej jasnoniebieskich oczach czaił się niepokój, a czubek nosa już zdążył poczerwieniec. - Czuję się strasznie, gdybyś tak myślała.

- Cóż, nie myślę.

- Na pewno?

- Przestań, Virginio. Jeśli chcesz kupić Jess jakąś grę, proszę bardzo.

- Możemy udawać, że to od ciebie i Dave'a.

- Nie uznaję okłamywania własnych dzieci. Na każdym kroku są i tak narażone na oszustwa.

Z jednego z tylnych okien domu Arlingtonów dobiegło je męskie wołanie: - Virgie! Virgie!

- Howard się obudził - rzuciła pośpiesznie Virginia. - Pójdę zrobić mu śniadanie i może skoczę do miasta, jak będzie jadł. Powiedz Jessie, że później do niej wpadnę.

- Dobrze.

Virginia przeszła przez trawnik w stronę swojego podjazdu. Po jego obu stronach ciągnął się niski żywopłot z ligustrów, gdzieniegdzie poprzątkany niewielkimi, okrągłymi kępami aksamitek. Wszystko w domu i wokół niego było takie ładne i schludne, że Virginia w ogóle nie miała poczucia, że to do niej należy. Dom był Howarda i sprzątaczkę, ogród - ogrodnika. Virginia była tu gościem i zachowywała się jak gość - grzecznie i bezkrytycznie.

Tylko pies, wielki golden retriever imieniem Chap należał do Virginii. Chciała mieć małego pieska, takiego, którego mogłaby przytulić i trzymać na kolanach, więc gdy z jednego z wyjazdów Howard przywiózł jej Chapa, poczuła się oszukana. Chap był już wtedy dużym psem i ważył pięćdziesiąt funtów, a gdy po raz pierwszy została z nim sama, była przerażona. Jego szczek był donośny i groźny; gdy go karmiła, drżała o swoją rękę; gdy brała go na spacer wokół domu, ciągnął ją na smyczy jak koń powóz bez kół. Stopniowo zorientowała się jednak, że jego szczekanie jest tylko na pokaz oraz że poprzedni właściciele głodzili go i nigdy nie wpoili mu dobrych manier.

Od samego początku pies przywiązał się do Virginii, jakby wyczuwał, że potrzebuje jego towarzystwa i opieki. Howarda ignorował, sprzątaczkę nienawidził, a ogrodnika trzymał na dystans sporadycznym warknięciem. Sypiał w domu i dzięki niemu żaden podejrzany osobnik nie kręcił się ani przy Virginii, ani po okolicy.

Howard obudził się i wypuścił psa na dwór. Chap, entuzjastycznie machając puszystym ogonem, wpadł na podjazd.

Virginia nachyliła się i przycisnęła policzek do jego wielkiego, złocistego łba. - Głuptasie, skąd to czułe powitanie? Nie było mnie raptem dziesięć minut.

Przez otwarte okno kuchni usłyszał to Howard. - Akurat. Pewnie od samego rana siedzisz u Brantów i plotkujesz z Ellen.

Wiedziała, że w założeniu miał to być tylko dowcip. Nic nie mówiąc, weszła tylnymi drzwiami, minęła pomieszczenie gospodarcze i wkroczyła do kuchni. A pies, wciąż w nią wpatrzony - za nią, jakby to jej, a nie Howarda, nie było dwa tygodnie.

Howard zaparzył kawę i przygotowywał bekon na grillu nad piecem. Gdy wracał do domu, lubił zajmować się gotowaniem, bo stanowiło to przyjemny kontrast ze stołowaniem się w restauracjach i jedzeniem potraw, które mu nie smakowały. Jak na tak potężnego mężczyznę był bardzo wybredny.

O głowę wyższy od Virginii, aby pocałować ją w usta, musiał się schylić. - Jesteś jak balsam na moje zmęczone oczy, Virgie.

- Naprawdę? - spytała. - Bekon się pali...

- Nie szkodzi. Tęskniłaś za mną?

- Tak.

- To wszystko: tak?

- Bardzo za tobą tęskniłam, Howardzie.

Łopatką sprawnie przerzucił bekon na drugą stronę, wszystkie cztery kawałki na raz. - Cały czas chcesz, żebym rzucił tę pracę?

- Nie mówiłam ci o tym od ponad roku.

- Wiem. Dlatego zastanawiam się, jak spędzasz czas pod moją nieobecność.

- Jeśli chcesz wiedzieć, zapytaj.

- Pytam.

- Dobrze więc. - Virginia usiadła przy kuchennym stole i złożyła swe piękne, białe dłonie na kolanach. - Każdy dzień zaczynam od szampana na śniadanie. Potem mam lunch z

dziewczynami, oczywiście mocno zakrapiany. Całe popołudnia grywamy w brydża na wysokie stawki, potem idziemy na cocktail party. Następnie kolacja w klubie nocnym i zabawa do rana w wesołym towarzystwie.

- Katorga - uśmiechnął się Howard. - To jak udaje ci się zachować tę zachwycającą urodę?

- Howardzie...

- Wrzuć do tosterka kilka kromek, dobrze?

- Howardzie, naprawdę chciałeś wiedzieć, jak spędzam czas?

- Nie.

- A ja myślę, że tak. Może chciałbyś, żebym prowadziła pamiętnik. Fascynująca by to była lektura. Pikantne zwierzenia o tym, jak zabrałam ubrania do pralni, pożyczyłam książkę z biblioteki, poszłam do spożywczego...

- Przestań, Virgie, dobrze? Tak mi strzeliło do głowy i powiedziałem coś, czego nie powinienem był mówić. Przepraszam. Zapomnijmy o tym.

- Postaram się.

Postawił na stole swój talerz z bekonem i usiadł naprzeciwko niej. - Mam nadzieję, że nie obudziłem cię dzisiaj moim przyjazdem. Chap narobił strasznego hałasu, prawie już mnie przekonał, że wszedłem nie do tego domu co trzeba. Myślałby kto, że przez ten cały czas już zdążył mnie poznać.

- Dobrze pilnuje domu - ucięła i dodała w myślach: Myślałby kto, że przez ten cały czas ja też zdążyłam cię poznać, Howardzie, ale to nieprawda. - Jak było?

- Gorąco - upał w Bakersfield, upał w Los Angeles.

- Tutaj też było gorąco.

- Wyobrażam sobie. Może po południu wybralibyśmy się na plażę? Poleżelibyśmy na piasku, moglibyśmy pospacerować i popływać...

- Brzmi nieźle, ale obawiam się, że nie mogę. Wiesz przecież, jak łatwo dostaję poparzeń słonecznych.

- Mogłabyś założyć wielki słomkowy kapelusz i zabrałybyśmy ten parasol ze stołu na tarasie.

- Nie.

W zdziwieniu przyglądał jej się przez stół. - To było dość stanowcze nie, Virginio. Cały czas się na mnie boczysz?

- Oczywiście, że nie. Tylko że... cóż, z tego parasola już nic nie będzie. Podarł się. Wyrzuciłam go.

- Był prawie zupełnie nowy. Jak to się stało?

- Przez wiatr. Miałam ci powiedzieć. We wtorek wieczorem mieliśmy tu wicherę, Santa Anę z pustyni. Byłam w tym czasie w centrum, a gdy wróciłam, parasol zastałam już w strzępach.

- Więc czemu nie dałaś go do naprawy?

- Druty też były pocięte. Szkoda, że tego nie widziałeś. Wyglądał jak po przejściu huraganu.

- Santa Ana zazwyczaj przewraca bugenwillę koło garażu. Nie zauważyłem, żeby coś jej się stało.

- Może Salvador ją podwiązał.

Wiedziała, że to było dość przekonujące wytłumaczenie. Salvador, mówiący, a w każdym razie udający, że mówi tylko po hiszpańsku, raczej niczemu nie zaprzeczy i niczego nie potwierdzi. Rozciągnie jedynie wargi w szerokim, srebrnozębny uśmiechu, zmruży wesoło mądre, stare oczy i wróci do pracy. Ty mówić, senior, ale jak ja nie słyszeć, ciebie nie być.

We wtorek po południu nie było Santa Any, wiał tylko lekki, rześki wiaterek od oceanu. Virginia nie poszła do miasta, siedziała na ganku i patrzyła, jak Jessie i Mary Martha jeżdżą po chodniku na wrotkach. Jessie wpadła na pomysł, żeby pożyczyć od niej parasol i użyć go jako żagla, z obłądnym skutkiem. Obie dziewczynki i parasol skończyły na

słupie telefonicznym za rogiem. Przy ciasteczkach i koktajlach czekoladowych Virginia powiedziała im: „Nie ma potrzeby rozpowiadać o tym rodzicom. Wiesz, jaka jest twoja mama, Jessie. Zaraz będzie chciała zapłacić za ten parasol, a przecież nie może sobie na to pozwolić. Więc to będzie nasza mała tajemnica, dobrze?”.

Virginia wstała i naląła Howardowi kawy. Ręce jej się trzęsły i robiło jej się niedobrze ze strachu, że Howard podejrzewa ją o kłamstwo. - Przepraszam cię za to wszystko, Howardzie.

- Daj spokój. Przecież nie musisz przeproszać mnie za Santa Anę. A parasol to tylko rzecz. Rzeczy można zastąpić.

- Mogę zaraz pójść do miasta i kupić nowy, a ty poczytasz w tym czasie gazetę.

- Nonsens. Zamówimy i ktoś go nam przyniesie ze sklepu.

- I tak muszę wyjść.

- Musisz? Nawet nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Mieliśmy okazję, Howardzie - pomyślała - tylko jej nie wykorzystaliśmy.

- I tak będziesz czytał gazetę - oświadczyła. - Przecież nie będę siedziała i patrzyła na ciebie, skoro mogę coś w tym czasie zrobić; to byłoby głupie.

- Skoro tak sądzisz - wziął ją za rękę - proszę bardzo. Potrzebujesz pieniędzy? Co chcesz załatwić?

- Pewną sprawę.

- A, bawimy się w tajemniczą damę, tak?

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - powiedziała szczerze.

- Jessie jest chora. Chcę jej kupić jakąś małą grę planszową, żeby ją uspokoić.

- Rozumiem.

Po jego tonie poznała, że to, co zrozumiał, nie sprawiło mu zbyt dużej przyjemności.



- Przykro mi, że mała jest chora - dodał. - Co jej jest?  
- Według Ellen bolą ją ręce od zabawy na drabinkach.  
- To nie brzmi zbyt groźnie.  
- Wiem, ale Ellen ma tendencję do bagatelizowania takich rzeczy. Czasami myślę, że ona w ogóle nie jest w stanie zrozumieć tego dziecka.

- Ze zrozumieniem można łatwo przesadzić i dzieci potrafią to wykorzystać.

- Ale nie Jessie. To naprawdę wspaniała dziewczynka. Wiesz, kiedy ona i ja jesteśmy razem, nie mam z nią najmniejszych kłopotów. Problem dyscypliny nigdy się nie pojawia.

- A dlaczego miałyby się pojawiać? - zauważył sucho. - To ona dyktuje warunki.

Virginia wyglądała na wstrząśniętą. - To nieprawda.

- No dobrze, to nieprawda. Wymyśliłem sobie tylko, że wchodzi tu bez pytania, sama częstuje się tym, co akurat jest w lodówce, wali w pianino, karmi psa, aż ten nie może się ruszać...

- Tak się składa, że pozwoliłam jej karmić psa, jeść i przychodzić tu, kiedy tylko zechce. Nie ma własnego pianina, więc udzielam jej lekcji na naszym, bo według mnie ma talent.

- Posłuchaj, miałem to już wcześniej powiedzieć, ale nie chciałem robić ci przykrości. Skoro i tak zrobiłem ci już przykrość, mogę powiedzieć, co myślę. Za bardzo przywiązujesz się do Jessie.

- Nie będę tego słuchać.

Zatkała sobie uszy i zaczęła kręcić głową. Po chwili wahania Howard chwycił ją za nadgarstki i zmusił do opuszczenia rąk.

- Posłuchaj, Virginio.

- Puść mnie.

- Później. To normalne, że skoro nie mamy własnych dzieci, przywiązałaś się do tej małej. Nienormalne jest, że zajęła w twoim życiu miejsce wszystkich innych. Nie spotykasz się już z przyjaciółmi, nawet ze mną nie chcesz spędzać czasu, gdy jestem w domu.

- Dlaczego miałabym spędzać z tobą czas, skoro tylko się na mnie wyżywasz?

- Nie wyzywam się na tobie. Ostrzegam cię dla twojego dobra, że czeka cię zawód. Jessie nie jest twoja, nie masz nad nią władzy. A jeśli coś by się jej stało?

Pobladła Virginia patrzyła na niego tępym wzrokiem. - To by ci pasowało, co?

- Nie. Tak się składa, że lubię Brantów i cenię ich towarzystwo. Ale nie są moją jedyną pasją. Mógłbym żyć bez nich. A ty?

- Myślę, że jesteś zazdrosny - odparła wolno. - Myślę, że jesteś zazdrosny o dziewięcioletnią dziewczynkę.

Puścił jej ręce, jakby to oskarżenie nagle go obezwładniło. Z jękiem rozpaczony wyszedł do salonu. Virginia stała nieruchomo pośrodku kuchni, słuchając szelestu gazety Howarda, skrzypienia fotela, na którym usiadł, i wojowniczego bicia własnego serca.

O 12:50 Charlie Gowen wrócił do hurtowni papierniczej, w której pracował. Zawsze był punktualny, częściowo z usposobienia, a częściowo dlatego, że jego brat, Benjamin, wpajał mu to od lat. „No cóż, masz swoje wady, Charlie, i może nie jesteś w stanie nic na nie poradzić. Ale możesz przestrzegać drobnych zasad - nie spóźniać się, porządnie wyglądać, mieć zawsze uczesane włosy, nie palić, nie pić, ciężko pracować... Drobne sprawy, ale wszystkie razem dobrze wyglądają w raporcie. W raporcie zatrudnienia, rzecz jasna”.

Charlie wiedział, że nie chodziło mu o raport zatrudnienia, ale dał spokój i posłuchał rady Bena, bo wydała mu się rozsądna, no i od śmierci mamy nie miał nikogo innego, kogo mógłby słuchać. Czuł też, że musi być lojalny wobec Bena; żona Bena rozwiodła się z nim właśnie z powodu Charliego. Odeszła, zostawiając na łóżku liścik: „Nie wracam i nie próbuj mnie szukać. Mam już dosyć tej hańby”.

Charlie pracował w hurtowni papierniczej jako magazynier. Lubił swoją pracę. Przechadzając się wzdłuż wąskich regałów, wypełnionych od podłogi do sufitu, czuł się jak w domu. Regały mieściły tyle różnych rzeczy, że nawet pan Warner, właściciel, nie mógł wszystkich zliczyć: notesy, pióra, ołówki, dekoracje i upominki okolicznościowe, miotły, szczotki, mopy, taśmy do maszyn do pisania, zszywacze, papeterie, tabliczki z napisami „Nie wchodzić”, „Do wynajęcia”, „Teren prywatny”, „Wchodzić bez pukania”, gumki, notesy do zapisów brydżowych, confetti, plastikowe pary młode na tort weselny, wielkie rolki kolorowych biletów, dla których nie wymyślono jeszcze przeznaczenia, tablice, kredę, atrament i tysiące ryz papieru.

Wszystkie artykuły w magazynie były bardzo łatwopalne, i między innymi dlatego właśnie zatrudniono Charliego. Nosił

zapałki dla wygody innych, ale sam nie palił od czternastego roku życia, kiedy to Ben przyłapał go z papierosem i stłukł za to na kwaśne jabłko. Pan Warner, właściciel, był tak zachwycony, że znalazł kogoś, kto naprawdę nie pali, a nie kogoś, kto rzucił kilka tygodni czy miesięcy temu, że zatrudnił Charliego, nie wykazując specjalnego zainteresowania jego przeszłością. Charlie przychodził wcześniej i zostawał do późna, był miły i szczerzy, zawsze gotów wyświadczyć komuś przysługę, nie prosząc o nic w zamian.

W uliczce z tyłu budynku Charlie spotkał przy wejściu jednego ze swoich kolegów, młodego Eda Hinesa. Ed oparty był o ścianę, w rękę trzymał niezapalony papierosa.

- Hej, Charlie, masz ognia?

- Jasne. - Rzucił mu pudełko zapalek. - Chciałbym je mieć z powrotem, o ile nie masz nic przeciwko temu. W środku mam zapisany adres.

Ed wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I telefon?

- Nie. Jeszcze nie.

- Ty szczęściarzu!

- Nie. Nie, to nie tak... - przerwał, zdając sobie nagle sprawę, że Ed i tak nie pojmie prawdy, że na Jacaranda Street 319 mieszka rodzina, która zaniedbuje małą, śliczną dziewczynkę, Jessie.

Ed oddał mu zapałki. - Dzięki, Charlie. Wiesz co, stary ma jakiś problem. Lepiej idź tam do niego, od frontu.

Warner siedział za biurkiem - mały człowieczek niemal całkowicie przesłonięty stertą papierów: zamówieniami, fakturami, paragonami, rachunkami, korespondencją. Część z nich miała trafić do akt, część - po prostu zniknąć. Warner założył firmę czterdzieści lat temu. Od tego czasu rozrosła się i prosperowała, ale Warner wciąż starał się kierować nią tak jak kiedyś; jakby każdego klienta znał z nazwiska, a każde zamówienie - z pamięci. Prowadziło to do wielu pomyłek, a z

każdą z nich Warner stawał się coraz starszy i coraz bardziej uparty. Interes wciąż jednak przynosił pieniądze, bo w całym San Felice nie było drugiej hurtowni papierniczej.

Charlie stanął w drzwiach, starając się trzymać głowę wysoko, tak Jak uczył go Ben. Było to trudne, a pan Warner i tak nie patrzył. Na jego lewym ramieniu, niczym kruk, przycupnął telefon. Kruk przemawiał głośno i szybko, damskim głosem.

Pan Warner zakrył mikrofon ręką i spojrzał na Charliego. - Wiesz coś o jakichś szkieletach?

- Szkieletach? - Słowo to stanęło Charliemu w gardle i wydostało się na wierzch siłą. Zupełnie zdrętwiał. Nie mógł nawet powiedzieć, że jest niewinny, że niczego nie zrobił i nic nie wie o żadnych szkieletach. Mógł tylko kręcić głową.

- Co z tobą? - zdenerwował się Warner. - Chodzi mi o te kartonowe szkielety naturalnej wielkości, które miewamy w okolicach Halloween. Jakaś kobieta twierdzi, że zamówiła tuzin na zabawę z okazji zjazdu patologów, która odbędzie się jutro. - A do telefonu rzucił: - Nie mogę znaleźć pani zamówienia, pani Johnson, ale sprawdzę jeszcze raz. Obiecuję, że będzie pani miała swoje szkielety, nawet jeśli będę musiał, ha, ha, zastrzelić kilku moich pracowników. Tak, oddzwonię do pani. - Odwiesił słuchawkę, znowu zwracając się do Charliego: - I wierz mi, nie żartowałem. Zacznijmy lepiej szukać.

Charlie poczuł taką ulgę, że aż zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć się o framugę. - Tak jest. Natychmiast. Gdybym tylko wiedział, czego dokładnie szukać...

- Paczki z Whipple Novelty w Chicago.

- Przyszła dzisiaj rano, sir.

- Naprawdę? A to dopiero. - Warner wyglądał na mile zaskoczonego, jak człowiek, który nie spodziewał się dobrych wieści i wiedział, że na nie nie zasługuje. - A więc powierzam

to tobie, Charlie. Zaczynasz już czuć ten biznes. Ja proszę o szkielety, ty dajesz mi szkielety.

- Nie. Nie, ja...

- A przy okazji, widziałem cię wczoraj. Była z tobą ładna młoda kobieta. Dziwne, mógłbym przysiąc, że gdzieś już ją widziałem. Może to jedna z naszych klientek, co?

- Nie, sir. Pracuje w bibliotece, w dziale podręcznym.

- To wszystko wyjaśnia - oświadczył Warner. - Czyli bibliotekarka, tak? Musi być całkiem bystra.

- Tak, sir.

- Dobrze mieć bystrą żonę.

- Nie, nie. Ona nie jest... to znaczy, my nie...

- Nie walcz z tym, Charlie. Na każdego z nas wcześniej czy później przychodzi pora.

Charlie chętnie zostałby i wytłumaczył mu, na czym polega jego związek z Louise, ale pan Warner podniósł już słuchawkę i wykręcał numer, a Charlie i tak nie wiedział, czy byłby w stanie to wyjaśnić.

Czasami wydawało mu się, że zna Louise całe życie, a czasami - że w ogóle jej nie zna. Poznali się z rok wcześniej, w bibliotece. Charlie chodził tam na polecenie Bena: „Chyba nie chcesz całe życie być magazynierem, Charlie. Założę się, że są zawody, o których nawet ci się nie śniło. Jeden z nich może być tym wymarzonym właśnie dla ciebie, ale musisz się rozejrzeć, zbadać teren, zorientować się, jakie masz możliwości”.

Każdego wieczora Charlie chodził więc do biblioteki i czytał książki, gazety i czasopisma branżowe o elektronice, fotografii, hodowli indyków, handlu nieruchomościami, zarządzaniu zasobami ludzkimi, inżynierii górniczej, rysowaniu komiksów, leśnictwie, stolarstwie artystycznym, chowie szynszyli, matematyce. Prawie nie zwracał uwagi na kobietę, która pomagała mu w wyszukiwaniu materiałów, aż

pewnego wieczora powiedziała: „Mój Boże, pan to dopiero ma szerokie zainteresowania, panie Gowen”.

Charlie zagapił się na nią, zszokowany tym nagłym zainteresowaniem i tym, że zna jego nazwisko. Biblioteka wydawała mu się miejscem ciepłym, bezpiecznym i cichym, w którym ludzie nie mieli nazwisk, twarzy czy problemów. Ta kobieta nie miała prawa tego niszczyć, nie miała prawa...

Ale następnym razem założył nową koszulę i krawat i wkroczył do biblioteki z bardzo poważną miną, pasującą do człowieka, który ma szerokie zainteresowania. Wziął groźnie wyglądający tom o architekturze, usiadł przy stoliku i znalazł książki, kątem oka, patrzył na Louise, tak jakby jeszcze nigdy nie widział kobiety i nie był pewny, czego się po tej dziwnej istocie spodziewać.

Po tym, jak zwracały się do niej inne bibliotekarki, zgadywał, że jest szefową działu, czyli musi mieć pod trzydziestkę. Figurę miała jednak drobną jak dziewczynka; ledwo zarysowane piersi i biodra, a jej ruchy były szybkie i lekkie, jakby ważyła tyle co piórko. Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, coś w nim wzbierało. Czuł się potężniejszy i silniejszy.

Zaczęło do niego docierać, że robi się późno i ludzie wychodzą z biblioteki.

Louise wstała zza swojego biurka i podeszła do stolika, przy którym siedział. - Nie chciałabym panu przeszkadzać, panie Gowen, ale już zamykamy.

Charlie niezgrabnie wstał. - Strasznie przepraszam, nie zauważyłem. Byłem... byłem pochłonięty czymś innym.

- Musi pan mieć znakomitą koncentrację, żeby móc uczyć się w takim miejscu.

- Nie. Naprawdę nie mam.

- Chciałabym wypożyczyć panu tę książkę do domu, ale jest z księgozbioru podręcznego, więc to niedozwolone. Chyba że zachodzą jakieś wyjątkowe okoliczności...

- Nie. Nie zachodzą. - Zwiesił głowę i wbił wzrok w podłogę. Prawie czuł za sobą Bena, powtarzającego, żeby stał prosto, wysoko trzymał głowę i dumnie się nosił. - To znaczy, nie jestem architektem, czy kimś takim. O architekturze wiem tyle co nic.

Nie miał zamiaru jej tego mówić, w ogóle nie planował z nią rozmawiać. Chciał, żeby myślała, że jest mężczyzną z wykształceniem i pochodzeniem, mężczyzną, którego trzeba szanować. Teraz słyszał, jak jego głos niszczy to wszystko, i czuł się bezsilny.

- Nic a nic - dodał.

- Ja też nie - Louise oznajmiła wesoło. - Chyba że o tym budynku, bo w tej dziedzinie mogę uchodzić za eksperta. Potrafię dokładnie przewidzieć, gdzie w styczniu będzie przeciekał dach.

- Potrafi pani? Gdzie?

- W dziale sztuki i muzyki. Poprzednio przeciekał w skrzydle dziecięcym, ale jakoś go połatali. A rok wcześniej tutaj, praktycznie nad moim biurkiem. Więc teraz kolej na dział sztuki i muzyki.

- To wrócę tu w styczniu i sprawdzę, czy miała pani rację. Zapadła chwila ciszy, po czym Louise spytała cicho: - To brzmitak, jakby pan dokądś wyjeżdżał. Długo pana nie będzie?

- Nie.

- Będziemy za panem tęsknić.

- Nie. To znaczy, chyba źle się wyraziłem. Nigdzie się nie wybieram.



- Nie wyraził się pan źle. Po prostu wyciągnęłam pochopny wniosek. Mój tata twierdzi, że zawsze to robię. Przepraszam.

- Nawet gdybym chciał, nie mogę wyjeżdżać.

Charlie znów poczuł za sobą Bena: Przestań się pomniejszać, Charlie. Zanim wszystko wypaplesz, daj ludziom szansę, żeby mogli zobaczyć twoje mocne strony. Musisz udawać, musisz wykształcić w sobie umiejętność zaprezentowania się od jak najlepszej strony.

- Bez specjalnego pozwolenia nie mogę nawet opuszczać kraju - dodał.

Louise uśmiechnęła się, biorąc to za żart. - Czyjego pozwolenia?

- Mojego kuratora sądowego.

Nie chciał czekać, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Odwrócił się i odszedł, niezgrabnie potykając się o własne stopy, jak nastolatek nieprzyzwyczajony jeszcze do nowego wzrostu.

Następne trzy wieczory spędził w domu na czytaniu, oglądaniu telewizji i graniu w karty z Benem. Wiedział, że Ben jest z natury podejrzliwy, więc starał się rozwiać wszelkie podejrzenia dużo mówiąc, wspominając dzieciństwo i powtarzając kawały oraz dykteryjki zasłyszane w pracy.

Ben nie dał się nabrać. - Dlaczego nie chodzisz już do biblioteki?

- W tym tygodniu byłem trochę zmęczony.

- Nie wyglądasz na zmęczonego.

- Człowiekowi od czasu do czasu potrzebna jest jakaś zmiana. Spędzanie każdego wieczora w bibliotece zaczynało mnie nużyć.

- A to cię nie nuży? - Ben rozejrzał się po pokoju. Od czasu śmierci matki nic się w domu nie zmieniło. Krzesła, stoły, lampy wyglądały jak przytwierdzone na stałe. - Słuchaj, Charlie, jeśli coś się stało, mam prawo wiedzieć co.

- Czemu?

- Bo jestem twoim starszym bratem i odpowiadam za ciebie.

- Nie, nie odpowiadasz - pokręcił głową Charlie. - Sam za siebie odpowiadam. Cały czas powtarzasz mi, żebym dorósł. Ale jak mam to zrobić, skoro cały czas czuję na karku twój oddech? Nigdy nie pozwalasz mi działać samodzielnie.

- Póki mogę, nie pozwolę ci robić z siebie głupka.

- A więc już nie możesz. Koniec. Dość. - Charlie zaczął chodzić po pokoju, w desperackim geście objął rękoma klatkę piersiową. - Zrobiłem z siebie głupka i nic mnie to nie obchodzi, mam to gdzieś.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie.

- Lepiej by było, gdybyś opowiedział. Jeśli to nic poważnego, będę cię krył.

- Cały czas mnie kryjesz, a ja się cały czas odkrywam. W tę i z powrotem, jak piła, kiedy to się skończy?

- To zależy od ciebie.

Charlie stanął przy oknie. Na zewnątrz było ciemno, nie widział ulicy, tylko siebie, wypełniającego wąską ramę okienną jak obraz, który wymknął się spod kontroli artysty i wyszedł poza płótno. Tłusta warstewka brudu pokrywająca szybę zmiękczała mu rysy. Wyglądał bardzo młodo, miał szerokie ramiona i wąską talię, na czoło opadał mu kosmyk jasnobrązowych, kręconych włosów, a po policzkach toczyły się dwie łzy.

Ben też dostrzegł te łzy. - Boże, co ty znowu zrobiłeś?

- Coś... coś zniszczyłem.

- Wydajesz się zaskoczony - stwierdził gorzko Ben - jakbyś nie wiedział, że niszczenie to twoja specjalność.

- Przestań. Przestań mnie męczyć. Przestań prawić mi kazania.

- Powiedz mi, co się stało.

I Charlie powiedział mu, a Ben siedział w bujanym fotelu z drewna wiśniowego, który należał kiedyś do ich matki, i bujał się łagodnie w przód i w tył, zupełnie jak ona, gdy martwiła się o Charliego.

- Nie wiem, czemu to powiedziałem, Ben, naprawdę nie wiem. Wymknęło mi się, jak beknięcie. Nie miałem nad tym żadnej kontroli, rozumiesz?

- Jasne, rozumiem. - W głosie Bena słychać było znużenie. - Rozumiem, że musisz przedstawiać się w złym świetle. Jak tylko coś zaczyna iść w dobrym kierunku, ty tylko otwierasz usta i katastrofa gotowa... Kto wie? Ta kobieta może była tobą zainteresowana, może szykował się miły związek... Boże, miej go w swojej opiece! Przydałaby ci się przyjaciółka. Ale nie, ty nie mogłeś trzymać gęby na kłódkę nawet na tyle, żeby dowiedzieć się, jak ma na imię... Nie chciałbyś mieć przyjaciółki?

- Chciałbym.

- Więc czemu to robisz, do diabła?

- Nie wiem.

- No cóż, teraz to już skończone. Nie ma sensu o tym dyskutować. - Ben wstał ciężko z fotela. - Pewnie nie będziesz już chadzał do biblioteki?

- Nie mogę.

- Mógłbyś, gdybyś chciał. Gdybym to był ja, poszedłbym tam jak gdyby nigdy nic i udawał, że to wszystko był żart.

- Ona wiedziała, że to nie był żart.

- Skąd możesz wiedzieć? Mówiłeś przecież, że odwróciłeś się i wyszedłeś. Nie zostałeś, żeby patrzeć, jak zareaguje, więc nie możesz być pewien. Równie dobrze mogło ją to rozbawić.

- Przestań. To nie ma sensu.

- Spodziewanie się najgorszego też nie ma sensu. Jesteś przystojny. Każdą kobietę mógłbyś owinąć sobie wokół małego palca, gdybyś tylko chciał. Gdybyś trzymał głowę wysoko, wyprostował się, gdybyś myślał pozytywnie, a nie negatywnie, gdybyś udawał...

Charlie znał wszystkie „gdybyś” na pamięć, łącznie z tym, którego nigdy nie usłyszał: „Gdybyś się ożenił, mógłbyś mnie trochę odciążyć”.

Następnego popołudnia, gdy wrócił do domu, na kuchennym stole, oparty o cukiernicę, czekał na niego list. Charlie rzadko dostawał listy, więc chciał się nim nacieszyć, potrzymać go w dłoniach, zbadać małe, równe pismo. Ale z sypialni wyszedł Ben, który zmienił właśnie swój porządny gabardynowy garnitur na dżinsy i T - shirt.

- Jest dla ciebie list.

- No tak.

- Nie otworzysz go?

- Jeśli chcesz.

- Jeśli ja chcę? - zirytował się Ben. - Do jasnej cholery, a co mnie do tego? To twój list.

Charlie nie kłócił się, choć wiedział, że list nie jest tak naprawdę jego. Nie miał nic, co byłoby jego wyłączną, osobistą własnością; nie posiadał więcej niż pięcioletnie dziecko. List równie dobrze mógłby być zaadresowany do Bena, bo Ben i tak go przeczyta, zupełnie jakby Charlie w momencie kryzysu zapominał alfabetu.

Charlie rozciął kopertę nożem kuchennym i rozłożył niewielki arkusik papieru listowego:

Szanowny Panie Gowen!

Chciałam powiedzieć to Panu osobiście, ale od poniedziałku nie przychodzi Pan do biblioteki, muszę więc uciec się do listu. Pańska odwaga i szczerść głęboko mnie poruszyły. Bardzo niewielu ludzi zdobyłoby się na taką

otwartość. Może zabrzmiało to zbyt arogancko, ale mam cały czas nadzieję, że był to akt zaufania, jakim mnie Pan obdarzył. Jeśli tak, postaram się cały czas być godną Pańskiego zaufania.

Z poważaniem, Louise Lang

PS A jeśli chodzi o tę książkę o architekturze, to udało mi się wypożyczyć ją dla Pana na miesiąc, jeśli tylko Pan chce.

- No? - spytał Ben. - Od kogo?

- Od niej.

- Od niej?

Lewą ręką zwiniętą w pięść Charlie wciąż pocierał sobie szczękę, jakby szukał miejsca, w które najlepiej zadać cios. - Ona... ona nie zrozumiała. To wcale nie było tak. Wcale taki nie jestem. Nie jestem taki, jak ona twierdzi.

- O czym ty do diabła mówisz?

- Nie jestem... nie jestem ani odważny, ani szczery, ani otwarty. Ben wziął list i zaczął go czytać, podnosząc brwi i przygryzając

wargę.

Charlie obserwował go z niepokojem. - Co to znaczy, Ben?

- To znaczy, że chce się znowu z tobą zobaczyć.

- Ale dlaczego?

- Bo się jej spodobałeś. Nie myśl nad tym. Po prostu ciesz się. Spodobałeś jej się, więc chce cię znowu zobaczyć. A ty też chcesz ją zobaczyć, prawda?

- Tak.

- No to świetnie. Zrób to. Zaraz po kolacji.

- Dobrze - oświadczył Charlie. - Muszę jej to wyjaśnić.

Nie mogę pozwolić, aby myślała, że mam te wszystkie zalety, skoro to nieprawda.

Ben przyjął to ze spokojem, nie kłócił się, nie podnosił głosu i nie prawił mu kazania. Ale po kolacji i zmyciu naczyń

znowu założył gabardynowy garnitur, który nosił do pracy w kawiarni, gdzie był kierownikiem. Następnie zwrócił się do Charliego: - Mamy taki piękny wieczór, że może przejdę się z tobą do biblioteki.

- Przecież na dworze jest mgła.

- Lubię mgłę.

- Ale szkodzi ci na oskrzela.

- Idę z tobą - oświadczył z naciskiem Ben - bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, ty na pewno coś skopiesz. I tak skopiesz, ale przynajmniej będę mógł spróbować cię powstrzymać.

Reszta wieczoru nigdy nie była dla Charliego zbyt jasna. Pamiętał mgłę i niewyraźnego Bena, idącego obok w zupełnej ciszy. Pamiętał, że w bibliotece przystanął przed regałem z gazetami, a Ben podszedł do biurka Louise i rozmawiał z nią. Co jakiś czas obrzucali go współczującymi, dobrotliwymi spojrzeniami i Charlie wiedział, że razem tworzą właśnie jakąś fikcyjną postać, osobę, która nie istnieje, noszącą nazwisko Charlie Gowen; odważnego, szczerego i otwartego mężczyznę, zbyt skromnego, aby móc chwalić się tymi zaletami; marzenie każdej panny i radość każdego brata.

Scena w bibliotece miała miejsce rok temu. Od tego czasu Louise stała się niemal częścią rodziny, ale Charlie często miał wrażenie, że przez ten rok niewiele się zmieniło. Cały czas stał osobno, oddzielony od nich długością pokoju, niedostrzeżony, nierozpoznany, a Ben i Louise rozmawiali, wciąż cyzelując swoje dzieło, lalkę imieniem Charlie. Byli z niej tak dumni, że Charlie starał się ją naśladować, najlepiej jak potrafił.

Odnalazł pudło z kartonowymi szkieletami i przyniósł je z zaplecza. Sekretarka pana Warnera nie wróciła jeszcze z lunchu, a pan Warner właśnie wyszedł, więc w biurze nie było nikogo. Charlie pierwszy raz znalazł się w pustym biurze, miał więc dziwne, choć nie takie nieprzyjemne wrażenie, że robi

coś niedozwolonego. Na przykład wchodzi do sypialni śpiącego, nagiego i bezbronno człowieka i przeszukuje mu kieszenie, torby, szuflady biurka i walizki.

Żeby zrobić na biurku pana Warnera miejsce dla pudła, musiał przesunąć telefon. I nagle przyszło mu do głowy, by zadzwonić do Louise. Wykręcił numer biblioteki i poprosił o przełączenie do działu podręcznego.

- Louise? To ja, Charlie.

- Dzień dobry. - Jak zwykle wydawała się bardzo szczęśliwa, że słyszy jego głos. - Masz znakomite wyczucie czasu. Dopiero co przyszłam do pracy...

- Louise, wyświadczyłabyś mi niewielką przysługę?

- Masz to jak w banku.

- Mogłabyś sprawdzić adres w spisie ulic i powiedzieć mi, kto pod nim mieszka? Jacaranda Street 319. Nie musisz robić tego od razu. Po prostu zapisz nazwisko i daj mi je, jak przyjdiesz do nas dziś wieczorem.

- Co to za tajemnica?

- Żadna. To znaczy, to nie żadna tajemnica, opowiem ci o niej dzisiaj wieczorem.

- Dobrze się czujesz?

- Pewnie, że tak. Dlaczego?

- Wydajesz się podekscytowany.

- Nie, skądże - rzucił i odłożył słuchawkę.

Chyba zwariowała - pomyślał. - Czemu miałbym być podekscytowany? Czym się tu ekscytować?

Mary Martha Oakley siedziała na parapecie w pokoju od frontu i bawiła się z kotem, Puddingiem. Miała mieszane uczucia w stosunku do tego kota. Czasami kochała go tak, jak tylko samotne dziecko może kochać zwierzę, A czasami nie mogła na niego patrzeć, bo był żyjącym symbolem zmian, jakie w ciągu ostatnich dwóch lat zaszły w jej życiu. Mama przyniosła go ze sklepu ze zwierzętami tego dnia, gdy tata wyprowadził się z domu.

- Widzisz, jagniątko? To kotek, taki, jakiego zawsze chciałaś. Dokąd poszedł tata?

- Spójrz, jakie ma śliczne oczka i słodki nosek. Cudowny, co? Czy kiedyś wróci?

- Wymyślmy dla niego jakieś pyszne imię. Może Pudding?

Po kocie pojawiły się kolejne zmiany: nowe zamki w drzwiach, oknach na dole i w garażu oraz nowy, zastrzeżony numer telefonu, którego Mary Marcie nie wolno było nikomu podawać, nawet nauczycielom i najlepszej przyjaciółce, Jessie. Z pokoiów na górze zaczęły znikać meble, z jadalni - srebra i porcelana, ze ścian - obrazy, a z piwniczki na wina śliczne butelki. Przestała przychodzić kucharka i ogrodnik, a potem także sprzątaczką, i dostawca ze sklepu spożywczego, i krawcowa, która kiedyś bywała u nich co miesiąc, oraz mleczarz. Teraz Kate wszystko, łącznie z zakupami w markecie, robiła sama.

Pudding był jedyną zmianą, jaką Mary Martha zaakceptowała i polubiła. Jego włochatym, bezstronnym uszom powierzała wszystkie sekrety i dylematy, bo choć nie mógł jej odpowiedzieć czy pocieszyć, przynajmniej słuchał, mrugając oczami i nieraz zamiatając ogonem.

- Mary Martho, wołałam cię.



Podniosła głowę i zobaczyła, że mama stoi w drzwiach i wygląda na zgrzaną i rozdrażnioną, jak zawsze gdy pracowała w kuchni. - Nie słyszałam.

- Nie szkodzi, nic ważnego. Chciałam tylko... - Chciałam tylko z kimś porozmawiać. - Chciałam tylko powiedzieć, że obiad będzie trochę później. Te hamburgery rozmrażają się dłużej niż myślałam... Nie pozwól kotu obgryzać ci kucyka. To niehigieniczne.

- Jest tak samo czysty jak ja.

- Nie jest. Poza tym powinien wyjść na dwór. Ma za mało świeżego powietrza i słońca.

Pani Oakley pochyliła się, żeby wziąć kota, i wtedy właśnie dostrzegła stare zielone coupe, zaparkowane po drugiej stronie ulicy. W południe, gdy otwierała dziewczynkom drzwi, też je widziała, ale teraz zdała sobie sprawę, że to nie mógł być przypadek. Wiedziała, kto siedzi za kierownicą, kto przypatruje im się przez zakurzone, zamknięte okno i jakie brudne myśli chodzą mu po tępej głowie.

Ścisnęła kota tak mocno, że aż zamiauczał z bólu, ale głos jej nie drgnął. - Mary Martho, martwią mnie te recenzje książek, które musisz napisać przez wakacje. Ile miałaś zadane?

- Dziesięć. Ale został mi jeszcze miesiąc.

- Miesiąc to wcale nie tak długo, jak ci się wydaje, jagniątko. Lepiej pójdź do swojego pokoju i weź się za którąś. W końcu chcesz chyba zrobić dobre wrażenie na nowej pani.

- Ona już mnie zna. To tylko pani Valdez.

- Będiesz się ze mną sprzeczać, jagniątko?

- Raczej nie.

- No właśnie, aniołku. Jeśli chcesz, możesz wziąć na górę Puddinga.

Mary Martha wyszła do przedpokoju, kot za nią. Choć nie potrafiła ubrać tego w słowa, miała wrażenie, że im więcej

pieszczotliwych przydomków stosuje jej mama, tym bardziej się od Mary Marthy oddała. Za każdym jagniątkiem i aniołkiem kryła się jakaś czarna owca i diabeł.

- Mamo...

- Co tam, pieściszku?

- Nic - powiedziała. - Nic.

Kate Oakley, jak tylko usłyszała trzask zamykanych drzwi pokoju Mary Marthy, rzuciła się do telefonu w przedpokoju. Bez dziecka w pobliżu mogła pozwolić ciału na niekontrolowane reakcje. Drżenie rąk i garbienie ramion przyjęła nieomal z ulgą.

Wykręciła numer. Zaczekała dziesięć, piętnaście sygnałów, ale nikt nie odbierał. Wtedy nabrała pewności, że jej obawy potwierdziły się.

Wykręciła kolejny numer, jej wargi poruszały się w niemej modlitwie, aby Mac wciąż był w biurze, zatrzymany przez klienta albo jakąś lekturę akt. Skojarzyła czasy, kiedy to ona zatrzymywała go w biurze, pomyślała o łzach, które wypłakała, siedząc naprzeciw Maca. Gdyby mogła je zbierać, w biurze Maca brodziłoby się w słonej wodzie po kolana, ale wszystkie te łzy i tak były na nic. Płakała za dniem wczorajszym, jakby miał dać się poruszyć płaczem i jakoś się cofnąć... Nie płacz, Kate. Będiesz zawsze kochana i doceniana, i zawsze młoda. Dla ciebie czas stanie w miejscu.

Odebrała sekretarka Maca, panna Edgeworth, jak zwykle chłodna w gorące dni, a oschła w mokre. - Rhodes i MacPherson...

- Tu Kate Oakley. Czy jest pan MacPherson?

- Właśnie wychodzi.

- Niech go pani zatrzyma, dobrze? Bardzo proszę.

- Spróbuję. Proszę się nie rozłączać.

Minutę później słuchawkę podniósł Mac, Mac o dziarskim, pewnym siebie głosie, Mac, którego poznała

jeszcze wtedy, gdy była w wieku Mary Marthy i zmarł jej ojciec. - Dzień dobry, Kate. Coś się stało?

- Sheridan tu jest.

- W domu? To naruszenie nakazu sądowego.

- Nie w domu. Zaparkował po drugiej stronie ulicy, siedzi w starym, zielonym samochodzie, który pewnie pożyczył od kogoś ze swoich tak zwanych kumpli. Naturalnie nie użyłby własnego.

- Skąd wiesz, że to Sheridan? Widziałaś go?

- Nie, ma zamknięte okna. Ale nie mógłby to być nikt inny. Naprzeciwko nic nie ma, tylko pusta działka. Zadzwoiłam też do jego mieszkania, ale nikogo nie było. Dwa plus dwa to cztery.

- Najpierw dodajmy jeden i jeden - zauważył Mac. - Czy dostrzegłaś kogoś w tym samochodzie?

- Nie. Mówiłam ci już, okna były zamknięte.

- Więc nie możesz być pewna, że ktoś w ogóle był w środku?

- Jestem pewna. Wiem...

- Możliwe, że kierowcy skończyła się benzyna i po prostu zostawił tam samochód.

- Nie. Widziałam go też w południe... - Urywał się jej głos. Gdy znowu przemówiła, brzmiał tak, jakby niedopasowane kawałki poprzyklejał jakiś partacz. - Znowu mnie śledzi, chce zdobyć na mnie jakiegoś haka. Co on chce tym wszystkim uzyskać?

- Wiesz równie dobrze jak ja - odparł Mac. - Mary Marthę.

- Przecież nie byłby w stanie udowodnić, że jestem złą matką.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale on najwyraźniej nie. Rozwody potrafią być wyjątkowo brutalne, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi dziecko. A gdy w grę wchodzi jeszcze pieniądze,

to nawet cywilizowani ludzie zapominają o wszystkich manierach, które kiedyś im wpojono.

Kate oznajmiła chłodno: - Mam nadzieję, że masz teraz na myśli Sheridana?

- Mam na myśli to, co dzieje się, gdy ludzie nie chcą przyznać się do własnych błędów i chowają się za poczuciem własnej nieomyślności.

- Nigdy wcześniej tak ze mną nie rozmawiałeś.

- Miałem długi dzień i jestem zmęczony. Możliwe, że zmęczenie działa na mnie jak wino. Ty i Sheridan jesteście w separacji już od dwóch lat, a wciąż kłócicie się o podział majątku, nie doszliście do porozumienia w sprawie Mary Marthy, wysyłacie pozwы, kontrpозwy...

- Proszę, Mac. Nie bądź dla mnie niemiły. Mam co innego na głowie, naprawdę mam co innego na głowie.

- Tak, widzę, że to prawda - powiedział wolno. - Co mam z tym zrobić?

- Powiedz Sheridanowi, żeby wyjechał z miasta, to zgodzę się na osiemset dolarów miesięcznie.

- A co z Mary Martha? Domaga się, żebyś mu pozwoliła się z nią widywać.

- Zobaczy się z nią po moim trupie, nie wcześniej. W tej sprawie nie zmienię zdania.

- Posłuchaj, Kate. Nie mogę kazać facetowi rzucić pracy, wyjechać z miasta, w którym się urodził, i zrezygnować z wszelkich praw do córki tylko dlatego, że żona już go nie kocha.

- Zawsze nienawidził tego miasta i zawsze to powtarzał. A jeśli chodzi o tę jego durną pracę, podjął ją tylko po to, żeby nie być w domu. Ma wystarczająco pieniędzy z funduszu powierniczego swojej matki. Może sobie spokojnie pozwolić na płacenie mi tysiąc dolarów miesięcznie...

- Jego prawnik twierdzi, że nie może.

- Jasna sprawa. Jego prawnik jest po jego stronie. - Po czym dodała gorzko: - Modlę się tylko, żeby mój prawnik był po mojej.

- Mogę być po twojej stronie i jednocześnie nie uważać, że wszystko, co robisz, jest słuszne.

- Nie wiesz, nie wiesz, przez co ja przeszłam z tym człowiekiem. Wszystkiego już próbował - prześladował mnie, nie płacił alimentów, więc musiałam wyprzedać połowę mebli, żeby w ogóle przeżyć, chodził za mną po całym mieście, stawał pod drzwiami i dzwonił dzwonkiem, aż nerwy miałam w strzępach...

- Teraz to już koniec. Ma nakaz sądowy, żeby cię nie nękać.

- Więc czemu wystaje teraz pod moim domem? Chce zobaczyć jednego z moich licznych kochanków?

- Nie gorączkuj się tak.

- Dlaczego nie może zostawić nas w spokoju? Ma, co chciał, tę starą, opitą ginem kurwę, która traktuje go jak dzieciątko Jezus. Czy on naprawdę myśli, że pozwolę Mary Marcie zadawać się z czymś takim?

Mary Martha, leżąc na brzuchu na półpiętrze, gwałtownie przycisnęła ręce do uszu. Podśluchiwała już mnóstwo rozmów mamy z Makiem, a ta niczym się od nich nie różniła. Z doświadczenia wiedziała, że potrwa jeszcze długo, i nie chciała już dłużej słuchać.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby ostrożnie zejść i wyślizgnąć się do Jessie, ale schody strasznie skrzypiały. Na palcach przebiegła korytarzem do pokoju mamy.

Pokój ten wydawał się Mary Marcie bardzo piękny, biało - różowy i pełen falbanek, z wysokimi drzwiami wychodzącymi na mały balkonik. Pod balkonem rosła stara sykomora, w której znalazła kiedyś gniazdko kolibra, wyściełane puchem z

liści sykomory i pełne malutkich jajeczek, mniejszych jeszcze niż dropsy.

To za sprawą kota, Puddinga, Mary Martha odkryła możliwości, jakie dawało to drzewo. Pewnego razu, wystraszony przez jakiegoś psa - przybłądę, kot czmychnął na dolny konar, z którego wdrapał się na balkon, po czym usadowił się na balustradzie, skąd rzucał swemu wrogowi spojrzenia pełne pogardy i pewności siebie. Mary Martha nie potrafiła chodzić po drzewach tak dobrze jak Pudding czy Jessie, nie była też tak nieustraszona, ale w nagłych wypadkach korzystała z drzewa i, jak do tej pory, mama jej nie przyłapała.

Wyszła na balkon i, starając się nie patrzeć w dół, zaczęła z mozołem schodzić. Szara, plamiasta kora drzewa, z daleka tak gładka, zdierała jej ręce jak papier ścierny. Minęła okno kuchni. W zlewie rozmrażał się hamburger, którego widok dotkliwie uświadomił jej, jak bardzo jest głodna, ale nie zatrzymywała się.

Zeskoczyła na trawnik za domem i przeszła przez suche koryto strumienia, ostrożnie omijając czerwieniejące pędy trującego bluszczu. Sójka ukryta w krzakach zaprotestowała przeciwko temu najściu donośnym skrzekiem. Mary Martha nauczyła się od taty naśladować głos tego ptaka, i normalnie też by zaskrzeczała, co doprowadziłoby do ożywionego pojedynku na głosy między sójką a nią. Ale tym razem nawet jej nie usłyszała. W głowie wciąż huczały jej słowa mamy: Ma, co chciał, tę starą, opitą ginem kurwę, która traktuje go jak dzieciątko Jezus. Zdanie to nie dawało Mary Marcie spokoju. Dzieciątko Jezus to przecież mały chłopczyk w żłóbku, a jej tata jest dorosły i ma wąsy. Nie wiedziała, co to kurwa, ale zgadywała, że skoro jej tata interesuje się ptakami, to jest to pewnie rodzaj kury. Brzmiało podobnie, może więc była to gruba, stara kura, bo kury przecież bywają wiekowe.

Pan i pani Brant przygotowywali właśnie barbecue na małym, ogrodzonym tarasie na tyłach domu. Pan Brant usiłował skłonić węgiel do zajęcia się ogniem, a pani Brant owijała kukurydzę folią aluminiową. Oboje mieli na sobie szorty, bawełniane koszulki i sandały.

- Ależ to Mary Martha - powiedziała pani Brant. Wydawała się miło zaskoczona, zupełnie jakby Mary Martha mieszkała setki mil stąd i jakby nie widzieli jej od roku. - Wejdz, kochanie. Jessie przyjdzie za kilka minut. Właśnie bierze kąpiel.

- Cieszę się, że nie dostała zatrucia krwi i konwulsji - powiedziała poważnie Mary Martha.

- Ja też. Bardzo.

- Bo Jessie to moja najlepsza przyjaciółka.

- Wiem, i myślę, że świetnie się składa. Prawda, Dave?

- Jasne że tak - Dave uśmiechnął się nieśmiało do Mary Marthy. Był to wielki mężczyzna o bardzo niskim, cichym głosie i ramionach zgarbionych tak, jakby usiłowały przeproszać za jego wzrost.

Mary Martha podziwiała zwłaszcza ten wzrost i ciche usposobienie. Jej własny tata był niskiego wzrostu, miał też niski próg cierpliwości. Jego ruchy były szybkie i gwałtowne - nieważne co robił, zdawało się, że nie może się już doczekać robienia czegoś innego.

To stanie przy panu Brancie i obserwowanie, jak podpala węgiel, odprężało ją i uspokajało.

- Uważaj, Mary Martho. Nie poparz się - ostrzegł.

- Nie poparzę się. W domu często gotuję. I prasuję.

- Coś takiego. Za dziesięć lat będzie z ciebie wspaniała żona i gospodyni, co?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo ja nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Jesteś dość młoda jak na tak drastyczne postanowienie. Mary Martha zapatrzyła się w żarzące się węgle, jakby wyczytywała z nich swoją przyszłość. - Zostanę weterynarzem i zaadoptuję dziesięcioro dzieci, i sama będę je utrzymywać, i nie będę siedziała i czekała, aż listonosz przyniesie mi czek.

Nad jej głową Brantowie wymienili spojrzenia, a Ellen powiedziała:

- Nie obijajcie się, wy tam. Ułóżcie kukurydzę na grillu, a ja pójdę po hot dogi. Zostaniesz i zjesz z nami, Mary Martho?

- Nie, dziękuję. Chętnie bym została, ale nie chcę, żeby moja mama była sama.

I żeby bolała ją głowa, i żeby dostała wysypki na twarzy, i żeby miała spuchnięte oczy, i żeby nazywała mnie pieszczoszkiem i jagniątkiem.

- To twoja mama też niech do nas dołączy - zaproponowała Ellen. - Może do niej zadzwonisz i zapytasz?

- Nie mogę. Nasz telefon jest właśnie zajęty.

- Skąd wiesz? Przecież nie próbowałaś...

- I tak by nie przyszła. Boli ją głowa i takie tam.

- No cóż - Ellen rozłożyła bezradnie ręce. - To ja lepiej już pójdę po te hot dogi.

Weszła do środka i Dave został z Mary Martha sam. W jej obecności czuł się niezręcznie, jakby mimo swej życzliwości i grzeczności potajemnie miała mu za złe, że jest mężczyzną i czarnym charakterem, a on się z nią potajemnie zgadzał. Poczucie winy przytłaczało go i liczył, że zjawi się ktoś, kto go wybawi - Jessie albo Ellen wyjdą z domu, Michael przyjdzie z boiska albo Virginia i Howard Arlington z domu obok.

Ale nikt nie przyszedł. Była z nim tylko Mary Martha; mała, blada i milcząca, jak posąg z marmuru.



Przez długi czas jedyny dźwięk wydawało masło, kapiące spod folii i skwierczące na węglach. Aż nagle Mary Martha spytała: - Czy zna się pan na ptakach?

- Nie, niestety nie. Jak byłem mały, hodowałem gołębie, ale to wszystko.

- A miał pan kury?

- Nie, dlaczego?

- Mój eks - ojciec ma jedną.

- No proszę - stwierdził Dave. - To dopiero ciekawe. A czym ją karmi?

- Ginem.

- Jesteś pewna? Nie wydaje mi się, aby gin stanowił właściwy pokarm dla kury, czy czegokolwiek innego. Czy kury nie jedzą czasem ziarna i robaków, takich rzeczy?

- Tak, ale ta nie.

- No cóż - Dave wzruszył ramionami. - Nie wiem nic o ptakach ani o twoim oj... twoim eks - ojcu, więc muszę wierzyć ci na słowo. I mówisz, że ginem...

Na oba policzki Mary Marthy wypełzły jaskrawe rumieńce, jakby doświadczyła właśnie ataku pszczoł albo wątpliwości. - Słyszałam, jak moja mama mówi o tym z Makiem przez telefon. Że mój eks - ojciec ma grubą, starą kurwę, która pije gin.

Zapadła krótka cisza, po czym Dave oznajmił ostrożnie: - Twojej mamie raczej nie chodziło o kurę, Mary Martho. Słowo, którego użyłaś, oznacza coś innego.

- Co takiego?

- To jest obelga, której młode damy nie powinny powtarzać. Mary Martha zdała sobie sprawę, że odpowiedział, ale nie dał jej odpowiedzi. To słowo musi oznaczać coś tak strasznego, że nie może nikogo o to spytać. Więc czemu jej mama go użyła i po co tata ją miał? Poczowała przyływ żalu do

nich wszystkich, mamy i taty, kurwy, Davida, nawet Jessie, której nie było, ale która miała prawdziwego ojca.

W kuchni zadzwonił telefon i przez otwarte drzwi i okna dało się słyszeć głos Ellen, głośny i wyraźny: - Słucham. Ależ tak, pani Oakley, jest tutaj... Oczywiście, że nie miałam pojęcia, że nie pozwoliła jej pani... Wszystko w absolutnym porządku, nie musi się pani o nią martwić. Mary Martha nie jest z tych, co przyciągają kłopoty... Zaraz poproszę Dave'a, aby ją odprowadził do domu... Dobrze, powiem jej, żeby na panią zaczekała. Do widzenia.

Ellen wyszła na dwór z tacą bułek z masłem i hot dogów z serem, owiniętych plastrami bekonu. - Właśnie dzwoniła twoja mama.

Mary Martha pokiwała tylko głową. Podekscytowanie jej mamy miało na nią niemal kojący wpływ. Naturalnie, będzie awantura, ale podobna do wszystkich innych; nic, czego Mary Martha nie mogłaby znieść. „Jeśli naprawdę mnie kochasz, Mary Martho, obiecaj, że nigdy więcej już tego nie zrobisz”. „Naprawdę cię kocham, mamó. Obiecuję”.

- Przyjedzie, żeby cię zabrać - dodała Ellen. - Masz czekać na ganku.

- Dobrze.

- Jessie zaczeka z tobą. Właśnie zakłada piżamę.

- Mogę sama poczekać.

- Oczywiście, że możesz. Jesteś odpowiedzialną dziewczynką. Ale przyszłaś zobaczyć się z Jessie, prawda?

- Nie, proszę pani.

- Więc po co przyszłaś?

Mary Martha zamrugła, jakby to pytanie wpadło jej do oka. Odwróciła się tylko i weszła do domu, cicho i starannie zamykając za sobą szklane drzwi.

Dave Brant obserwował, jak jego żona układa na grillu hot dogi. - Może nie powinnaś zadawać jej takich pytań.

- Czemu nie?
- Gotowa pomyśleć, że jesteś wścibska.
- I gotowa mieć rację.
- Mam nadzieję, że nie.
- Och, daj spokój. Przyznaj, że tak samo jak mnie ciekawi cię, co się u nich dzieje.
- Może. Ale ja myślę, że lepiej tego nie wiedzieć. - Chciał opowiedzieć Ellen o grubej starej kurwie, ale nie był w stanie przewidzieć jej reakcji. Ta historia mogłaby ją równie dobrze rozbawić, co zszokować i sprawić, że powtórzyłaby ją pani Oakley. Choć od osiemnastu lat był jej mężem, niedelikatność Ellen wciąż potrafiła go zaskoczyć.
- Dave...
- Tak?
- Nigdy nie pozwolimy, aby to przytrafiło się naszym dzieciom, prawda?
- Co takiego?
- Rozwód - Ellen zaczęła żywo gestykulować - i wszystko, co się z nim wiąże. Michaela by to zabiło, jest taki delikatny, zupełnie jak ja.
- Nie będę miał względów dla jego delikatności, jeśli nie wróci do domu przed szóstą trzydzieści, jak obiecał.
- Nie zamierzasz chyba ukarać go tylko dlatego, że stracił poczucie czasu.
- Ma sokoli wzrok i zegarek - zauważył Dave. Ale Michael w tym momencie go nie obchodził. Chciał po prostu zmienić temat, bo nie mógł znieść rozmowy ani nawet myśli o rozwodzie. Odrzucało go na myśl, że na miejscu Mary Marthy mogłaby znaleźć się Jessie. Michael miał szesnaście lat, był prawie dorosły, ale Jessie wciąż była dzieckiem, ufnym i niewinnym, jedyną osobą na świecie, która wierzyła w niego bezgranicznie. Nie zawsze tak będzie. Przyjdzie czas, gdy zacznie kwestionować jego mądrość i odwagę, może nawet

jego miłość do niej. Ale teraz miała dziewięć lat, jej świat był mały, nie większy niż malutki księżyc, a on był jego władcą.

Dziewczynki usiadły przed frontowymi drzwiami, na jedynym betonowym stopniu, który nazywały gankiem. Jessie skubała skórki, odchodzące jej z dłoni, a Mary Martha obserwowała ją, jakby marzyła o równie interesującym zajęciu.

- Pewnie nieźle ci się dostanie, jak twoja mama przyjedzie  
- zauważyła Jessie.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Zamierzasz płakać?

- Może będę musiała - stwierdziła z namysłem Mary Martha. - Całe szczęście, że ja tak świetnie płacę.

Jessie przytaknęła. - Może powinnaś zacząć już teraz, żeby przygotować się na jej przyjazd. To mogłoby ją zmiękczyć.

- Teraz nie mam ochoty.

- Mogłabym wymyślić dla ciebie jakąś naprawdę smutną historię.

- Nie. Sama znam mnóstwo smutnych historii. Mój eks - ojciec je opowiadał, gdy był wiesz - jaki.

- Pijany?

- Tak.

Odkąd słyszała te historie, minęły już dwa lata, ale pamiętała je, bo wszystkie opowiadały o tym samym małym chłopcu. Mieszkał w wielkim domu z sekwoi, gdzie był strych, na którym można się było bawić, dookoła rosły drzewa, na które można się było wspinać, a z tyłu domu płynął strumień, w którym polowało się na żaby. Na końcu każdej historii chłopiec ginął, czasami śmiercią bohatera, przy ratowaniu jakiegoś zwierzątka czy ptaka, czasami w wypadku albo na skutek choroby. Zakończenia te sprawiały Mary Marcie duży kłopot: poznawała ten dom i domyślała się, że

ten chłopiec to jej ojciec, ale jej ojciec wciąż przecież żył. Dlaczego chłopiec umierał? Tak było dla niego lepiej, kochanie, dużo lepiej.

- Chciałabym, żebyś mogła zostać na trochę u mnie - oznajmiła Jessie. - Mogłybyśmy razem obejrzeć wielką, nową książkę, którą dostałam od cioci Virginii. O przyrodzie; górach, rzekach, lodowcach i zwierzętach.

- Może obejrzymy ją jutro.

- Nie, muszę ją oddać, jak tylko wróci z plaży.

- Dlaczego?

- Była za droga, całe dwadzieścia dolarów. Moja mama wściekła się, tata też, a potem oboje się na mnie wyżywali.

Mary Martha ze współczuciem pokiwała głową. Była ekspertką od takich sytuacji. - Wiem, mój tata przysyła mi prezenty na gwiazdkę i na urodziny, a mama nie pozwala mi nawet otwierać paczek. Mówi, że on chce mnie kupić. Czy twoja ciocia Virginia też chce cię kupić?

- To przecież głupie. Dzieci się nie kupuje.

- Jeśli moja mama mówi, że się kupuje, to znaczy, że tak jest. - Mary Martha zastanowiła się przez chwilę. - Nie słyszałaś o wstrętnych, starych mężczyznach, którzy oferują ci słodycze za przejażdżkę samochodem? Nawet o nich nie wiesz?

- Wiem.

- No więc widzisz.

Zobaczyła, jak mały volkswagen jej mamy wyłania się zza zakrętu. Biegając przez chodnik, żeby wyjść jej na spotkanie, próbowała zmusić się do łez, przypominając sobie małego chłopca, który w opowieściach taty zawsze umierał. Ale łzy się nie pojawiały. Może jej tata miał rację, może temu chłopcu naprawdę było teraz lepiej.

\*

Kate Oakley siedziała sztywno, blada, z rękami zaciśniętymi na kierownicy tak mocno, jakby samochód był dzikim mustangiem, którego trzeba ujarzmić. Różne auta ją mijaly, obok przechodzili ludzie z dziećmi, psami i zakupami, inni podlewali grządki, myli podjazdy i grabili liście. Ale dla kobiety i dziecka w samochodzie wszystkie żywe istoty były nierzeczywiste. Wydawało im się, że nawet ptaki na drzewach zrobione są z plastiku i wiszą na sznurkach, udając, że latają. Mary Martha szepnęła: - Przepraszam, mamusiu.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Myślałam, że jeszcze długo będziesz rozmawiać przez telefon i zdążę wrócić, nim zauważysz, że mnie nie ma.

- Słyszałaś, że rozmawiam przez telefon?

- Tak.

- I z premedytacją podsłuchiwałaś.

- Tak. Ale nie mogłam się powstrzymać. Chciałam dowiedzieć się czegoś o tacie, po prostu chciałam się czegoś dowiedzieć.

W jej oczach zaszklily się prawdziwe łzy, nie musiała nawet uciekać się do myśli o małym martwym chłopcu.

- Boże, przebacz mi - powiedziała mama, ale takim głosem, jakby nie wierzyła ani w Boga, ani w przebaczenie. - Staralam się, wciąż się staram chronić cię przed tymi wszystkimi okropnościami. Ale jak? Otaczają nas jak brudna woda, jesteśmy w nich po szyje. Jak mogę udawać, że stoimy na suchym gruncie, pewnie i bezpiecznie?

- Mogłybyśmy kupić łódź - zasugerowała Mary Martha, wycierając łzy.

Nastala cisza. Po chwili mama oświadczyła żywym, dziarskim głosem: - Jagniątko, to po prostu świetny pomysł. Kupimy łódź, taką, która pomieści tylko nas obie, i wypłyniemy z życia Sheridana. Czy to nie będzie cudowne, pieszczoszku?

- Tak, mamó.

Pospiesznie i cicho Charlie sam otworzył sobie drzwi wejściowe. Spóźnił się na kolację prawie godzinę, wiedział więc, że Ben będzie nie w humorze i zada mu wiele pytań. Przygotował już sobie odpowiedzi - takie, których Ben nie zdoła tak łatwo sprawdzić. Nie cierpiał okłamywać Bena, ale prawda była tak prosta i niewinna, że Ben by w nią nie uwierzył: pojechał na Jacaranda Street 319, gdzie mieszkała mała Jessie, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Zaliczyła nieprzyjemny upadek na placu zabaw, mogła zrobić sobie poważną krzywdę, jej małe kości są przecież takie delikatne.

Z doświadczenia wiedział, jaka będzie reakcja Bena. Plac zabaw? A co ty robiłeś na placu zabaw? Skąd znasz imię tego dziecka? I jej adres? I to, że jej małe kości są delikatne? I co to za upadek? Goniliśmy ją, a ona uciekała? Dlaczego ganiasz małe dziewczynki, Charlie?

Ben niczego nie był w stanie zrozumieć, wszystko od razu przekręcał. Lepiej nakarmić go kłamstwem, które mógł przełknąć, niż prawdą, którą od razu by wypluł.

Charlie zdjął kurtkę, którą nosił zawsze, niezależnie od pogody, i powiesił ją na wieszaku koło drzwi. Potem ruszył wąskim, ciemnym korytarzem w stronę kuchni.

Ben stał nad zlewem i splukiwał właśnie talerz pod gorącą wodą. Nie odwracając się, rzucił: - Spóźniłeś się. Już zjadłem.

- Przepraszam, Ben. Miałem problemy z samochodem. Chyba znowu zalałem silnik. Z pół godziny musiałem czekać, aż znów zapali.

- Mówiłem ci już z piętnaście razy, jak zaleje się silnik, wystarczy wcisnąć gaz do dechy i bardzo wolno go puszczać.

- No, właśnie tak zrobiłem. Ale czasami to nie działa.

- U mnie zawsze działa.



- Cóż, masz dryg do samochodów. Czują do ciebie respekt.

Ben odwrócił się. Wcale nie wyglądał jak człowiek, którego właśnie obsypano pochlebstwami, wbrew temu, czego spodziewał się Charlie. - Dzwoniła Louise. Przyjdzie wcześniej. Wychodzi z pracy o siódmej, bo jutro wieczorem zastępuje inną dziewczynę. Lepiej pospiesz się i jedź.

- Dobrze.

- W szafce masz puszki ze spaghetti i pulpetami rybnymi. Charlie nie przepadał zbytnio za pulpetami rybnymi i spaghetti, ale posłusznie wyjął i otworzył obie puszki. Ben był w dziwnym nastroju, lepiej więc mu się nie przeciwstawiać, nawet w sprawie tak błahej jak kolacja. Ale Charlie chciał mu się przeciwstawić, chciał przedstawić sprawę jasno: on, Charlie, jest dorosły, ma całe trzydzieści dwa lata, i nie musi spowiadać się z każdej minuty swojego życia, nie można rozkazywać mu, co ma jeść i jak ma spędzić wieczór. Chociażby to, że przychodzi Louise. A gdyby go tak nie było w czasie jej wizyty? A gdyby sobie wyszedł, dokładnie w tym momencie...

Nie, nie mógł tego zrobić, w każdym razie nie dzisiaj. Dzisiejszy dzień przyniesie mu coś bardzo ważnego, coś bardzo pilnego. Nie rozumiał, dlaczego uznał tę sprawę za tak pilną, ale czuł się tak, jakby to Louise miała wręczyć mu klucz, sekretny klucz do sekretnych drzwi albo do sekretnej skrzyni.

Pomyślał o skarbach ukrytych za tymi drzwiami, w tej skrzyni, i zaczęły mu się trząść ręce. Gdy wykładał pulpety na patelnię, gorący tłuszcz prysnął mu na palce. Nie poczuł bólu, tylko zdziwienie, że tłuszcz, który nie ma przecież rozumu czy woli, potrafi walczyć o swoje lepiej niż on sam.

- Na litość boską, uważaj - warknął Ben. - Brudzisz kuchenkę.

- Nie chciałem.
- Przykryj patelnię. Od czego masz głowę?
- Głowa do tego nie pasuje. Jest za mała.

Ben zapatrzył się w niego, a po chwili rzucił ostro: - Przestań. Przestań wszystko brać dosłownie. Dobrze wiesz, że nie chodziło mi o to, abyś kładł głowę na patelnię i używał jej zamiast pokrywki. Chyba rozumiesz?

- Tak.
- Więc czemu, do cholery, to powiedziałeś?

Charlie odwrócił się od kuchenki, marszcząc brwi. - Ale ty przecież powiedziałeś, że żeby przykryć patelnię, mam od tego głowę. Sam to powiedziałeś, Ben.

- I myślisz, że właśnie o to mi chodziło?

- Nie myślałem. Myślałem wtedy o czymś innym. Może o wizycie Louise, o takich sprawach.

- Słuchaj, Charlie. Ja tylko staram się ciebie chronić. Odstawisz coś takiego w pracy, to uznają cię za przygłupa.

- Nie - stwierdził ponuro Charlie. - Roześmieją się. Pomyślą, że staram się być zabawny. Ale ja chyba nie mam poczucia humoru, prawda?

- Nie masz.

- A kiedyś miałem? Znaczy, jak byliśmy mali, zanim... zanim to wszystko się stało, czy wtedy miałem poczucie humoru?

- Nie pamiętam.

- Na pewno mógłbyś sobie przypomnieć, gdybyś się tylko postarał. Zawsze miałeś świetną pamięć.

- Teraz mam świetną niepamięć - rzucił Ben. - Może to ważniejsze w życiu.

- Nie, Ben, to źle. Ważne jest, żebyś pamiętał, jak to było, jak byliśmy mali. Mama i tata nie żyją, ja nie pamiętam, więc jeśli i ty nie pamiętasz, to jakby się to nigdy nie zdarzyło, jakbyśmy nigdy nie byli mali...

- Dobrze, dobrze, nie gorączkuj się tak. Przypomnę sobie.  
- Wszystko?  
- Postaram się.  
- I co, miałem poczucie humoru?  
- Tak. Miałeś, Charlie. Byłeś zabawnym chłopcem, bardzo zabawnym chłopcem.  
- Często się razem śmialiśmy, ty i ja, i mama, i tata?  
- Pewnie.  
- Louise też często się śmieje. Jest bardzo wesoła, nie sądzisz?

- To bardzo wesoła dziewczyna, faktycznie.

Wolno i z namysłem, Charlie zabrał się za swoje pulpety. Przypaliły się, ale nie dbał o to. Teraz łatwiej można było udawać, że to małe, okrągłe i kruche steki. - Ben?

- Tak?

- Przestałyby być wesoła, gdyby za mnie wyszła, prawda?

- Przestań gadać jak...

- Chodzi mi o to, że nie byłeś z nią całkowicie szczery. Nie zdaje sobie sprawy, jaka ze mnie kula u nogi i jak by musiała się o mnie martwić, zupełnie tak jak ty teraz. Skrzywdziłbym ją. Bez przerwy bym ją krzywdził, może nawet nieświadomie. Czy wtedy byłaby wesoła? Byłaby?

Ben usiadł za stołem, ciężko i sztywno, jakby każda z pięciu minut tej rozmowy trwała rok.

- No? Byłaby, Ben?

- Nie wiem.

Charlie wyglądał na zawiedzionego, jak dziecko, które przyzwyczało się do słuchania jakiejś opowieści ze szczęśliwym zakończeniem, a teraz zakończenie zmieniono. Nie było już szczęśliwe, nawet nie było to zakończenie. Czy żaba zamieniła się w królewicza? Me wiem. Czy żyli z królowną długo i szczęśliwie? Me wiem.

- Nie podoba mi się ta odpowiedź - oświadczył z uporem.
- Chcę usłyszeć tę inną.
  - Nie ma innej.
  - Zawsze powtarzasz, że małżeństwo zmienia mężczyznę, że przy Louise wyjdę na ludzi i że jeśli się postaramy, będziemy wiedli szczęśliwe życie. Powtórz mi to jeszcze raz.
  - Nie mogę.
  - No dobrze, to pomęcz mnie. Powiedz, że się pomniejszam, że powinienem myśleć pozytywnie, że mam udawać... to prawda, tak?
    - Nie wiem. Jedz kolację.
    - Jak mogę jeść, nie wiedząc?
    - Wszyscy jemy, nie wiedząc. I pracujemy, i śpimy, nie wiedząc. - Po czym dodał łagodniejszym tonem: - Dobrze ci idzie, Charlie. Masz stałą pracę, masz miłą dziewczynę, nie wychylasz się... świetnie ci idzie, naprawdę świetnie.
    - I nie złościsz się już, że się spóźniłem?
    - Nie.
    - Zalałem silnik, rozumiesz. Musiałem czekać, aż benzyna z niego wyleci. Zamierzałem do ciebie zadzwonić, ale potem pomyślałem: „Ben nie będzie się martwił, wie, że się dobrze zachowuję, że się nie wychyłam...” - Patrzyłem tylko, stojąc na ulicy. Dom jest schowany za drzewami, ale widziałem ją, jak siedziała w jednym z frontowych okien. Biedna Jessie, biedne małżeństwo, dawała swojemu małemu, zmalretowanemu ciałku odpocząć. Dlaczego rodzice jej nie pilnują? Jeśli coś jej się stanie, będzie to ich wina, tylko ich.

Arlingtonowie wrócili z plaży o siódmej i Virginia, nic nie mówiąc, od razu poszła do swojego pokoju. Howard rozpakowywał właśnie koszyk, gdy ich pies, Chap, zaczął szczekać i drapać tylne drzwi.

- Kto tam? - zawołał Howard.

- To ja, wujku Howardzie. Jessie.

Weszła, w szlafroku narzuconym na piżamę, niosąc książkę, która ważyła prawie tyle co ona sama. - Jest ciocia Virginia?

- Jest, ale stroi fochy.

- Czyli ubiera się?

Howard zaśmiał się. - Nie. To znaczy, że się na mnie złości.

- Czemu?

- Mnóstwo powodów. Spaliła się na słońcu, ma piasek we włosach, nie lubi oglądać się w kostiumie kąpielowym, pszczoła użądliła ją w stopę, a wszystko to oczywiście moja wina. - Odłożył pusty koszyk na najwyższą półkę w szafie na szczotki i zamknął drzwiczki. - Czy ty, jak dorośniesz, będziesz robiła awantury z takich powodów?

- Raczej nie.

- Zuch dziewczyna!

Jessie położyła książkę na stole i schyliła się, żeby pogłaskać psa. Chap, czując masło, którym umazała sobie buzię, jedząc kukurydzę, zaczął je zlizywać. Jessie tak to pochlebilo, że zniosła łaskotanie bez chichotów, choć ledwo się powstrzymywała. - Wujku Howardzie, myślisz, że Chap mnie lubi?

- Bez wątpienia.

- Tak jak wszystkich?

- Właściwie to nie - odparł sucho. - Nawet mnie nie lubi.

- Dlaczego? Boi się ciebie?

- Boi się? Dlaczego miałyby się bać? Skąd ten pomysł?

- Nie wiem.

- Cóż, nie biję go, mała, jeśli o to ci chodzi. Po prostu baby go rozpuściły. Wystarczy, że przewróci oczami, i od razu dostaje stek z kością. Od faceta - dodał - wymaga się czegoś więcej, choć Bóg jeden wie czego.

Jessie nie była pewna, o czym wujek mówi, ale zdawała sobie sprawę, że jest nie w humorze, i chciała, żeby ciocia Virginia ubrała się już w te fochy.

- Dla kogo ta książka? - spytał Howard.

- Dla cioci Virginii. Dała mi ją dziś po południu, ale jak moja mama to zobaczyła, kazała mi ją odnieść.

- Dlaczego?

- Kosztowała dwadzieścia dolarów.

- Tak? - Otworzył książkę i spojrzał na cenę, wydrukowaną na obwolucie z tyłu. - Faktycznie. Dwadzieścia dolarów.

Głos miał bardzo spokojny, ale ręce mu się trzęsły, więc zarówno dziewczynka, jak i pies, wyczuli kłopoty.

- Virginio!

Z sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

- Lepiej stamtąd wyjdź. Masz gościa, na pewno nie chciałabyś przegapić tej wizyty.

Głos Virginii był cichy, jakby miała zapchany nos: - Jestem w łóżku.

- Więc wyjdź z łóżka.

- Nie... nie mogę.

- Możesz i musisz.

Pies wczołgał się pod stół z podkulonym ogonem, po czym zaczął wodzić oczami od Howarda do drzwi sypialni i z powrotem do Howarda.

Drzwi otworzyły się w końcu, ukazując Virginie, szczelnie i ciasno otuloną białym, jedwabnym szlafrokiem. Wszystkie

widoczne fragmenty jej ciała były ognście czerwone; oczy też miała zaczerwienione. - Nie czuję się zbyt dobrze. Mam gorączkę.

- Masz też gościa - zauważył Howard, tym samym, spokojnym tonem. - Jessie przyszła zwrócić książkę, którą podarowałaś jej dziś po południu. Okazuje się, że jej matka uznała ten prezent za zbyt drogi. Ile za niego dałaś, Virginio?

- Proszę cię. Nie przy dziecku. To...

- Ile?

- Dwadzieścia dolarów.

- A skąd miałaś te dwadzieścia dolarów, Virginio?

- Z... z torebki. Howard zaśmiał się.

- A skąd wzięły się pieniądze w twojej torebce? Może zaczęłaś pracować, i te dwadzieścia dolarów to część twojej pensji?

- Wiesz, że nie, wcale nie tak... Jessie, lepiej idź już do domu. Natychmiast, kochanie.

- Niech zostanie - zarządził Howard.

- Proszę cię, Howardzie. To tylko małe dziecko.

- Małe dzieci ściągają duże kłopoty. Chcę, żebyś powiedziała mi przy Jessie, skąd dokładnie wzięło się te dwadzieścia dolarów.

- Od ciebie.

- Dokładnie tak. Z mojej pensji. Czyli to ja jestem miejscowym Świętym Mikołajem, a nie ty. Mam rację?

- Tak.

Wziął książkę ze stołu i podał ją Jessie. - Proszę, mała. Weź ją, jest twoja, z najlepszymi życzeniami od Świętego Mikołaja.

Jessie wybałuszyła na niego oczy. - Nie mogę. Mama nie pozwoli mi...

- Bierz. Bierz i wynoś się stąd. Ja nie mogę już na nią patrzeć.

- Nie chcę jej.

- Nie chcesz. Rozumiem. Może wolałabyś pieniądze, co?  
W porządku.

Sięgnął po portfel, wyjął dwa banknoty dziesięciodolarowe i wcisnął je w dłoń Jessie. Zobaczyła, jak Virginia kiwa głową i uśmiecha się trwożliwie za jego plecami, daje jej znak, żeby wzięła pieniądze i ustąpiła Howardowi. Jessie spojrzała na trzymane banknoty i schowała je do kieszeni, w pośpiechu, jakby nie chciała ich dotykać. Przypomniała sobie rozmowę z Mary Marthą, tę o dorosłych kupujących dzieci, i zaczęła się zastanawiać, czy właśnie została kupiona, i co tak naprawdę oznaczało kupowanie i sprzedawanie.

Seks nie stanowił dla Jessie żadnej tajemnicy ani jej zbyt nie interesował. Mama i tata wytłumaczyli jej to wszystko dość dokładnie. Ale nikt nie wytłumaczył jej pieniędzy, i dlaczego mają one taki dziwny wpływ na ludzi. Dla Jessie pieniądze były jak czarna magia - dobre albo złe, zależnie od tego, po czyjej znalazły się stronie, ale to trudno było ustalić z wyprzedzeniem. Pieniądze kupowały rzeczy, które uszczęśliwiały ludzi, na przykład ich nowy dom, ale to przez nie dochodziło też do kłótni między rodzicami, kiedy myśleli, że dzieci już śpią, to one powodowały, że Virginia kulila się przed Howardem i okłamywała go w sprawie parasola z tarasu, to one denerwowały mamę, gdy przychodził listonosz, i to z ich powodu jej brat Michael groził, że rzuci szkołę i pójdzie do pracy. Były tak tajemnicze jak Bóg, któremu trzeba dziękować za zesłane łaski, ale którego nie można też winić za ich brak.

Poczucie winy i władzy, promieniujące z kieszeni szlafroka, ciążyło jej. Mogła teraz kupić sobie różne rzeczy, ale sama też została kupiona.



- I co tu jeszcze sterczysz, mała? - rzucił Howard. - Dostałaś swoje pieniądze, usłyszałaś co trzeba. Na jedną wizytę wystarczy.

Virginia podeszła szybko do tylnych drzwi i otworzyła je. Miała bardzo dziwny wyraz twarzy, bo jedną połowę krzywiła do Howarda, a drugą starała się uśmiechać uspokajająco do Jessie.

- Dobranoc, kochanie. Nie przejmuj się. Jutro rano wszystko wyjaśnię twojej mamie.

- Już to widzę - oświadczył Howard, gdy Jessie wyszła. - To dopiero będzie wyjaśnienie. Chciałbym przy tym być, ale nie mogę. Wyjeżdżam.

- Dlaczego? Czy nie wyrządziłeś już wystarczających szkód, jak na jeden wieczór?

- Obawiam się, że gdybym został, mógłbym wyrządzić ich jeszcze więcej.

Poszedł do sypialni. Jego walizka leżała na podłodze, otwarta, ale wciąż nierozpakowana, poza szczoteczką do zębów i przyborami do golenia. Zamknął ją kopnięciem.

- Nie zachowuj się dziecinnie - powiedziała Virginia, stając w drzwiach.

- Lepsze to niż skopanie ciebie albo psa, prawda?

- Dlaczego musisz wszystko kopać?

- Bo lubię się znęcać nad bliźnimi. Jestem typem faceta, który zmusza swoją słodką żoneczkę, żeby poszła z nim na paskudną plażę, na wstrętne słońce i świeże powietrze. Bo taka jest twoja wersja dzisiejszego popołudnia, tak?

- To nie moja wina, że łatwo ulegam poparzeniom.

- A oto moja wersja. To był mój pierwszy dzień w domu od dwóch tygodni. Chciałem pobyc z żoną, chciałem też zaczerpnąć świeżego powietrza i zażyć ruchu, którego, tak się składa, potrzebuję. To wszystko. To chyba nie były jakieś wygórowane życzenia?

- Nie. Ale...

- Daj mi skończyć. Zdawałem sobie sprawę, że żona ma delikatną skórę, kupiłem jej więc wielki słomkowy kapelusz i parasol plażowy. Ona doszła do wniosku, że w kapeluszu jej nie do twarzy, a po pewnym czasie siedzenie pod parasolem znudziło ją, poszła więc się przejść. Słońce paliło mocno, wiał też silny wiatr, a na piasku, niestety, leżała na wpół martwa pszczoła, na którą weszła. Co więcej, żona zaczęła zwracać uwagę na dziewczyny, które też wyszły na plażę, i na ich zgrabne, młodzieńcze sylwetki, więc gdy przyszła pora kolacji, żona postanowiła właśnie przejść na dietę. Niczego nie zjadła. Ja jadłem, jak każdy facet, który od dwóch tygodni nie miał w ustach domowego jedzenia. Moja żona siedziała i patrzyła. Była spalona słońcem, głodna, obolała po użądleniu pszczoły i milcząca jak grób. Było to ciekawe popołudnie, za które ci, Virginio, serdecznie dziękuję. Powrót do pracy po takim wypoczynku będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością.

- Teraz właśnie jedziesz do pracy?

- Czemu nie?

Podniósł walizkę z podłogi i rzucił ją na łóżko. Wypadła z niej skarpetka i koszula z delikatnego materiału. Virginia podeszła do łóżka, żeby je podnieść. Koszula była czysta, ale pognieciona, jakby Howard sam ją sobie wyprał i powiesił na drążku od zasłonki prysznicowej w którymś z anonimowych moteli czy hoteli.

Przycisnęła ją do piersi, jakby prędeej mogła ją wzruszyć koszula niż jej właściciel. - Sam ją sobie upralesz, Howardzie?

- Tak.

- Gdzie? W którym mieście, w którym hotelu?

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. - Czemu chcesz to wiedzieć?

- Po prostu chcę.

- W hotelu Hacienda Inn w Bakersfield. W pokoju obok była całonocna impreza. I zamiast brać tabletkę, zabrałem się za pranie.

- Howardzie, twoja praca nie jest zbyt przyjemna, prawda?

- Czasem jest, na swój sposób - rzucił ostro. - Nie oczekuję od życia samych przyjemności.

Po chwili wahania Virginia zaczęła wyjmować rzeczy z walizki i układać je w szafie i w szufladach komody. Pracowała szybko i nerwowo, jakby chciała skończyć, zanim Howard będzie miał szansę zaprotestować. Nikt nic nie mówił, aż walizka została opróżniona i schowana pod łóżko. Wtedy oświadczyła: - Przepraszam, że byłam dzisiaj taka nieznośna.

- Wiedziałem, że jesteś nieznośna, gdy się z tobą żeniłem - szepnął Howard. - Powinienem mieć więcej rozumu i nie wymyślać tego pikniku na plaży.

- Ale przecież go chciałeś, zasłużyłeś na niego. Ciężko pracujesz, masz trudną pracę...

- No, już nie przesadzaj. Pracuję jak każdy facet. Czasem też się wściekam i tracę cierpliwość. I owszem, czasem bywam chyba zazdrosny... Przepraszam, że tak się wygłupiłem przy małej. Dałem jej dwadzieścia dolarów, ot tak.... Boże, co Dave i Ellen sobie pomyślą, gdy im o tym powie?

- Nic. Nie powie im.

- Dlaczego?

- Bo wtedy kazaliby jej zwrócić te pieniądze, a tego ona nie chce.

Howard usiadł na brzegu łóżka, kręcąc z żalem głową. - Przepraszam. Strasznie mi przykro.

- Przestań już o tym myśleć. Oboje nie mieliśmy racji i obojgu nam jest teraz przykro. - Usiadła obok i położyła mu

głowę na ramieniu. - Ja jestem niezdolna, a ty jesteś zazdrosnym idiotą. Może zasługujemy na siebie.

- Te twoje poparzenia...

- Już przestają mnie boleć.

Po chwili powiedział: - Będę bardzo delikatny.

- Wiem.

- Kocham cię.

- To też wiem.

Leżała w jego ramionach, uległa, z zamkniętymi oczami, i myślała, że mija właśnie siedem miesięcy i tydzień, odkąd ostatni raz powiedziała Howardowi, że go kocha.

Louise ubrała się bardzo starannie: w niebieską, lnianą sukienkę z pensjonarskim kołnierzykiem, dobrane kolorem balerinki, podkreślające drobność jej stóp, i białe rękawiczki, tak małe, że musiała kupować je w dziale dziecięcym. W ostatniej chwili wpięła jeszcze kokardę w swoje krótkie brązowe włosy, bo Charlie lubił, jak dziewczyny nosiły kokardy.

Poszła do salonu pożegnać się z rodzicami. Pan Lang rozwiązywał właśnie krzyżówkę z wieczornej gazety, a pani Lang zajęta była haftowaniem pierwszej z powłoczek na poduszki, które planowała wysłać rodzinie na Gwiazdkę.

- To ja wychodzę - rzuciła Louise, stając w drzwiach. - Będę krótko, ale nie czekajcie na mnie.

Pani Lang obrzuciła ją szybkim spojrzeniem znad okularów. - Wyglądasz ślicznie, kochanie. Prawda, Jack, że wyglądasz ślicznie?

Pan Lang odłożył gazetę i wstał, jakby Louise była obcą kobietą, wobec której należy wykazywać się szczególną rewerencją. Gdy siedział, wydawało się, że jest normalnego wzrostu, ale gdy wstawał, okazywało się, że jest niewiele wyższy od Louise, choć trzymał się bardzo prosto.

- Naprawdę wyglądasz prześlicznie, kochanie. Czy to jakaś wyjątkowa okazja?

- Nie.

- A dokąd się wybierasz?

- Do Bena i Charliego.

- Brzmi to jak nazwa speluny na końcu Side Street...

- Coś podobnego! - przerwała mu szybko pani Lang. - Daj spokój, Joe, daj już spokój. Przecież doskonale wiesz, kim są Ben i Charlie. To mili, godni szacunku...

Mąż uciszył ją machnięciem ręki, po czym zwrócił się znowu do Louise: - Innym dziewczętom wystarcza spotkanie

się z jednym gentlemanem na raz. Gentelmani ci, jak mnie się wydaje, zazwyczaj przychodzą po nie do domu. Ty jesteś inna?

- Sytuacja jest inna.

- A dokładnie na czym polega ta sytuacja?

- Po pierwsze, jestem wystarczająco dorosła, aby sama sobie dawać radę.

- Dorosła, owszem, w wieku trzydziestu dwóch lat powinnaś być dorosła, ale czy jesteś na to gotowa?

- Gotowa? - Louise spojrzała w dół, na swoje ciało, jakby ojciec zwrócił jej właśnie uwagę na coś, co jej jeszcze nie wyrosło, lub coś, co lekkomyślnie zostawiła gdzieś na trasie pomiędzy domem a biblioteką. - Tato, jadę pograć w karty z dwoma przyjaciółmi, którzy, tak się akurat składa, są rodzaju męskiego. Każdy z nich chętnie przyjechałby po mnie, ale mam własny samochód i lubię nim jeździć.

- Louise, kochanie, ja nie kwestionuję twoich motywów. Po prostu przypominam ci, że masz nikłe doświadczenie w... cóż, w trzymaniu mężczyzn w ryzach.

- Coś podobnego.

- Przypominam ci też, że pozory wciąż się liczą, nawet na tym zepsutym świecie. To niewłaściwe, aby dziewczyna twojej Masy i pozycji wymykała się potajemnie z domu, aby spotkać się z dwoma mężczyznami w ich miejscu zamieszkania.

- W ich domu, za pozwoleniem.

- Jak zwał, tak zwał.

- Będę zwała to domem - powiedziała ostro Louise. - Domem, w którym Charlie i Ben żyją, odkąd byli dziećmi. A jeśli chodzi o moje potajemne wymykanie się, to naprawdę nie łąda wyczyn, jeśli jedzie się sportowym samochodem, który słychać z odległości mili. Musiałabym być czarodziejką. A może już słuch ci nie dopisuje?

Pani Lang z trudem podniosła swoje obfite kształty, postępując z wysiłku. Stała między mężem i córką, jak wielki sędzia pomiędzy dwoma nieprzestrzegającymi zasad bokserami wagi lekkiej. - Dość już, jedno i drugie. Louise, jak ci nie wstyd tak pyskować ojcu. A ty, Joe, na miłość boską, musisz zdać sobie sprawę, że w naszych czasach ludzie nie przywiązują już takiej wagi do spraw typu odebranie dziewczyny z domu. Przecież Charlie nie jest jakimś obcym, kimś, kogo nie znasz. Poznałeś go, rozmawiałeś z nim. To miły, zgodny człowiek.

- Zgodny, faktycznie. - Pan Lang przytaknął sucho. - Zauważyłem, że jest gorąco, a on się zgodził. Powiedziałem, że to źle dla rynku papierów wartościowych, a on się zgodził. Stwierdziłem...

Louise przerwała mu: - Jest nieśmiały. Zawstydziliś go pytaniami o jego pochodzenie i pracę.

- Mnie nie przeszkadza, gdy pytają się o moje pochodzenie i pracę.

- Nie jesteś nieśmiały jak Charlie.

- A co sprawia, że Charlie jest nieśmiały?

- Wrażliwość, serce...

- Cechy, których ja nie posiadam?

Pani Lang położyła dłonie, wcale nie delikatnie, na ramionach Louise i wypchnęła ją za drzwi, do przedpokoju. - Idź już, kochanie, bo się spóźnisz. Nie zwracaj uwagi na tatę, ma ostatnio kłopoty ze swoim przełożonym. Masz klucze?

- Tak.

- Baw się dobrze, kochanie.

- Dobrze. - Louise wolno sięgnęła do kokardy we włosach. Przez materiał rękawiczki prawie jej nie czuła, ale wciąż tam była, dla Charliego. - Dobrze... dobrze wyglądam?

- Prześlicznie. Zdaje mi się, że już ci to mówiłam.

- Tak. Dobranoc, mamó.

Pani Lang upewniła się, czy drzwi zamknęły się za Louise, i wróciła do salonu, ciężko sapiąc, jakby sędziowanie męczyło bardziej niż bycie zawodnikiem. Chciała, aby Joe poszedł już spać, a sama mogłaby pomarzyć na jawie: Louise weźmie ślub w kościele, to oczywiste. W sukni do ziemi, takiej z długimi rękawami, zakrywającej jej chude nogi i ręce, w odpowiednim makijażu, powiększającym oczy - będzie wyglądała w miarę korzystnie. Ma ładny uśmiech. Louise ma bardzo ładny uśmiech.

Joe stał tam, gdzie go zostawiła, na środku pokoju. - Jaka tam wrażliwość, jakie tam serce. Mnie wydał się zwyczajnie głupi. Ledwo otwierał usta.

- Rzadko wydobywasz z ludzi ich najlepsze cechy.

- Dlaczego nie miałbym go pytać o pracę? Co ma do ukrycia?

- Nic - uspokajała go żona. - Przestań się już emocjonować, to ci szkodzi. Charlie Gowen to przystojny młodzieniec, ma dobre maniere i dochodową pracę. Podejrzewam, że może przebierać w dziewczętach. Powinieneś się cieszyć, że wybrał Louise.

- Powiniennem?

- A jeśli chodzi o tę jego nieśmiałość, dla mnie to miła odmiana. Tyle teraz przemądrzałych, zarozumiałych młodych ludzi. Louise to się wcale nie podoba. Ona jest bardzo uduchowiona. - Po czym dodała, tym samym tonem: - Ostrzegam cię, Joe. Jeśli zniszczysz jej szanse, pożałujesz.

- Szanse na co? Na bycie obgadywaną przez całe miasto? Na zepsucie sobie reputacji i utratę pracy?

- Louise i Charlie pobierają się.

Joe go na chwilę zamurowało. - Ach tak. Louise ci powiedziała?

- Nie.

- Charlie ci powiedział?



- Nie. Nikt mi nie powiedział. Nikt nie musiał mi mówić. Po prostu to czuję. - Znowu ułożyła się w fotelu i zabrała za robótkę. - Możesz śmiać się z mojej intuicji, ale czy nie miałam racji ostatniej jesieni, gdy mówiłam, że czuję w kościach mokłą zimę? Albo gdy powiedziałam, że pani Cudahy nie pociągnie nawet tydzień, i zmarło jej się następnego dnia? Nie miałam racji?

Milczał. Faktycznie, zima była mokra, pani Cudahy zmarła, a więc Louise wychodziła za Charliego.

Ben czekał na nią w drzwiach. Był świeżo ogolony - gdy podali sobie ręce, wyczuła zapach kremu po goleniu - i miał na sobie służbowy garnitur, a nie dżinsy i koszulkę, które zazwyczaj nosił po domu.

- Aleś ty elegancja - uśmiechnęła się. - Wybieramy się gdzieś? Ben wydawał się niespokojny. - Nie. To znaczy, ja wychodzę. Ty i Charlie możecie robić, co wam się tylko podoba, to zrozumiałe.

- Myślałam, że pogramy w trójkę w karty, jak zwykle. Dlaczego zmieniłeś plany? Coś się stało?

- Nie. Pomyślałem sobie tylko, że może ty i Charlie chcielibyście czasem zostać sami.

Ogarnęła ją panika, tak silna, że serce na kilka sekund przestało jej bić. Czowała je w piersi, ciężkie i milczące jak głaz. - Jeśli Charlie chciałby zostać ze mną sam na sam, na pewno sam by to załatwił, prawda?

- Niekoniecznie. Charlie może czegoś chcieć, ale często zdaje sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy mu o tym powiem.

- Dopiero, gdy mu o tym powiesz - powtórzyła. - No i? Powiedziałeś mu?

- Co?

- Że dzisiaj chciałby zostać ze mną sam na sam.

- Nie. Powiedziałem mu, że wychodzę.

- A on nie uciekł - dokończyła. - I to oznacza, że chciałby zostać ze mną sam na sam? Jakie to romantyczne.

- Nie bądź dziecinna, Louise. Przecież znasz Charliego tak dobrze jak ja. Słowo „romantyczne” nie należy do jego słownika. Pewnie nawet nie wie, jak to się pisze.

Cichy dźwięk z drugiego końca przedpokoju sprawił, że odwrócili się jednocześnie. Charlie stał w drzwiach do swojej sypialni, bez marynarki, z ręką na krawacie, jakby nie skończył jeszcze toalety.

- Właśnie że wiem - zmarszczył brwi. - Wiem, jak się pisze „romantyczne”. R - o - m - a - n - t - y - c - z - n - e.

Louise zawahała się przez chwilę, po czym kiwnęła potakująco głową. - Bardzo dobrze, Charlie.

- Wcale nie. To przecież nie jest trudne słowo. Już jak miałem dziewięć lat, wiedziałem, jak to się pisze.

- Jestem pewna, że wiedziałeś.

- Choć może nie. Z okresu, kiedy miałem dziewięć lat, nie pamiętam zbyt wiele. Ben pamięta za mnie. Wiesz, co sobie dzisiaj przypomniał?

- Nie. Co?

- Że jak byłem mały, miałem duże poczucie humoru.

- To mnie nie dziwi.

- Mnie tak. - Odwrócił się do Bena: - Myślałem, że miałeś wyjść. Nie mówiłeś mi tego?

- Mówiłem.

- Więc lepiej się pospiesz. Louise i ja musimy o czymś porozmawiać.

Louise zarumieniła się i wbiła wzrok w poplamiony, zniszczony dywan. Jedną z pierwszych rzeczy, za jakie się tu weźmie, będzie ten dywan. Miała na koncie pieniądze i zamierzała ich użyć, zanim tu kogoś zaprosi, nawet własnych rodziców.

- W porządku, aluzję zrozumiałem - odezwał się Ben, wyraźnie zadowolony. - Wiem, kiedy mnie nie chcą. Życzę wam obojgu dobrej nocy. Bawcie się dobrze.

Wyszedł, starannie i cicho zamykając za sobą drzwi, jakby bał się, że najmniejszy hałas może odwieść Charliego od jego zamiarów. Wieczorne powietrze było chłodne, ale za uszami i pod kołnierzykiem czuł strużki potu, pełzające jak zimne, niespokojne robaki. Zanim wszedł do samochodu, odwrócił się jeszcze, żeby spojrzeć na dom. Zasłony w salonie nie były zaciągnięte, widział więc Louise, siedzącą na sofie, i Charliego, stojącego przed nią, lekko pochylonego, jakby zaraz miał szepnąć jej coś do ucha.

Odetchnął, szybko i głęboko, jakby wstrzymywał oddech od lat. Długo stał na podjeździe, nie patrząc już na dom, skoncentrowany tylko na wdychaniu i wydechaniu, wdychaniu i wydechaniu, jak każdy wolny człowiek w letni wieczór.

Wygodnie ci? - zatroszczył się Charlie.

- Tak.

- Jeśli jest tu dla ciebie za chłodno, mogę włączyć kaloryfer.

- Jest w sam raz, naprawdę.

- Chyba nie myślisz, że zraniłem uczucia Bena, praktycznie każąc mu się wynosić?

- Jestem pewna, że nie poczuł się zraniony. Przestań się zamartwiać i usiądź.

Usiadł przy niej, a Louise przysunęła się lekko, tak że stykali się ramionami i mogła poczuć, jak gładką ma rękę, jak twarde są jego mięśnie pod skórą. Chciała pochwalić tę jego siłę, i wyznać mu, że bardzo podoba jej się siła połączona z taką delikatnością. Bała się jednak, że zawstydzony zaniemówi albo stwierdzi kategorycznie, że wcale nie jest taki, jakim go sobie wyobraziła, jest słaby i brutalny.

- Musiałem się go pozbyć - ciągnął Charlie - żebyśmy mogli porozmawiać, ty i ja. Ben nie musi o wszystkim wiedzieć, prawda?

- Prawda.

- Kiedy się tu kręci, a ja coś powiem albo się o coś zapytam, on zawsze chce wiedzieć dlaczego. Ben zawsze chce wiedzieć dlaczego. Czasami nie ma dlaczego. Ty to rozumiesz, prawda?

- Oczywiście - szepnęła Louise. - Tak to właśnie jest z miłością.

- Z miłością?

- Nikt nie potrafi wyjaśnić, czym ona jest, co powoduje, że ludzie zakochują się w sobie. Pamiętasz ten pierwszy wieczór, gdy siedziałeś w bibliotece, ja podniosłam na ciebie wzrok i zobaczyłam, że czytasz książkę o architekturze? To było takie dziwne, Charlie, jakby Ziemia zaczęła się szybciej kręcić, a ja musiałam uczeplić się jej z całych sił, aby nie spaść. Nie zwolniła ani na chwilę, Charlie.

Zapatrzył się w podłogę, ze zmarszczonym czołem, jakby chciał zobaczyć, jak się kręci. - Nie podoba mi się ta myśl. Kręci mi się od niej w głowie.

- Mnie też się kręci w głowie. Więc nam obojgu kręci się w głowach. I co z tego?

- To nienaukowe. Nikt nie może poczuć obrotów Ziemi.

- Ja mogę.

Odsunął się od niej, jakby właśnie wyznała, że cierpi na chorobę, którą nie chciałby się zarazić. Potem wstał i podszedł do okna. Dostrzegł na podjeździe ciemną sylwetkę mężczyzny i domyślił się, że to musi być Ben. Zmartwiło go to. Ben nie miał w zwyczaju wystawać cicho na podjazdach, zawsze był zajęty, w ciągłym ruchu, zupełnie jak Ziemia, od której ludziom kręci się w głowie, od której stają się niepewni i nie

mogą znaleźć odpowiedzi na pytanie dlaczego, nawet jeśli ta odpowiedź akurat istnieje.

- Powiedziałaś Benowi, o czym rozmawialiśmy przez telefon? - zapytał.

- A o czym rozmawialiśmy...?

- O informacji, którą prosiłem, abyś dla mnie zdobyła. O tym domu, o tym, kto mieszka na Jacaranda Street. Dowiedziałaś się tego dla mnie?

Louise siedziała w kompletnym bezruchu, pomyślał więc, że zasnęła z otwartymi oczami, snem bez snów, bo jej twarz nie miała żadnego wyrazu. Miłe sny przywodzą na twarz uśmiech, w trakcie niemiłych się płacze i budzi z krzykiem, i przychodzi Ben, i pyta dlaczego?

Podszedł i położył jej rękę na ramieniu, żeby ją obudzić. - Louise? Nie zapomniałaś o tym, prawda? To dla mnie ważne. Widzisz, ci ludzie - ludzie, którzy mieszkają w tym domu - mają psa, małego brązowego pieska. Gdy dziś rano tamtędy przejeżdżałem w drodze do pracy, ten piesek pobiegł za moim samochodem i o mało co go nie przejechałem. Cał dalej, i już by nie żył. Muszę powiedzieć tym ludziom, żeby lepiej zajmowali się swoim pieskiem, bo jeszcze przejedzie go samochód. Czy nie postępuję słusznie?

Zorientował się, że ona nie śpi, bo poruszyła się i mrugnęła oczami, ale w dalszym ciągu milczała.

- Louise?

- Czy... czy to właśnie o tym chciałeś ze mną porozmawiać?

- No, tak. Dla ciebie może to mało ważne, ale ja kocham psy. Nie mógłbym żadnego skrzywdzić, nie mógłbym znieść widoku jego poszarpanego, zakrwawionego ciała.

Spojrzała na swoją niebieską sukienkę. Była nieskazitelnie czysta, niepognieciona. Nic nie świadczyło o tym, że Louise wybiegła na ulicę za samochodem Charliego, została

wciągnięta pod koła i zmasakrowana, a Charlie, nieświadomy, że coś się w ogóle stało, jechał dalej. Niczego nie dostrzegał, a czuł jeszcze mniej. Może i poczułem lekkie uderzenie, ale pomyślałem, że to dziura w nawierzchni, naprawdę nie wiedziałem, że to ty, Louise. Co ty robiłaś na drodze, skąd przyszło ci do głowy, żeby gonić za samochodami jak pies?

- Oakley - powiedziała wysokim, cienkim głosem. - Pani Cathryn Oakley.

- Czyli piesek nie ma taty?

- Chyba nie.

- Imię pisze się przez C czy przez K?

- C - a - t - h - r - y - n.

- Musiałaś to sprawdzić w spisie?

- Tak. Pani Oakley widnieje na liście jako głowa rodziny, ma jedno dziecko.

Charlie zaczerwienił się, jakby wszedł z mrozu do ciepłego pomieszczenia. - Dziwne, że mieszka w takim wielkim domu sama, tylko z małą dziewczynką.

Jak tylko wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Ale Louise chyba nie zauważyła. Wstała i obiema rękami zaczęła otrzepywać sobie sukienkę. Widział zarys jej ud - szczupłych, drobnych, sama skóra i kości, bez ciała, które chroniłoby je przed zgnieceniem pod ciężarem mężczyzny. Nie miała podwiązek i chętnie by ją zapytał, jak to się dzieje, że nie spadają jej pończochy. Było to zupełnie niewinne pytanie, ale obawiał się, że zareaguje tak, jak zrobiłby to Ben, zupełnie jakby takie myśli nie przychodziły do głowy innym mężczyznom, tylko jemu, Charliemu. „Czemu o to pytasz, Charlie?” „Bo chcę wiedzieć”. „Ale dlaczego chcesz to wiedzieć?” „Bo to jest interesujące”. „Ale dlaczego to jest interesujące?” „Bo grawitacja ciągnie jej pończochy w dół, musi więc robić coś, żeby jej przeciwdziałać”.

Louise wyjęła z torebki rękawiczki i zaczęła je zakładać. Starannie wygładzała materiał na każdym ze sztywno wyciągniętych palców. Charlie odwrócił wzrok, jakby była to czynność bardzo intymna, której nie miał prawa być świadkiem.

- Lepiej już pójdę - oznajmiła.

- Ale dopiero co przyszłaś. Myślałem że porozmawiamy, ty i ja.

- Już rozmawialiśmy, nieprawdaż?

- Niezupełnie...

- Myślę, że najważniejsze sprawy zostały omówione: pani Oakley, jej pies i jej dziecko. To był główny punkt dzisiejszego programu, prawda? Może jedyny?

Głos miała życzliwy, uśmiechała się, ale Charlie poczuł przed nią gwałtowny, obezwładniający strach. Zaczął odsuwać się od niej w tył, aż pośladkami i ramionami dotknął ściany. Ściana była chłodna, pięły się po niej ognistoczerwone róże.

- Nie - - szepnął. - Nie rób mi krzywdy.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, jedynie jej uśmiech lekko zbladł.

- Louise, jeśli coś zrobiłem źle, przepraszam. Staram się robić to, co ty i Ben każecie mi, bo sam czasami nie myślę zbyt szybko. Ale dzisiaj nikt mi niczego nie kazał.

- To prawda. Nikt ci niczego nie kazał.

- Więc skąd miałem wiedzieć? Zobaczyłem, jak ty i Ben patrzycie na siebie w przedpokoju, i mogłem wyczuć, czułem, że czegoś ode mnie chcecie, ale nie rozumiałem czego. Ty i Ben jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi. Zrobiłbym dla was wszystko, jeśli tylko powiedzielibyście mi co.

- Ja tego nie zrobię.

- Czemu nie?

- Sam do tego musisz dojść, bez Bena i beze mnie.

- Nie mogę. Me mogę. Pomóż mi. Wyciągnij do mnie rękę. Podeszła do niego z otwartymi ramionami, wyciągniętymi sztywno

przed siebie, jak robot słuchający rozkazu. Charlie chwycił jej rękę i przycisnął je sobie mocno do piersi. Czowała szybkie, lękliwe łomotanie jego serca i chciała, aby nagle przestało już bić na zawsze, a jej razem z nim.

- O Boże, Louise, nie zostawiaj mnie samego w tym zimnym mroku.

- Nie mogę ci go rozjaśnić - powiedziała cicho. - Ocieplić - tak, bo będzie nas dwoje. Miałam o tobie głupiutkie sny, Charlie, ale nigdy nie okłamywałam się myślą, że mogłabym rozjaśnić twoje życie, gdy innym, nawet zawodowcom, się to nie udało. Ale mogę dzielić z tobą twój mrok, jeśli będziesz mnie potrzebował. Wiem, czym jest mrok, sama go w sobie noszę.

- I możesz się nim ze mną podzielić?

- Tak.

- I ja też mogę ci pomóc?

- Już to zrobiłeś.

Przycisnął ją mocno do siebie. - Już cieplej, prawda, Louise? Nie czujesz?

- Czuję.

- Pomyśleć tylko, ja komuś pomagam. To ci dopiero. Śmiać mi się chce. Chce mi się głośno śmiać.

- Nie śmieć się.

Jedną dłoń położyła mu lekko na ustach i patrzyła mu głęboko w oczy, jakby były to dwa jeziora. Na powierzchni dostrzegła własne odbicie, ale pod nią czaiły się rozmaite dziwne istoty, poruszające się tajemniczo w tę i z powrotem, do siebie i od siebie; przychodziły, odchodziły, zderzały się ze sobą, zupełnie poza czasem, radością czy żalem. Na dnie zimnych, ciemnych odmętów leżały kamienie śmierci, ale



małe, zielone stworzonka - czepiające się ich - żyły i nie bały się. Miały wystarczająco dużo światła, aby przeżyć, nawet tu, w dole, a na pocieszenie miały też siebie nawzajem.

Charlie odezwał się: - Czemu... czemu tak na mnie patrzysz?

- Bo cię kocham.

- To nie powód.

- To powód dobry na wszystko.

- Mówisz jeszcze większe głupoty niż ja - stwierdził, dotykając jej włosów i kokardy. - Lubię głupiutkie dziewczynki.

- Nikt mnie wcześniej nie nazwał głupiutką dziewczynką. Nie jestem pewna, czy mnie się to podoba.

- Podoba ci się. Widzę to.

Zaśmiał się, cicho i z satysfakcją, a potem wziął ją w ramiona i zaniósł na sofę. Usiadła mu na kolanach, przyciskając twarz do jego ciepłej, wilgotnej szyi.

- Louise - szepnął. - Chciałbym, abyśmy wzięli ślub w kościele, ty i ja, z wszystkimi szukanami.

- Też tego chcę.

- Ty w długiej, puszystej sukni, ja w prążkowanych spodniach i fraku. Mógłbym to wypożyczyć u Cosgrave'a. Jeden z chłopaków z pracy wypożyczył taki strój na ślub siostry i mówił, że czuł się jak ambasador. Nawet nie chciał go oddać, bo tak naprawdę to jest tylko kierowcą ciężarówki. Też chętnie poczułbym się jak ambasador, chociaż na kilka godzin.

- Ambasador czego?

- Wszystko jedno. Sądzę, że oni wszyscy czują się podobnie.

- Myślę, że przez kilka godzin zniosłabym bycie żoną ambasadora - powiedziała rozmarzonym tonem Louise - o ile na koniec wróciłbyś do mnie dokładnie taki sam jak teraz.

- Dokładnie taki sam?

- Tak.

- Teraz znowu pleciesz głupoty. To przecież niemądre, chcieć mnie takiego, jaki właśnie jestem, z wszystkimi moimi... problemami.

- Ciii. Nie myśl o problemach, pomyśl o nas. Musimy zacząć planować. Po pierwsze, trzeba zdecydować się na kościół i dzień i zrobić rezerwację. Ktoś mi mówił, że jesienne śluby stają się popularniejsze nawet od czerwcowych.

- Jesienne - powtórzył. - Ale mamy już sierpień.

- Jeśli to dla ciebie zbyt wcześnie - dodała szybko - możemy to odłożyć. Zbyt wcześnie, Charlie?

Znała odpowiedź, jeszcze zanim zadała pytanie. Mięśnie na rękach mu zeszywniały, a puls na szyi stał się szybki i nieregularny. Tak, jakby mógł wyobrazić ją sobie w długiej, puszystej sukni i siebie we fraku, wyglądającego jak ambasador, ale nie był w stanie połączyć obu wizji w jednym miejscu i jednym czasie.

- Z drugiej strony - ciągnęła - jak się lepiej zastanowić, to faktycznie wygląda mi to na nadmierny pośpiech. Trzeba pomyśleć o tylu rzeczach, a tu, jak powiedziałeś, już sierpień.

- Tak.

- Zawsze myślałam, że Boże Narodzenie to znakomity czas na śluby. Dokoła panuje wtedy taka radość, te wszystkie prezenty i kolędy. I na Gwiazdkę pogoda zazwyczaj dopisuje. Czasami to najlepsza pogoda w ciągu roku. Nie musiałbyś się martwić, że deszcz pomoczy ci te prążkowane spodnie. Z mokrymi spodniami chyba nie czułbyś się jak ambasador, prawda?

- Pewnie nie.

- A lubisz Gwiazdkę? Otwieranie prezentów i tak dalej? Oczywiście, nie chcę cię ponaglać. Jeśli wolałbyś zaczekać do wczesniej wiosny albo nawet do czerwca...

- Nie - powiedział, wzruszony tym, jak bardzo chciała mu dogodzić, i chcąc samemu zrobić jej przyjemność. - Nie chcę czekać nawet do Gwiazdki. Myślę, że powinniśmy pobrać się od razu. Może w pierwszym tygodniu września, jeśli do tego czasu będziesz już gotowa.

- Jestem gotowa już od roku.

- Rok temu się poznaliśmy.

- Wiem.

- Chcesz powiedzieć, że zakochałaś się we mnie od razu, od pierwszego wejrzenia, nic o mnie nie wiedząc? To zabawne.

- Nie dla mnie. Och, Charlie, jestem taka szczęśliwa.

- To dopiero, ja kogoś uszczęśliwiłem - powiedział Charlie. - Ben będzie z pewnością zaskoczony.

Ben już nigdy więcej nie będzie mógł powiedzieć nie wiem. Będzie musiał przyznać, że żaba zamieniła się w królewicza, który żył ze swoją królową długo i szczęśliwie.

- Louise, właśnie sobie pomyślałem: a co, jeśli twoi rodzice się nie zgodzą? Twój tata chyba za mną nie przepada.

- Nieprawda. Dziś, jak wychodziłam, powiedział mi, że jesteś miłym młodzieńcem.

- Naprawdę?

- Ale to i tak nie miałyby znaczenia.

- Miałyby. Chcę, żeby wszystko było jak trzeba, żeby wszyscy byli... cóż, po naszej stronie.

- Wszystko będzie jak trzeba - zapewniła. - Wszyscy są po naszej stronie.

Pomyślała o małych, zielonych stworzeniach, czepiających się kamieni na dnie zimnych, ciemnych odmętów. Żyły, choć miały tylko siebie nawzajem.

W południe następnego dnia Kate Oakley dostała list. Była w domu sama, Mary Martha poszła na plac zabaw z Jessie i jej bratem, Mikiem, który miał pilnować, żeby dziewczynki trzymały się z dala od drabinek i nie pobrudziły ubrań. Kate obiecała, że zaraz po obiedzie zawiezie je do Muzeum Historii Naturalnej.

Lubiła zabierać je w różne miejsca, żeby ludzie myśleli, że obie są jej córkami, ale akurat tej wycieczki obawiała się. Muzeum było kiedyś - a może wciąż - jednym z ulubionych miejsc Sheridana. Nie widział Mary Marthy od czterech miesięcy i Kate bała się, że gdyby teraz na siebie wpadli, doszłoby do publicznej awantury - cichej i ociekającej sarkazmem, jeśli byłby trzeźwy, głośniejszej i płaczliwej, jeśli nie. Musiała jednak zaryzykować. Mało było miejsc, do których mogła zabierać Mary Marthę za darmo, a ostatnio wcale im się nie przelewało.

Od prawie dwóch miesięcy nie dostała od Sheridana czeku na utrzymanie. Wiedziała, że to jego sposób na ukaranie jej za to, że nie pozwalała mu widywać się z Mary Martha, ale postanowiła wytrwać. Była silna - silniejsza niż on - i w końcu wygra, zdobędzie pieniądze potrzebne na wychowanie Mary Marthy tak, jak ta na to zasługiwała. Wszystko będzie tak jak było. Zacznie przychodzić pani do sprzątanania i prania, będzie też miała krawcową, która uszyje Mary Marcie ubrania do szkoły, oraz ogrodnika, który skosi trawnik, przytnie żywopłoty i spryska trujący bluszcz. Zakupy spożywcze zaczną jej przywozić do domu, a Kate będzie podpisywać rachunki bez sprawdzania, czy się zgadzają, i dawać chłopakowi napiwek w postaci pieniędzy, a nie uśmiechu, tak jak teraz.

Napiwki uśmiechem nic nie kosztowały, ale mimo to były drogie. Pochodziły z jej prywatnego konta, z osobistego

kapitału. Od wielu lat niczego do tego kapitału nie dodawano; nie była kochana ani nie kochała, nie miała i nie budziła litości; była głodna, a nie chciała jeść; zmęczona, a nie mogła odpocząć; samotna, a do nikogo nie wyciągnęła ręki. Czasami, nocą, gdy Mary Martha już spała, Kate czuła zbliżające się bankructwo, ale nie zdawała sobie sprawy, że z brakiem pieniędzy ma ono niewiele wspólnego.

Odkurzała właśnie w salonie, gdy zobaczyła listonosza idącego kamienną ścieżką. Wyszła do holu, ale nie otworzyła drzwi, żeby się z nim przywitać. Zaczekała, aż wrzuci listy do środka przez szparę w drzwiach, po czym pozbierała je chciwie z podłogi. Czemu od Sheridana nie było, jedynie kilka rachunków i biała koperta z jej nazwiskiem i adresem, wypisanym drukowanymi literami. Zawartość koperty została wciśnięta w jej róg, jak moneta owinięta w papier, i w pierwszej chwili pomyślała, że to jeden z pomysłów Sheridana - wysłać jej dziesięć czy dwadzieścia pięć centów sugerujących, że więcej nie jest warta. Rozerwała kopertę paznokciem kciuka.

W środku nie było monety, tylko zwykła kartka wyrwana z notesu, wielokrotnie złożona i pozaginana, jak sekretne liściki przesyłane przez dzieci w czasie lekcji. List napisany był czarnym atramentem i równymi, drukowanymi literami:

„Pani córka za bardzo naraża swoje delikatne ciało. Dzieci trzeba otaczać staranną opieką, strzec je przed niebezpieczeństwami życia, dbać, by dostawały dobre, pożywne posiłki, aby ich kości miały dobrą izolację. I ubrania. Powinna pani ubierać ją w więcej ubrań, żeby chronić jej ręce, nogi, itd. Na miłość boską, błagam, proszę lepiej zajmować się swoją małą córeczką”.

Przez chwilę stała, wstrząśnięta. Gdy krew zaczęła znowu szybciej krążyć jej w żyłach, przeczytała go jeszcze raz, wolniej i dokładniej. W ogóle nie miało to sensu. Nikt - nawet

Sheridan, który oskarżał ją, o co tylko mógł - nie zarzucił jej jeszcze, że zaniedbuje Mary Marthę. Zawsze była nakarmiona, odpowiednio ubrana, pod dobrą opieką. Co więcej, była dziewczynką raczej spokojną, nie lubiącą się narażać, chyba że została wyzywana przez Jessie.

Złożyła list i włożyła go z powrotem do koperty. Pomyślała: To nie może być pomyłka, list zaadresowany jest do mnie, właśnie tak pisze się moje imię. Może to jakiś fanatyk religijny z sąsiedztwa, uprzedzony do rozwódek, ale to raczej niemożliwe w czasach, gdy rozwody są na porządku dziennym.

Jedno było pewne: list stanowił atak, a osobą, która pierwsza byłaby w stanie ją zaatakować, był Sheridan.

Poszła do holu i zadzwoniła do biura Ralpha MacPhersona. - Mac, nie chciałabym znowu zawracać ci głowy...

- Nie szkodzi, Kate. Lepiej się dzisiaj czujesz?

- Czułam się lepiej, aż przyszła poczta. Właśnie dostałam anonimowy list i chyba wiem od kogo...

- Nie myśl o tym, Kate. Podrzyj i zapomnij.

- Nie, chcę, żebyś go zobaczył.

- Widziałem już sporo takich listów - oświadczył. - Wszystkie są takie same, chore i zepsute.

- Chcę, żebyś go zobaczył - powtórzyła - bo jestem prawie pewna, że to od Sheridana. Jeśli tak, posunął się dalej, niż się spodziewałam. Może nawet... może nawet da się postawić go przed sądem.

- To mocne słowa w tych stronach, Kate. Nie tylko w tych stronach.

- Każdego dnia oddaje się do sądu mnóstwo ludzi.

- Ale nie za poświadczeniem niezadowolonego współmałżonka... No dobrze. Przynieś mi ten list do biura. Będę tu do pierwszej trzydzieści, później wychodzę do sądu.

- Dziękuję, Mac. Bardzo ci dziękuję.

Ubrała się pospiesznie, choć starannie, jakby miała wystąpić przed wieloma ludźmi, między którymi mógł znajdować się autor listu.

Przed wyjściem z domu upewniła się, czy wszystkie okna i drzwi na parterze są zamknięte, a po wyprowadzeniu samochodu zamknęła i garaż. Nie posiadała nic, co można by ukraść, ale zamykanie wszystkiego na klucz przerodziło się u niej w nałóg. Nie myślała już, że drzwi służą do otwierania; drzwi były do zamykania, do odgradzania się od ludzi.

Zazwyczaj prowadziła swój mały samochód, w ogóle o tym nie myśląc, ale tego dnia jechała tak, jak się ubierała - z wielką starannością, bojąc się, że śledzi ją para nieprzyjaznych oczu, gotowa w każdej chwili oskarżyć ją o bycie złą matką, potępić ją za najmniejszy błąd - migacz wrzucony trochę za późno, zakręt wzięty trochę za szybko.

Skierowała się w stronę placu zabaw, z zamiarem poinformowania dziewczynek, że przyjdzie po nie później. Przejechała ze trzy przecznice, gdy, hamując na czerwonym świetle, w tylnym lusterku dostrzegła stare, zielone coupe, zatrzymujące się tuż za nią. Kate zwracała na samochody większą uwagę niż przeciętna kobieta, zwłaszcza że mieszkała sama, więc natychmiast rozpoznała w nim auto, które poprzedniego popołudnia parkowało przed jej domem.

Starła się zachować spokój, tak jak kazał jej Mac: Me wyciągaj pochopnych wniosków, Kate. Jeśli myślałaś, że w tym samochodzie jest Sheridan, dlaczego nie wyszłaś i nie stanęłaś z nim twarzą w twarz, nie sprawdziłaś, czy to naprawdę on? Jeśli zdarzy się to znowu...

Cóż, zdarzyło się to znowu.

Otworzyła drzwiczki i już postawiła jedną nogę na ziemi, kiedy zmieniły się światła. Lewy pas był wolny, zielone coupé skręciło na niego i ze zgrzytem zacieranej skrzyni biegów

śmignęło obok niej. Brudne okna były zamknięte, mogła jedynie dostrzec, że za kierownicą siedzi mężczyzna. To jej wystarczyło. Śledził ją Sheridan. Może, gdy listonosz przyniósł jej list, czekał przed domem, chcąc zobaczyć jej reakcję. Pomyślała: Proszę bardzo, Sheridanie, oto moja reakcja.

Decyzję podjęła tak szybko, że nie zamknęła nawet drzwiczek. Wcisnęła gaz i pęd powietrza sprawił, że zamknęły się same. Przez kilka następnych minut nie wiedziała, co dzieje się z nią samą ani z samochodem; tak, jakby obojgiem kierował diabeł, a on nie odpowiadał przed nikim i za nikogo, to on był panem dróg, niech inni korzystają z nich na własne ryzyko.

Przez niezliczone ulice, zakręty, parkingi, goniła za zielonym coupé. Dwa razy była już tak blisko, że mogła przyprzeć je do krawężnika, ale za każdym razem wymykało się jej. Nie słyszała nawet skierowanych do siebie klaksonów i krzyków, dopóki nie stanęła na czerwonym świetle. Gdy nagle pojawiła się przed nią ciężarówka, usłyszała pisk własnych hamulców. Głowa poleciała jej do przodu i zatrzymała się na kierownicy. Siedziała jak ogłuszona, a kierowca ciężarówki gramolił się z szoferki.

- Jezus Maria, pijana, czy co? Było czerwone.

- Ja nie... nie widziałam.

- Następnym razem patrz, paniusiu. O mało co się nie zabiłaś. Zepsułaś mi papiery, jestem najlepszym kierowcą w mojej firmie. Jak facet ma mieć czyste papiery, skoro po mieście szaleją dzikie baby w samochodzikach dla dzieci?

- Zamknij się pan - warknęła. - Zamknij się pan.

- A teraz pozujemy na twardą, tak? Słuchaj, mała, będziesz miała szczęście, jeśli nie zgłoszę cię na policję za nieostrożną jazdę, a może za jazdę po pijanemu. Piłaś?

- Nie.



- Wszyscy tak mówią. Gdzie twoje prawo jazdy?
- W torebce.
- Wyjmuj.
- Proszę nie...

- O mały włos nie doszło do wypadku, więc muszę cię wylegitymować, nie? Może masz obowiązek noszenia okularów albo aparatu słuchowego.

Zaczęła grzebać w torebce, aż znalazła portfel, a w nim prawo jazdy. Na niewielkim zdjęciu, zrobionym w dniu zdanego pomyślnie egzaminu, uśmiechała się do aparatu pewnie i radośnie.

Widziała, jak kierowca ciężarówki gapi się z niedowierzaniem na zdjęcie. - To ty?

Chciała go walnąć między oczy, ale powiedziała tylko: - Zrobione trzy lata temu. Byłam... wiele od tego czasu przeszłam. Gdy chudniesz, zawsze odbija się to na twarzy, wygląda się, cóż... starzej. Chciałam użyć jakiegoś lepszego słowa, ale nie istnieje, prawda? Bardziej wiekowo? Wcale nie lepiej. Leciwie, sędziwie? Zgrzybiałe? Przystarzałe?

- Proszę pani, wcale nie o to mi chodziło. - Wyglądał na zawstydzonego. - Znaczy się... kurde, spadajmy stąd.

Dokoła nich zaczął zbierać się tłumek. Kierowca ciężarówki machnął ręką, by odgonić gapiów, i wdrapał się do szoferki. Zielone coupe już dawno zniknęło.

Obie dziewczynki, z polecenia Mike'a, siedziały na ławce, w części placu zabaw odgradzonej od ulicy wysokim żywopłotem z oleandrów. A Mike leżał obok na trawie, twarzą w dół, i słuchał relacji z meczu baseballowego, dochodzącej z przenośnego radia. Co jakiś czas podnosił głowę, patrzył autorytatywnie na zegarek i obrzucał dziewczynki czymś, co w jego mniemaniu miało być hipnotyzującym spojrzeniem.

Przez siedem minut siedziały w zupełnej ciszy i bezruchu, jeśli nie liczyć mrugania od czasu do czasu oczami i ruszania

nosem. Mike zaczął już się martwić, czy naprawdę ich nie zahipnotyzował, i jak je teraz odhipnotyzować, gdy Jessie nagle zeskoczyła z ławki.

- Och, nienawidzę tej gry! Co to w ogóle za gra - kto dłużej wytrzyma bez ruchu!

- Po prostu wściekasz się, bo Mary Martha wygrała - stwierdził z wyższością Mike. - Byłem gotów się założyć, że to ona wygra. Ty nie potrafisz zamknąć jadaczki nawet na moment.

- Potrafię, jeśli chcę.

- Terefere.

- A ja wiem, dlaczego każesz nam tu siedzieć!

- O, wyrocznio, podziel się z nami tą informacją.

- Żeby żaden z twoich kumpli nie nakrył cię na niańczeniu dzieci. Słyszałam, jak mówiłaś tacie, że nie będziesz mogła spojrzeć ludziom w oczy, jeśli zobaczą, że bawisz się z dwiema dziewczynkami. Ale tata powiedział, że i tak musisz się z nami bawić. Bo jak nie...

- Chciałbym właśnie zobaczyć, co: jak nie - oświadczył z odrazą. - Nie może być nic gorszego niż pilnowanie dwóch przygłupich smarkul, które powinny już same umieć się sobą zająć. Ja w waszym wieku nie potrzebowałem niańki.

Jessie zarumieniła się, ale jedyne miejsce, w którym było to widać, stanowił grzbiet jej nosa, gdzie po licznych poparzeniach zaczęła już schodzić jej skóra. - Ja też nie potrzebuję niańki, tyle tylko, że bołą mnie ręce.

- Serce mi krwawi z powodu twoich biedniusich rączek. Kurczę, masz z tych paru pęcherzy więcej korzyści niż ja uzyskałbym ze złamanego kręgosłupa.

- Jeśli to ja wygrałam - odezwała się tęsknie Mary Martha - to czy mogę się już ruszać? Pszczoła mi siedzi na ręce i łaskocze mnie.

- Więc ty też ją polaskocz - zasugerował Mike i podgłosił radio.

- Jezu, ależ on jest niedobry - szepnęła Mary Martha, skrywając usta dłonią. - Taki już się urodził?

- Znam go dopiero od dziewięciu lat, ale pewnie tak.

- Może zła wiedźma go przeklęła albo rzuciła na niego zły urok. Znasz jakieś przekleństwa?

- Nie, tylko c - h - o - l - e - r - a, ale nigdy tego nie mówię.

- Nie, chodzi mi o prawdziwe przekleństwa. - Mary Martha zmarszczyła twarz, żeby wyglądać w miarę wiedźmowato, po czym przemówiła wysokim, przejmującym głosem: - Hokus - pokus / I jad kobry / Mike, gdy dorośnie / Będzie niedobry.

- Sama to wymyśliłaś? - spytała Jessie.

- Tak.

- Świetne.

- Też tak myślę - odparła skromnie Mary Martha. - Mogłybyśmy wymyślić całą masę takich przekleństw, na wszystkich ludzi, których nienawidzimy. Od kogo zaczniemy?

- Od wujka Howarda.

- Nie wiedziałam, że nienawidzisz wujka Howarda.

Jessie wyglądała na zaskoczoną, jakby sama też o tym nie wiedziała, dopóki te słowa nie padły z jej ust. Zerknęła szybko na Mike'a, żeby zobaczyć, czy nie podsłuchuje, ale pochłonięty był meczem, a oczy miał zamknięte. W końcu spytała:

- Nikomu nie powiesz, prawda?

- Z ręką na sercu. Teraz zacznijmy go przeklinać. Ty pierwsza.

- Nie, ty pierwsza.

Mary Martha przybrała swoją wiedźmową minę i głos: - Hokus - pokus / Stara musztarda / Wszyscy nie cierpią / Wujka Howarda.

- Ten nie podoba mi się już tak bardzo - oświadczyła poważnie Jessie.

- Dlaczego?

- Och, nie wiem. Pobawmy się w coś innego.

Z ulicy dobiegł dźwięk klaksonu - powtarzające się trzy sygnały krótkie, dwa długie.

- To moja mama - domyśliła się Mary Martha. - Lepiej obudźmy Mike'a i powiedzmy mu, że idziemy.

- Nie śpię, matołku - oznajmił Mike, otwierając oczy i ścisząc radio. Spojrzał na zegarek: - Dopiero piętnaście po dwunastej. A miała tu być o pierwszej. - Przeturlał się na plecy i wstał. - Cóż, darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Chodźcie, kochane maleństwa. Rakieta czeka.

- Nie musisz nas odprowadzać - zapewniła Jessie.

- Żartujesz? Chcesz powiedzieć, że jesteś w stanie stąd wyjść, nie łamiąc sobie przy okazji obu nóg? Nie wierzę. Pokaż.

- Och, zamknij się - dodała lojalnie Mary Martha.

Wyszły przez kamienny łuk ramię w ramię, jakby chcąc zademonstrować solidarność w obliczu wroga.

Mike zaczekał kilka chwil, po czym ruszył za nimi. Zobaczył panią Oakley, która wyszła na chodnik, żeby z nimi porozmawiać. Mary Martha i jej mama wsiadły do auta, ale Jessie odwróciła się i skierowała w stronę placu zabaw, sama. Głowę trzymała wysoko, a wyraz jej twarzy sprawiał wrażenie wypracowanej i wymuszonej obojętności.

- Co jest? - spytał Mike.

- Nie jedziemy dzisiaj do muzeum.

- Dlaczego nie?

- Pani Oakley musi coś załatwić na mieście. Mary Martha nie chciała z nią jechać, ale musiała.

- Czemu?

- Pani Oakley nie będzie jej już zostawiać samej na placu zabaw.

- Jak to samej? - skrzywił się Mike. - Jest ze mną.

- Chyba chodziło jej o kogoś dorosłego.

- A kto ja niby jestem? Dwulatek? Kurczę, z babami nigdy nie wiadomo... No dobrze, chodź, nie ma po co tu sterczeć. Wracamy do domu.

- Dobrze.

- Nie chcesz się nawet kłócić?

- Nie.

- Ty jesteś chyba chora, mała.

Przykro mi - powiedziała Kate Oakley, trzeci czy czwarty raz. - Nie chciałam sprawiać zawodu tobie i Jessie, ale nic na to nie poradzę. Coś mi wyskoczyło i muszę się tym zająć. Rozumiesz, prawda?

Mary Martha kiwnęła głową. - Ale mogłam przecież zostać z Jessie na placu zabaw, a ty zajęłabyś się tym sama.

- Chcę cię mieć przy sobie.

- Dlaczego? Żebym cię mogła bronić?

- Nie - zaśmiała się Kate, cicho a przenikliwie. - Poplątało ci się, pieścioszku. To ja bronie ciebie. Skąd przyszło ci do głowy, że potrzebuję twojej ochrony?

- Nie wiem.

- Czasami twoje pomysły naprawdę mnie zadziwiają. Naprawdę, aniołku, to w ogóle nie ma sensu. Ja jestem dorosła, a ty jesteś małą dziewczynką. Zgadza się?

- Tak, mam - odparła grzecznie Mary Martha. Chciała zapytać, przed czym mama ją broni, ale widziała, że Kate jest już i tak wytrącona z równowagi. Wszystkie znaki na to wskazywały: niektóre z nich były subtelne, jak drobna

wysypka na szyi; inne oczywiste, jak to, że założyła wielkie okulary przeciwsłoneczne. Mary Martha nie rozumiała, dlaczego jej mama w chwilach napięcia zakładała te właśnie okulary, ale naprawdę tak było. Czasami nosiła je nawet w domu albo w pochmurne dni, i Mary Martha znienawidziła je. Były jak mur czy zamknięte drzwi, za którymi dzieją się nieopisane, nieopisywalne rzeczy. Jeśli rzuciło się w ten mur jakimś pytaniem, odbijało się jak piłka do ping - ponga: Co masz na myśli, jagniątko?

Dotarły wreszcie do centrum. Kate zaparkowała za białym, czteropiętrowym budynkiem, w którym mieściło się biuro Maca. Dopiero wtedy Mary Martha uświadomiła sobie, dokąd mama się wybiera, i dreszcz przeszył ją na samą myśl, że będzie musiała czekać na nią w sekretariacie i słuchać opadających i wznoszących się głosów, i tak nie rozumiejąc tego, co słyszy. Jeśli głosy stawały się zbyt wyraźne, panna Edgeworth, recepcjonistka Maca, zaczynała głośno i z ożywieniem mówić o pogodzie, pytać Mary Marthę o szkołę i chwalić jej sukienkę.

Gdy mama wysiadła z samochodu, Mary Martha nie wykonała żadnego ruchu.

- No? - rzuciła Kate. - Nie idziesz?

- Mogę zaczekać tutaj.

- Nie. Temu parkingowemu źle patrzy z oczu. Nie można ufać takim...

- Mogłabym też pójść do biblioteki i zacząć pisać którąś z moich recenzji.

- Nie wydaje mi się, aby dziewięciolatka mogła chodzić samopas po centrum miasta.

- Biblioteka jest w następnym budynku.

Kate zawahała się. - No dobrze. Ale musisz mi obiecać, że pójdziesz prosto tam, nie będziesz się włóczyła po sklepach ani nic takiego. I jak tam wejdiesz, masz zostać. Nieważne,

jak długo mnie nie będzie, nie przychodź mnie szukać, po prostu czekaj na mnie.

- Obiecuję.

- Jesteś grzeczną dziewczynką, Mary Martho.

Mary Martha wysiadła z samochodu. Ucieszyła się, że mama nazwała ją grzeczną dziewczynką, nie rozumiała jednak, dlaczego powiedziała to takim dziwnym, smutnym głosem, jakby ciężiej było znieść posiadanie grzecznego dziecka niż niegrzecznego. Zastanawiała się, co by było, gdyby stała się niegrzeczna. Może Kate oddałaby ją Sheridanowi - i skończyłyby się kłótnie o warunki rozwodu. A może Sheridan też by jej nie chciał, i musiałyby pójść do rodziny zastępczej, takiej jak Brantowie, i Jessie zostałyby jej prawie - siostrą.

Jak tylko przyszło jej to do głowy, pokusa stała się zbyt silna. Problem stanowiło tylko to, jak zacząć być niegrzeczną. Pomyślała o włóczeniu się po sklepach, ale nie była pewna, co to znaczy włóczyć się, i czy to potrafi. Potem przypomniała sobie, jak mama mówiła: „Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Mary Martho” i pokusa minęła tak szybko, jak się zjawiała. Kamień spadł jej z serca. Włóczenie się po sklepach nie brzmiało zbyt ciekawie, a Brantów i tak pewnie nie byłoby stać, żeby wyżywić jeszcze jedną osobę.

Kate weszła tylnym wejściem i schodami dla dostawców, żeby nikogo nie spotkać. W porównaniu ze słońcem południa, klatka schodowa wydawała się bardzo ciemna. Raz czy dwa potknęła się, ale nie zdjęła okularów, nawet nie przyszło jej to do głowy. Zdyszała się, jeszcze zanim dotarła do biura Maca, a wysypka na szyi zaczęła już ją swędzić.

Panna Edgeworth wyszła na lunch. Jej maszyna do pisania była przykryta, a biurko uprzątnięte z wszelkich papierów, jakby posprzątała wszystko na wypadek, gdyby postanowiła już tu nie wracać.

Drzwi do biura Maca były otwarte; siedział przy biurku, na krześle odwróconym do okna. Jadł kanapkę, bardzo wolno, jakby mu nie smakowała albo smakowała tak bardzo, że nie chciał jej kończyć. Kate znała go od ponad dwudziestu lat - i zdawało jej się, że od czasu ich pierwszego spotkania wcale się nie zmienił. Wciąż był chudy jak strach na wróble, jego włosy wciąż były brązowe i kręcone, przycięte bardzo krótko, żeby to ukryć. Opalony był na czerwono, a jego oczy miały wyblakły kolor oczu żeglarza.

- Mac?

Odwrócił się, zaskoczony. - Nie słyszałem windy.

- Weszłam tylnymi schodami.

- Wejdz, o ile nie przeszkadza ci, że jem. Jest jeszcze kawa, napijesz się?

- Tak, chętnie.

Nalał jej kawy do plastikowego kubka. - Siadaj. Mizernie wyglądasz. Mam nadzieję, że nie jesteś na jakiejś diecie.

- Nie z wyboru - oznajmiła ponuro. - Czek znowu nie przyszedł. Oczywiście. Chce, żebym przyszła do niego na klęczkach. Akurat do tego jestem przyzwyczajona, to mogę wytrzymać. To... te pozostałe okropności.

- Widziałaś go dzisiaj?

- Jakies pół godziny temu, jak do ciebie jechałam. Prowadził ten sam stary, zielony samochód, który wczoraj stał przed domem. Gdy zobaczyłam go w lusterku, stało się ze mną coś strasznego, Mac. Chciałam... chciałam go zabić.

- Już dobrze, nie mów tak.

- Naprawdę. Myślałam tylko o tym, by go dogonić, wjechać w jego wóz, rozjechać go, jakoś się go pozbyć, wszystko jedno jak.

- Ale nie zrobiłaś tego.

- Próbowałam.



- Próbowalaś - powtórzył z namysłem. - Opowiedz mi o tym. Opowiedziała mu. Słuchał, z głową przechyloną w bok, jak pies słyszający dalekie niebezpieczeństwo.

- Mogłaś zginąć albo ulec poważnemu wypadkowi - oznajmił, gdy skończyła.

- Teraz to wiem. Może nawet i wtedy to wiedziałam, ale nie miało to znaczenia. Nie myślałam o sobie ani nawet, niech Bóg mi wybaczy, o Mary Marcie. Tylko o nim, o Sheridanie. Chciałam... musiałam mu się zrewanżować. Tym razem posunął się za daleko.

- Tym razem?

- Z listem, z tym anonimowym listem.

- Masz go ze sobą?

- Tak.

- Pokaż.

Wyjęła list z torebki i położyła go na biurku.

Przez chwilę oglądał kopertę, potem wyjął zwinięty list i zaczął go rozwijać. Przeczytał na głos: - Pani córka za bardzo naraża swoje delikatne ciało. Dzieci trzeba otaczać staranną opieką, strzec je przed niebezpieczeństwami życia, dbać, by dostawały dobre, pożywne posiłki, aby ich kości miały dobrą izolację. I ubrania. Powinna pani ubierać ją w więcej ubrań, żeby chronić jej ręce, nogi, itd. Na miłość boską, błagam, proszę lepiej zajmować się swoją małą córeczką...

- I co? - spytała Kate.

Odchylił się na krześle i spojrzał w sufit. - To ciekawy dokument. Autor wydaje się bardzo szczery. I dużą sympatią - o ile to jest właściwe słowo - darzy dzieci.

- Dzieci? A nie tylko Mary Marthę? Sheridan nigdy nie przepadał za dziećmi, a za Mary Marthą szaleje tylko dlatego, że stanowi ona przedłużenie jego własnego ego, jakie by nie było.

- Ten list nie wydaje mi się w stylu Sheridana.

- Kto inny mógłby oskarżyć mnie, że zaniedbuję własną córkę?

- Nie za bardzo widzę tu oskarżenie. Przypomina to raczej prośbę albo ostrzeżenie, jakby autor wierzył, że coś jej się stanie, o ile nie podejmiesz odpowiednich kroków. - Zaniepokojony tym, jak nagle zbladła, dodał szybko: - Zauważ, że powiedziałem wierzył. Wiara często nie pokrywa się z rzeczywistością. Ja myślę, że to jakiś miejscowy świr. Czy ty albo Mary Martha nie miałyście ostatnio jakichś zatargów z sąsiadami?

- Oczywiście, że nie. Pilnujemy własnego nosa i oczekuję, że inni zrobią to samo.

- Może za dużo oczekujesz - wzruszył ramionami. - Gdybym był na twoim miejscu, nie martwiłbym się tak tym listem. To, że napisał go Sheridan, jest mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe. Jeśli to on, odbiło mu bardziej i szybciej, niż się tego spodziewałem.

- Dowiesz się prawdy?

- Postaram się z nim, rzecz jasna, skontaktować. Jeśli to jego sprawa, trzeba go będzie powstrzymać, tak dla jego własnego dobra, jak i twojego i Mary Marthy. Za twoim pozwoleniem, zatrzymam na razie ten list. Mam znajomego, który interesuje się talami sprawami. A przy okazji, gdy go dostałaś, też był tak złożony?

- Tak.

- Dziecinada, moim zdaniem. Jeszcze jedno pytanie. Zapamiętałaś rejestrację tego samochodu?

- Tak. BJD 640.

- Jesteś pewna?

- No chyba - rzuciła ostro. - W końcu w nią prawie walnęłam...

- Kate. Kate, posłuchaj mnie przez chwilę.

- Nie. Nie mogę. Nie chcę już słuchać. Chcę mówić, muszę z kimś pomówić. Nie rozumiesz? Cały czas spędzam z dzieckiem. To wspaniała dziewczynka, bystra i kochana, ale ma tylko dziewięć lat. Nie mogę z nią rozmawiać, nie mogę obarczać jej swoimi kłopotami ani prosić o pomoc czy wsparcie. Muszę udawać, zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku, nawet gdy czuję, że ziemia wymyka mi się spod stóp.

- Odgrodziłaś się od ludzi - stwierdził spokojnie. - Kiedyś miałaś przyjaciół, z którymi mogłaś rozmawiać.

- Przyjaciele to luksus, na który mnie już nie stać. Och, zaraz po tym, jak Sheridan się wyprowadził, ludzie byli dla mnie bardzo mili. Zapraszali mnie do siebie, żeby mnie pocieszać i usłyszeć wszystkie makabryczne szczegóły. Jednego się nauczyłam, Mac, i to dobrze: jedynymi ludźmi, którzy lubią rozwody, są nasi najlepsi przyjaciele. Całe to podniecenie i emocje z drugiej ręki, cała ta krew i bebechy - to prawie jak telewizja.

- Jesteś dla nich niesprawiedliwa.

- Może. Albo też nie miałam właściwych przyjaciół. Tak czy siak, przestałam przyjmować i rozdawać zaproszenia. Nie chciałam, aby ludzie przychodzący z wizytą żalowali mnie, bo jestem sama, i siebie samych, bo nie stać mnie było, żeby częstować ich drinkami. Chcesz stracić przyjaciół? Przestań kupować alkohol. Nie wyrzucasz pieniędzy w błoto, sukces gwarantowany.

- A Mary Martha? - spytał Mac.

- Co z nią?

- Potrzebuje towarzystwa.

- Ma przyjaciół. Zwłaszcza jedną przyjaciółkę, Jessie Brant. Nie przepadam za Brantami - Ellen to typ nowoczesnej, bezczelnej baby - ale Jessie jest dzieckiem interesującym, tryska energią, zawsze jest na luzie. Ma chyba dobry wpływ

na Mary Marthę, która jest aż nazbyt ostrożna... I tu pojawia się kolejny problem z tym listem, Mac. To się nie zgadza. Mary Martha na nic się nie naraża i z pewnością nie nazwałabym jej delikatną. Jest w tym samym wieku co Jessie, mierzy tyle samo, ale jest od niej cięższa o dobre osiem czy dziesięć funtów.

- Może w „narażaniu się” nie chodzi o fizyczne niebezpieczeństwa, na przykład chodzenie po drzewach, ale coś innego. Może Mary Martha nie uważała w czasie jazdy na rowerze i któryś z sąsiadów musiał gwałtownie skrócić, żeby jej nie przejechać...

- Mary Martha jeździ bardzo ostrożnie.

- No dobrze. To był tylko przykład.

Milczała przez chwilę. Potem stwierdziła gorzko: - Widzisz? Zawsze tak jest. Mówiłam o sobie, a znowu skończyliśmy na Mary Marcie. Mnie już nie ma, jest tylko pani, która mieszka w wielkim domu i opiekuje się małą dziewczynką. Straciłam siebie. Powinnam mieć numer identyfikacyjny, a nie imię.

- Uspokój się, Kate, i weź się w garść.

- Nie mogę wziąć się w garść, bo, jak już mówiłam, mnie już nie ma. Nie ma mnie, nie mam w co się wziąć...

Do sekretariatu wróciła panna Edgeworth. Jak tylko dowiedziała się, że pani Oakley umówiła się z Makiem, wyszła i kupiła dwa czekoladowe batoniki dla Mary Marthy. Gdy teraz zobaczyła, że pani Oakley nie wzięła jej ze sobą, poczuła taką ulgę, że sama je zjadła.

Po wyjściu klientów jedzących lunch o dwunastej, a przed nadciągnięciem tych, którzy jadali go o pierwszej, w kafeterii, którą prowadził Ben, panował względny spokój. Wykorzystywał te chwile, żeby wyjść na alejkę na tyłach lokalu, złapać trochę słońca i wypalić swojego codziennego papierosa. Nie lubił palić, ale od zapachów jedzenia robiło mu się niedobrze i wierzył, że ten jeden papieros dziennie przytępi mu węch.

Patrzył na mewy, krążące mu nad głową w oczekiwaniu na jakiś kęs. Pomyślał, że to idealny dzień, żeby rozpocząć nowe życie. Charlie zaręczył się. Charlie i Louise zamierzali się pobrać. Ben podzielił się tą radosną nowiną ze swoimi pracownikami i niektórymi ze stałych gości, i choć większość z nich nawet nie znała Charliego, cieszyli się, bo Ben się cieszył. Cały lokal wydawał się radośniejszy; szykował się ślub, wszystko jedno czyj.

Ben oparł się o rozgrzany słońcem mur i pozwolił, aby dym zakręcił mu się w nosie jak eter. Czuł lekkie zawroty głowy. Nie był do końca pewien, czy to od papierosa, czy z radości, napływającej falami od samego rana. Mech Charlie i Louise zostawią sobie dom, mama zawsze tego chciała. Ja znajdę jakieś małe mieszkanko niedaleko plaży i kupię psa. Zawsze chciałem mieć psa. Mogłem go kupić wieki temu - Chanie nigdy nie skrzywdziłyby zwierzęcia, ma fioła na punkcie zwierząt - ale jakoś nigdy tego nie zrobiłem. Nie wiem czemu. Przecież Charlie prędzej odciąłby sobie rękę, niż skrzywdził psa.

- Ben.

Na dźwięk swojego imienia Ben odwrócił się, choć głosu nie rozpoznał. Był to głos małego chłopca, wysoki i cienki, w ogóle nie jak głos Charliego. Ale to właśnie Charlie do niego biegł, skręcił już z ulicy w alejkę. Ubranie miał w nieładzie,

obiema rękami trzymał się za brzuch, jakby dopadła go ostra kolka. Ben poczuł, jak cała radość z niego wycieka. Wszystkie pory na jego ciele były jak małe, niewidoczne ranki, z których sączyło się życie.

- Co... się stało?

- O Boże. Coś strasznego. Chciała mnie zabić. Kobieta. Kobieta w małym, niebieskim samochodzie. Przysięgam na Boga, chciała mnie zabić, a ja jej nawet nie znam, na oczy jej nie widziałem.

- Ciii - Ben rozejrzał się szybko. - Nie tak głośno. Ktoś może cię usłyszeć.

- Ale to prawda! Ja nie fantazjuję. Nie chciałbym nigdy fantazjować o czymś takim. O innych rzeczach może tak, ale nie...

- Uspokój się i opowiedz mi o tym, ale cicho.

- Tak, tak zrobię, Ben. Co tylko każesz.

- Weź głęboki oddech.

- Tak.

- Gdzie to się stało?

Charlie oparł się o drewniany kosz na śmieci. Cały się trząsał, a im bardziej starał się nad tym zapanować, tym bardziej się trząsał, jakby sygnały z mózgu przestały docierać mu do mięśni. - Nie... nie pamiętam nazwy ulicy, ale to było gdzieś na północy. Pojechałem zjeść lunch w Pinewood Park.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył Charlie. - No, dla świeżego powietrza. Słońce i świeże powietrze. To zdrowe i przyjemne. Czy sam tego nie powtarzasz?

- Tak. No tak. A teraz mów dalej.

- Potem wracałem do pracy, a przede mną był mały niebieski samochód, za kierownicą siedziała kobieta. Jechała bardzo wolno, jakby była pijana i starała się prowadzić jak

najostrożniej, żeby uniknąć wypadku. Wyprzedziłem ją. To wszystko, Ben, ja ją po prostu wyprzedziłem.

- Nie zatrafiłeś na nią?

- Nie.

- Nie rzuciłeś jej spojrzenia, które mogłaby... źle zrozumieć?

- Nie. Przysięgam ci, ja ją tylko wyprzedziłem. Wtedy usłyszałem straszny zgrzyt biegów, obejrzałem się, a ona była tuż za mną. Przyspieszyłem, żeby od niej uciec.

- Dlaczego?

- A co miałem zrobić? Co ty byś zrobił?

- Zjechał na pobocze albo na stację benzynową i spytał ją, co wyprawia.

- To nigdy nie przyszłoby mi do głowy - oświadczył szczerze Charlie. - Gdy ktoś mnie goni, uciekam.

- Tak, chyba tak. - Ben wierzchem dłoni otarł spocone czoło. Jeszcze kilka minut temu słońce było jak ciepły, serdeczny przyjaciel. Teraz stało się wrogiem. Przeszywało mu oczy i skronie, wypalało czubek głowy w miejscu, gdzie przerzedzały mu się włosy, i suchą, wrażliwą skórę wokół ust. Więziło go w alejce, wśród zapachów kuchni i strachu Charliego.

Zapalił jeszcze jednego papierosa i wypuścił dym nosem, aby go znieczulić. Gdy odrzucał zużytą zapalniczkę, zauważył niewielką roślinkę, wysuwającą się ze szczeliny w betonie, z jard do miejsca, w którym stał Charlie. Mogła mieć około sześciu cali. Cała pokryta była miejskim pyłem, część jej liści zmiażdżyły koła jakiegoś samochodu, ale wciąż rosła, wciąż żyła. Przepęłnił go zachwyty. Roślina nie miała nikogo: została wysiana przez przypadek, wśród śmieci, rozjeżdżano ją, chodzono po niej, od marca nie padał na nią deszcz, ale wciąż żyła.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił. - Nie martw się tym. Wszystko się ułoży.

- Ale co ja mam teraz robić?

- Wracaj do pracy, bo się spóźnisz.

- Nie mogę korzystać z własnego samochodu.

- A co mu dolega?

- Nic - powiedział Charlie. - Silnik działa dobrze, tyle że... ja to widzę tak. Ta kobieta nie mogła mieć niczego do mnie, bo ja nawet jej nie znam. Więc musi tu chodzić o samochód. Ma coś do jego poprzedniego właściciela, i myślała, że to on nim jedzie, a nie ja. Więc chyba oczywiste jest, jak muszę teraz postąpić.

- Dla ciebie może i jest to oczywiste, dla mnie nie.

- Nie rozumiesz? Wszystko się ułoży, gdy kupię nowy samochód. No, nie nowkę z salonu, ale po prostu jakiś inny, żeby ta kobieta nie mogła mnie już gonić.

O ile w ogóle była jakaś kobieta, pomyślał Ben, i o ile w ogóle był jakiś pościg. Może wymyślił to wszystko jako pretekst, żeby zmienić samochód.

- Nie stać cię teraz na kupno nowego samochodu - oznajmił bez ogródek. - Niedługo już przecież ślub.

Charlie wyglądał na zaskoczonego, jakby zdążył już zapomnieć o ślubie. - Mam pieniądze na koncie.

- Będziesz ich potrzebował na pierścionek dla Louise, na miesiąc miodowy, jakieś nowe ubrania dla siebie...

- Jestem wystarczająco dorosły aby podejmować własne decyzje - powiedział Charlie, kopiąc w kosz na śmieci. - Jestem zaręczony. Zaręczony człowiek sam decyduje o swoim życiu.

Ben spojrzał na malutką łodyżkę pomidora wyrastającą z pęknięcia w betonie. - Tak. Faktycznie, chyba sam o tym decyduje.

- Dziękuję, Ben. Naprawdę ci dziękuję.



- Za co?

- Za wszystko. Nawet za to, że po prostu jesteś ze mną.

- Jesteś teraz zaręczony. Niedługo już z tobą nie będę. Ty i Louise zaczniecie własne życie.

Z kafeterii wyszedł jeden z pomocników kelnera, Meksykanin, i powiedział do Bena coś po hiszpańsku. Mówił cicho, cicho się uśmiechał i cicho się poruszał. Ben dał mu pięćdziesiąt centów i chłopak wrócił do środka.

Charlie nie zwrócił na to uwagi. W dalszym ciągu wpatrywał się w twarz Bena, a jego wąskie, jedwabiste brwi wciąż się marszczyły. - Mówisz tak, jakby coś miało się między nami zmienić. Ale tak przecież nie będzie. Zamieszkas z mną i Louise, będziemy razem jadać i wieczorami grać w karty, jak kiedyś. Dlaczego miałyby się to zmieniać?

- Świat się zmienia, czy tego chcemy, czy nie. I to jest dobre - dzięki temu nie możemy się znudzić życiem ani sobą nawzajem.

- Ale ja się nie nudzę.

- Posłuchaj mnie, Charlie. Nie będę mieszkał z tobą i Louise, po pierwsze dlatego, że nie chcę, po drugie, bo Louise by tego nie chciała, a po trzecie...

- Louise by to nie przeszkadzało. Szaleje na twoim punkcie. Jakby się tak zastanović, to założę się, że równie chętnie wyszłaby za ciebie, jak za mnie.

Ben chwycił go za ramię. - Psiakrew, nie mów tak. To nie fair wobec Louise. Słyszysz?

- Tak - szepnął Charlie. - Ja tylko...

- Jasne, ty tylko. Ty zawsze tylko. Wiesz, co się dzieje, gdy ty tylko tylko? Źle się dzieje.

- Przepraszam.

- Taa. Jasne. Pewnie.

- To miał być tylko komplement, żeby ci uświadomić, jak bardzo Louise cię lubi i że nie miałyby nic przeciwko temu, żebyś z nami zamieszkała.

Ben zaciągnął się głęboko papierosem. - Muszę wracać do środka.

- Ale tak naprawdę to się na mnie nie złościś?

- Nie.

- I mogę kupić drugi samochód, na przykład od razu po pracy?

- To twoje pieniądze.

- Nie chciałbyś pojechać ze mną i doradzić w wyborze, i tak dalej?

- Nie tym razem.

Charlie usłyszał w głosie Bena stanowczość i nieodwracalność, wiedział, że Ben mówi naprawdę nie tym razem i już nigdy więcej.

Patrzył, jak Ben wchodzi do kuchni kafeterii i czuł się jak dziecko, porzucone w środku miasta, w dziwnej, hałaśliwej alejce, rozbrzmiewającej brzękiem talerzy, szcękaniem patelni i garnków, pełnej głosów, pokrzykujących niezrozumiale po hiszpańsku.

Boję się. Pomóż mi, Ben!

Nie tym razem. I już nigdy więcej.

Jeden i drugi Charlie wyszli z alejki, razem, ale nie ramię w ramię - zaręczony mężczyzna, który właśnie miał kupić sobie nowy samochód, i mały chłopczyk, szukający dziewczynki, z którą mógłby się pobawić.

Panna Albert zwróciła na tę dziewczynkę uwagę przede wszystkim dlatego, że była tak porządnie ubrana i cicha. Większość dzieci przychodzących latem do biblioteki nosiła dżinsy albo szorty i bawełniane podkoszulki, jakby uważały ją za miejsce, w którym można odetchnąć pomiędzy plażą a meczem, filmem a lekcją muzyki. Czy zjawiały się grupkami, czy pojedynczo, zawsze robiły mnóstwo hałasu i zawsze coś przeżuwały - czekoladowe batoniki, gumę balonową, draże orzechowe, jabłka, lody, banany, czasami nawet watę cukrową. Powracającym koszmarem panny Albert było, że otwiera jeden z cennych albumów, a tam wszystkie strony sklezione są watą cukrową.

Dziewczynka z jasnym kucykiem niczego nie żuła. Miała na sobie różową sukienkę z kieszeniami haftowanymi w wielkie, niebieskie stokrotki. Jej szarawo - białe buty nosiły znamiona zbyt częstego pastowania, mającego ukryć liczne pęknięcia w skórze. Minę miała obojętną i niewzruszoną, jakby jej kitka była ściśnięta i związana zbyt mocno, co unieruchomiło wszystkie mięśnie twarzy. Musi czuć się tak, jakby ktoś bez przerwy ciągnął ją za włosy, pomyślała panna Albert. Mnie by się to wcale nie podobało. Jej pewnie też, bidulce.

Dziewczynka wzięła ze stojaka gazetę i usiadła. Otworzyła ją, przerzuciła kilka stron, a potem znów ją zamknęła i siedziała z gazetą na kolanach, wodząc wzrokiem od drzwi wejściowych do zegara wiszącego na półpiętrze. Oczywiście więc było, że na kogoś czeka. Ale panna Albert nie lubiła oczywistych rozwiązań, wołała te wymyślne, wręcz dziwaczne. Rodzina dziewczynki dopiero co sprowadziła się do miasta, prawdopodobnie uciekając przed jakimś skandalem - jakim, panna Albert zamierzała wymyślić w czasie przerwy na lunch - a dziewczynka, sama i samotna, przyszła do

biblioteki, żeby posłuchać bajki dla dzieci o trzynastej trzydziści. Ale to wyjaśnienie jej nie usatysfakcjonowało. Na twarzy dziewczynki nie rysowało się wyczekiwanie, dzięki tej głupiej fryzurze nic się na niej nie rysowało. Ślicznie by jej było we fryzurze na pazia z puszystą grzywką. Albo może na Alicję w Krainie Czarów, jak Louise, tyle że na kobiecie w wieku Louise ten styl wygląda idiotycznie. To dopiero, Louise wychodzi za mąż, moim zdaniem to wspaniale. Dowód na to, że wszystko się może zdarzyć, jeśli tylko wytrwale poczekać.

Minęło pół godziny. Pannie Albert zaczynało burczeć w brzuchu, a od przenoszenia książek z metalowego wózka na ich właściwe półki rozboleły ją już ręce. Z działu dziecięcego, który graniczył z czytelnią główną, rozlegał się już coraz większy szum głosów i szuranie krzesłami. Za dziesięć minut zaczynała się bajka i panna Albert mogła wyjść na lunch, bo na jej miejsce zjawiała się panna Gambetti, która nie miała już nic do roboty w dziale dziecięcym. Panna Albert zabierała wtedy swoją kanapkę i termos z kawą do Encinas Park, gdzie mogła popatrzeć na innych ludzi z kanapkami i termosami z kawą.

Ale nie mogę przecież zostawić tego dziecka samego, pomyślała. Pewnie nie wie, dokąd pójść, i jest zbyt nieśmiała żeby zapytać; musiała w końcu przechodzić przez cały ten skandal. Nieważne, co to było, ale na pewno nieprzyjemne.

Prowadząc swój metalowy wózek między regałami, pchała go z determinacją osoby robiącej zakupy na weekend. Dźwięk nienaoliwionych kółek sprawił, że Mary Martha odwróciła głowę i napotkała serdeczny, ciekawski wzrok panny Albert.

- Dzień dobry - powiedziała panna Albert.

Mary Martha wiedziała, że nie powinna rozmawiać z nieznanymi, ale nie sądziła, aby odnosiło się to do pań z biblioteki, więc odpowiedziała: - Dzień dobry.

- Jak się nazywasz?

- Mary Martha Oakley.

- Bardzo ładnie. Jesteś tu nowa, Mary?

Dziewczynka nie odpowiedziała, wlepiła tylko wzrok w buty. Jej palce u nóg zaczęły kiwać się nerwowo, jak rybki w akwarium. Nie chciała, aby ta pani to zauważyła, schowała więc stopy pod krzesło. W czasie tego manewru gazeta zsunęła jej się na podłogę.

Panna Albert podniosła ją, usiłując ukryć zdziwienie, że tak mała dziewczynka obrała sobie za lekturę Fortune. - Przeniosłaś się do miasta niedawno, Mary?

- Nie mogę odpowiadać, jak ludzie mówią do mnie Mary, bo mam na imię Mary Martha. Ale w bibliotece chyba mogę. Nie przenieśliśmy się do miasta, zawsze tu mieszkaliśmy.

- Aha. Myślałam... no, nieważne. Bajka zacznie się za chwilę. Musisz wejść tamtymi drzwiami - wskazała panna Albert - skrócić w prawo i usiąść. Gdzie chcesz.

- Już siedzę.

- Ale z tej odległości nie usłyszysz bajki.

- To nic, proszę pani.

- Nie chcesz jej posłuchać?

- Nie, proszę pani. Czekam na mamę.

Panna Albert skryła zawód za uśmiechem. - Może więc chciałabyś poczytać coś, co nadawałoby się lepiej dla dzieci w twoim przedziale wiekowym.

Mary Martha zawahała się, marszcząc brwi. - Są tutaj książki o wszystkim?

- Prawie o wszystkim, od aforyzmów po żywoty świętych. Jakie książki cię interesują?

- O rozwodach.

- O rozwodach? - panna Albert zaśmiała się nerwowo. - O rety, nie jestem pewna... A nie wolałabyś zamiast tego jakiejś ładnej książki z obrazkami?

- Nie, proszę pani.

- Cóż, obawiam się, że ja nie... to znaczy, zapytajmy może pannę Lang z działu podręcznego. Ona zna się na tym lepiej niż ja. Chodź, zaprowadzę cię do niej.

Siedząc za swoim biurkiem, Louise wyglądała na bardzo zajęta, ale panna Albert nie dała się na to nabrać. Od sprawdzania ilości owiec w Australii czy stolicy Ghany nie miało się tak zaróżowionych policzków i rozmarzonego, nieobecnego wzroku.

- Mam nadzieję, że nie przerywam - powiedziała, wiedząc doskonale, że przerywa, ale czując też, że należało to przerwać, zwłaszcza w godzinach pracy. - Louise, przedstawiam pani Mary Marthę Oakley. Mary Martho, to jest panna Lang.

Louise wpatrzyła się w dziewczynkę, po czym rzuciła chłodno: - Aha.

Zaskoczyło to pannę Albert, bo Louise miała zazwyczaj świetne podejście do dzieci.

- Mary Martha - dodała panna Albert - szuka książki o rozwodach.

- Doprawdy? - wycedziła Louise. - Mam rozumieć, że przyprowadzając ją tutaj, wspiera pani jej poszukiwania?

- Niezupełnie. Jezu, Louise, myślałam, że pani się z tego uśmieje.

- Reguły biblioteki zna pani, albo powinna pani znać, tak dobrze jak ja. Proszę wracać na swoje miejsce, panno Albert.

- Dobrze - odparła cierpko. - Ale tak się składa, że mam teraz przerwę na lunch.

Nad głową Mary Marthy rzuciła Louise krzywe spojrzenie, ale ta nawet nie patrzyła. Wciąż wpatrywała się w Mary Marthę, jakby widziała znacznie więcej niż małą dziewczynkę w różowej sukience w stokrotki.

- Oakley - powtórzyła sucho. - Mieszkasz na Jacaranda Street numer trzysta dziewiętnaście?

- Tak, proszę pani.

- Z mamą.

- Tak.

- I z małym psem.

- Nie mam małego psa - odparła nerwowo Mary Martha. - Tylko kota o imieniu Pudding.

- Ale ktoś z sąsiadów ma psa, prawda? Małego, brązowego kundelka, który lubi biegać za samochodami?

- Nigdy takiego nie widziałam.

- Nie? Może nie zwracasz uwagi na psy.

- Ależ nie, zwracam. Zawsze zauważam psy, bo to moje ulubione zwierzątka, nawet bardziej niż koty i ptaki.

- Więc gdybyś miała psa, tobyś się o niego troszczyła?

- Tak, proszę pani.

Louise pochyliła się przez biurko i szepnęła wesołym, konfidencyjnym głosem: - Gdybym to ja miała psa, który lubi gonić za samochodami, też niechętnie bym się do tego przyznawała. Więc oczywiście rozumiem, że zmyślasz. Ale tak między nami...

Nie doszło jednak do żadnego „między nami”. Dziewczynka, nieufna i zarumieniona, zaczęła się od niej odsuwać, głęboko wciskając ręce do kieszeni, jakby szukała korzeni wyhaftowanych stokrotek. Dziesięć sekund później śmignęła przez drzwi.

Louise patrzyła na drzwi z nadzieją, że może wróci i złoży odmienne zeznania - owszem, miała pieska, który lubił biegać za samochodami, o tak, a jednym z tych samochodów był stary, zielony ford coupe.

Był pies, musiał być, bo Charlie tak powiedział. Biegł za jego samochodem, więc Charlie, w obawie o jego bezpieczeństwo, czuł, że musi skontaktować się z właścicielem pieska. Dlatego właśnie chciał się dowiedzieć,

kto mieszka na Jacaranda Street 319. Jaki inny powód mógłby mieć?

On nie kłamie, pomyślała. On jest tak rozbrajająco szczery, że czasem łamie mi to serce.

Przetarła oczy. Były suche, pełne piasku, i potrzebowały łez. Jakby pył z ruchliwej ulicy zepsuł jej wzrok i zatarł granice między prawdą i zmyśleniem.

Nie tak szybko, jagniątko - mówiła Kate Oakley. - Czy ja dobrze rozumiem? Spytała, czy masz brązowego pieska, który biegnie za samochodami?

Mary Martha kiwnęła głową.

- I nie chciała uwierzyć, gdy zaprzeczyłaś?

- Tak, mam.

- To jakieś szaleństwo, tak właśnie, szaleństwo. Mówię ci, cały świat oszalał, poza tobą i mną. - Mówiła to z jawną satysfakcją, jakby świat miał dokładnie to, na co sobie zasłużył, i cieszyła się, że zdążyła usunąć się w porę, zabierając ze sobą Mary Marthę. - Można by się spodziewać, że kto jak kto, ale bibliotekarka to osoba rozsądna, przecież ma wokół siebie tyle książek.

Natychmiast po wyjściu Kate Ralph MacPherson wykonał dwa telefony. Pierwszy - do mieszkania, które rzekomo zajmował Sheridan Oakley. Zaczekał ze dwanaście sygnałów, ale tak jak poprzedniego dnia i wieczora, nikt nie odbierał.

Drugi - do porucznika Gallantyne'a ze śródmiejskiego wydziału policji. Przywitawszy się, Mac od razu przeszedł do rzeczy:

- Potrzebuję przysługi, Gallantyne.

- Nie ma sprawy. O co chodzi?

- Jedna z moich klientek twierdzi, że mąż, z którym jest w separacji, prześladowa ją i jej dziecko. Mówi, że jeździ po mieście zielonym fordem coupé, sześć - , siedmioletnim, o numerach BJD 640.



- I?
- Chcę się dowiedzieć, czy to naprawdę on.
- Mogę tylko skontaktować się z kimś w Sacramento i dowiedzieć się, kto jest właścicielem pojazdu. To może zająć trochę czasu, chyba że wymyślisz jakiś lepszy powód - morderstwo, napad z bronią w ręku...
- Niestety, nie ma żadnego napadu ani morderstwa. Tylko rozwód z komplikacjami.
- Moim zdaniem niektóre z twoich spraw są brudniejsze od moich - oświadczył Gallantyne, z nutą zazdrości w głosie.
- Może i tak. Kiedyś powinniśmy połączyć siły.
- Dobra. A więc mamy skontaktować się z wydziałem Sacramento w sprawie zielonego forda?
- Tak, ale w międzyczasie podaj jego numer chłopakom z drogówki. Jeśli zauważą gdzieś ten samochód, chciałbym się o tym dowiedzieć, o każdej porze dnia i nocy. Mam automatyczną sekretarkę.
- Jeszcze raz, jaki to numer?
- BJD, Bóg Jest Dobry, 640.

Nowy samochód, trzyletniego, ciemnego, nierzucającego się w oczy sedana, kupił zaraz po pracy. Jak tylko usiadł za kółkiem, od razu poczuł się dobrze i bezpiecznie, jakby udało mu się uzyskać nowe ciało, w którym nikt nie rozpoznałby teraz starego Charliego. Sam też czuł się niezależny. Wybrał samochód sam, bez pomocy Bena, i zapłacił za niego z własnych pieniędzy. Sprzedawca z komisju przyjął czek bez zastrzeżeń, jakby czuł, że człowiekowi z twarzą tak uczciwą jak Charliego trzeba bezwarunkowo zaufać. A Charlie, zbudowany jego zaufaniem, nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że poprzedni właściciel wozu, nie dość że był wziętym mechanikiem samochodowym, przeszkolonym w Detroit, to jeszcze przejechał nim tylko 10 000 mil i prowadził samochód wyjątkowo ostrożnie. Taki zawodowiec, rozumował Charlie, miał na pewno niewiele wolnego czasu i stąd ten niski przebieg.

Wydało mu się, że sprzedawca, który z początku - gdy Charlie zaczął rozglądać się po wystawionych modelach - nie zwracał na niego uwagi, też zauważył w nim tę zmianę. I mówił do niego per „sir”.

- Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z samochodu, sir.

- Och, na pewno. Już jestem.

- Nie ma lepszej reklamy od zadowolonego klienta - oświadczył sprzedawca. - Jedyne kłopot, jaki mamy po sprzedaniu dobrego samochodu, to taki, że klient długo do nas nie wraca. Wszystkiego dobrego i szerokiej drogi, sir.

- Bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Charlie wyjechał samochodem na ulicę. Robiło się dość późno i wiedział, że Ben będzie się o niego martwił, ale nie chciał jeszcze wracać do domu. Chciał sobie pojeździć, żyć

się z nowym samochodem, przetestować siły swojego nowego ciała, zanim zaprezentuje je Benowi czy Louise. Oboje będą mieli zastrzeżenia, Ben - do samochodu, sprzedawcy i osoby mechanika, Louise - do zmian, jakie zaszły w nim samym. Zdawał sobie niejasno sprawę, że Louise wcale nie chce, aby się zmieniał, że jest uzależniona od jego słabości, choć nie mógł pojąć dlaczego.

Gdy ruszał, nie obrał sobie żadnego świadomego celu. Na skrzyżowaniach podejmował decyzje pozornie zupełnie przypadkowe. Skręcił w lewo, bo zrobił to samochód przed nim, w prawo - żeby popatrzeć na stado kosów, dziobiących coś na trawniku, jechał prosto, bo droga prowadziła przez strumień, a Charlie lubił mosty, i znowu w lewo, bo zachodzące słońce świeciło mu w oczy. Podróż ta zaczynała nabierać cech przygody, jakby ulice, most, kosy, zachodzące słońce były mu zupełnie obce, a on im. Nie czuł się zagubiony - w San Felice nie można się było zgubić, bo miało się góry na wschodzie, morze na zachodzie, a jedno albo drugie, albo oba, zawsze było widać - był tylko lekko, z premedytacją, zawieruszony, jakby bawił się w chowanego z Benem i Louise. Od rozpoczęcia tej zabawy musiała minąć już z godzina. Gotów czy nie, nie skryjesz się.

Słońce zaszło. Znad morza napływały smugi mgły i zaplątywały się w koronach drzew jak pajęczyny. Należało włączyć światła, ale nie był pewny, który guzik wcisnąć - na desce rozdzielczej było ich mnóstwo. Zjechał na pobocze i zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt stóp od skrzyżowania. Skrzyżowanie wydało mu się znajome, ale go nie rozpoznał. Dopiero po włączeniu światła dostrzegł w ich blasku znak i zorientował się gdzie jest. Jacaranda Street 300.

Nagle strasznie rozboleła go głowa. Słyszał swój własny głos, ale nie wiedział, czy szepnął, czy krzyknął:

- Ben! Louise! Odnajdźcie mnie, wcale się nie chowam. To już nie zabawa. Pomóżcie mi. Chodź i zabierz mnie do domu, Louise, nie zostawiaj mnie w tym strasznym miejscu. Nie wiesz, jakie straszne... wstrętne... straszne... wstrętne...

Telefon zadzwonił o ósmej trzydzieści i Ben, który siedział przy nim od dawna, odebrał już po pierwszym sygnale.

- Halo?

- Ben, tu Louise. Charlie miał po mnie przyjechać pół godziny temu. Może zapomniał, pomyślałam więc, że zadzwonię, żeby odświeżyć mu pamięć.

- Tutaj go nie ma.

- W takim razie pewnie jest już w drodze. Zaczekam na niego przed wejściem. Wieczór taki ładny.

- Ale jest zimno.

- Wcale nie - zaśmiała się Louise. - Sam pewnie wiesz, jak to jest z zakochanymi. Każda pogoda jest cudna.

- Lepiej zostań w domu. Nie wydaje mi się, aby był w drodze.

- Czemu nie? Czy coś się stało?

- Nie jestem pewny - powiedział ostrożnie. - Przyjechał w południe do mojej kafeterii z jakąś szaloną... niesamowitą opowieścią o kobiecie, jakiejś nieznajomej, która usiłowała rozjechać go na śmierć. Nie wiem na ile, i czy w ogóle, mu wierzyć. Może wymyślił to wszystko jako wymówkę, żeby kupić nowy samochód. Znasz Charliego, nie potrafi zrobić czegoś ot tak, musi wynaleźć z tuzin powodów, choćby były jak najgłupsze. Tak czy inaczej, powiedział mi, że po pracy zamierza kupić sobie nowy wóz.

- Skończył pracę trzy i pół godziny temu. Jak dużo czasu zwykle zajmuje mu kupienie nowego samochodu?

- Jak do tej pory, powiedziałbym, że pięć minut. Gdy któryś wpada mu w oko, kopie go raz czy dwa w oponę, trąbi

klaksonem, i to by było na tyle. Choćby to był najstarszy i najgorszy gruchot w całym mieście, i tak go kupuje.

- Więc powinien być już w domu.

- Tak.

- Ben, to ja jadę do ciebie.

- A w czym to pomoże? Tyle tylko, że dwoje z nas, a nie jedno, będzie siedzieć i zamartwiać się. Nie, zostań. Zajmij się czymś. Poczytaj książkę, umyj włosy, zadzwoń do przyjaciółki, co chcesz.

- Nie. Nie mogę.

- Posłuchaj, Louise, nie chcę, aby zabrzmiało to brutalnie, ale czekanie na Charliego to coś, czego musisz się jeszcze nauczyć, bo nie raz ci się to zdarzy. Stawiam dziesięć do jednego, że nic mu nie jest, po prostu coś go zaciekało i...

- Nie stać mnie, żeby się z tobą zakładać, nawet przy takich stawkach - powiedziała i odwiesiła słuchawkę, żeby nie zdążył wymyślić kolejnego argumentu.

Poszła korytarzem w stronę swojego pokoju, żeby wziąć płaszcz. Każda pogoda była cudna, ale płaszcz się czasami przydawał.

Przemknęła cicho pod drzwiami jadalni, małej jak pudełko po butach, gdzie rodzice wciąż siedzieli przy kawie i analizowali każdą linijkę wieczornej gazety - śledzili lokalne wiadomości i nekrologi, rozwody i śluby, informacje o gospodarce wodociągowej i o tym, kto zalega z podatkami, pozwolenia na budowę i akty przekazania własności nieruchomości. Nie była jednak wystarczająco cicha. Nikt nie był, pomyślała gorzko. Nawet kot by się nie przekradł, nawet gdyby stąpał po grubym na cal dywanie z aksamitu.

- Louise? - krzyknął ojciec. - Ty wciąż tam jesteś?

- Tak, tato.

- Myślałem, że dzisiaj wychodzisz.

- Owszem. Właśnie wychodzę.

- Bez pożegnania z rodzicami? Ten twój ukochany sprawił już, że zapomniałaś o dobrych manierach? Wejdź no tu na chwilę.

Louise weszła, ale tylko na próg. Rodzice siedzieli obok siebie, a gazetę rozciągnęli przed sobą, na stole, jak para uczniów, odrabiających razem lekcje.

Pan Lang wstał i wykonał w kierunku Louise coś na kształt półukłonu. Odkąd pamiętała, zawsze to robił, gdy wchodziła do pokoju. Ale atencja ta była zbyt wyszukana; Louise wydawało się, że traktując ją jak księżniczkę, jeszcze bardziej podkreśla to, jaka jest zwyczajna.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając się, jak te głupie pozy mogły kiedyś robić na niej wrażenie, i jak boleśnie odbierała wszystkie jego drobne, choć oczywiste okrucieństwa. Milczała, wiedząc, że ojciec nie cierpi ciszy, bo jego żywiołem jest mowa.

- Jak rozumiem - odezwał się w końcu - dziś właśnie twoja mama i ja mieliśmy złożyć gratulacje naszemu przyszłemu zięciowi. Czyżby należało odłożyć tę jakże szczęśliwą okoliczność?

- Tak.

- Jaka szkoda. Z niecierpliwością czekałem na tę pasjonującą konwersację: tak, panie Lang, nie, panie Lang...

- Dobranoc.

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem.

- Owszem, skończyłeś - oznajmiła Louise, kierując się do drzwi. Pierwszy raz cieszyła się z okrucieństwa ojca. Ocaliło ją od wyjaśniania gdzie jest Charlie i dlaczego nie przyszedł.

Ben chyba widział ją z okna, bo gdy tylko zatrzymała się przed ich domem, wyszedł na ganek i zszedł po schodkach.

Na pytanie, które zadała mu samymi oczami, odpowiedział, kręcąc głową. - Ale możesz tu poczekać, Louise.

- Przejadę się.

- Jak chcesz. Choć to niezbyt mądry pomysł, żeby jeździć po mieście i szukać go, skoro nie mam pojęcia, gdzie może być.

- Ja mam - powiedziała cicho. - Myślę, że mam; to tylko takie przeczucie. Może się mylę, ale warto spróbować. Musimy go odnaleźć. On nas potrzebuje.

- On nas potrzebuje. - Ben wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. - Skąd ja to znam? Charlie potrzebuje tego, Charlie potrzebuje tamtego, Charlie potrzebuje, kropka. Kiedyś, zanim umrę, ja też będę czegoś potrzebował. I ktoś wtedy powie: Ben potrzebuje tego czy tamtego. Tylko ten jeden raz... Och, psiarew, zapomnij o tym. Ja niczego tak naprawdę nie potrzebuję.

- A ja tak.

- Czego?

- Charliego.

- Więc szkoda mi cię - powiedział, uderzając się pięścią w udo. - Tak bardzo mi cię szkoda, że mógłbym wybuchnąć płaczem. Jesteś porządną, inteligentną młodą kobietą, zasługujesz na miłe życie. A fundujesz sobie dożywotnią harówkę.

- Nie musisz się nade mną litować. Jestem szczęśliwa.

- Nawet teraz, gdy Charlie zniknął i nie wiadomo, w jakie kłopoty się wpakował, pewnie w takie, w które tylko on potrafi się wpakować?

- Żyje; zawiadomiono by cię, gdyby zginął w wypadku, czy coś, a póki Charlie żyje, póty ja jestem szczęśliwa.

- Ja nie - powiedział otwarcie. - Tak się składa, że kilkanaście, nie - kilkaset razy myślałem, że dla Charliego jedynym rozwiązaniem byłoby rzucić się pod koła rozpędzonej ciężarówki. Niedługo i ty zaczniesz tak myśleć.

- Jak ty... jak możesz mówić mi coś takiego?

- Przepraszam, musiałem. Nie chciałem cię zranić, ale...

- Czy to nie zabawne, jak często ludzie nie chcą kogoś zranić, a potem?

- Tak, to chyba jest dość zabawne.

Wpatrywała się przed siebie, w ciemność, ale mrużyła oczy, jakby wpadało w nie za dużo światła. - Przestań martwić się o mnie i Charliego. Jeśli chcesz, żebyśmy się pobrali, daj nam swoje błogosławieństwo i módl się, żebyśmy dali sobie radę. Jeśli nie chcesz, żebyśmy się pobierali, powiedz to od razu.

- Macie moje błogosławieństwo i modlitwy. Nie jestem zbyt dobry ani w jednym, ani w drugim, ale...

- Ciii, żadnych ale. Wszystko psują. - Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki. - Wiesz, Ben, byłeś dla Charliego bardzo dobry. Jednak ja sprawię, że Charlie będzie lepszy.

- Mam taką nadzieję.

- Dzięki, że ze mną porozmawiałeś, i że dałeś mi się wygadać. Czuję się teraz spokojniejsza i bardziej pewna siebie i Charliego, o wiele bardziej niż kiedykolwiek. Dobranoc.

- Dobranoc? Myślałem, że jedziemy go szukać.

- Ty nie, ja tak. Szukanie Charliego to teraz moje zadanie.

- Dobrze. - Wysiadł z samochodu i, nie zamknąwszy drzwiczek, stanął na chodniku, niepewny, czy ma wsiąść z powrotem, czy nie. Po chwili pochylił się i mocno je zatrzasnął, jakby były to drzwi, z którymi już wcześniej miewał kłopoty, i wiedział, że do zamknięcia ich potrzebne jest naprawdę porządne trzaśnięcie. - Dobranoc, Louise.

Nawet jeśli mu odpowiedziała, nie usłyszał nic poza wyciem silnika. Zniknęła mu z oczu, jeszcze zanim wszedł na ostatni schodek.

Nie czuł żadnego gwałtownego bólu, jedynie potworny smutek, spowijający go jak mgła miasto. Jedzie na ślepo, podąża za przecuciem - pomyślał, i zaczął się zastanawiać,



ile jeszcze będzie miała przeczuc, zanim się podda. Jedno przeczucie na dwadzieścia mogło być właściwe, postawi właśnie na to, wierząc, że nareszcie zrozumiała Charliego, że wcisnęła właściwy guzik i dostanie właściwą odpowiedź. Dopiero po dłuższym czasie zorientuje się, że guziki Charliego zmieniają położenie zupełnie bez powodu, i wczorajsza odpowiedź brzmi dzisiaj jak bełkot, a dzisiejsza znów wymaga zgadywania, i prawdopodobieństwo znowu jest jak jeden do dwudziestu.

Ben znał to pismo na pamięć, chociaż ostatni raz widział je całe lata temu:

„Niniejszym wypisuje się Charlesa Edwarda Gowena i oddaje pod opiekę jego brata. Gowen uzyskał wgląd w swoje postępowanie i kontrolę nad nim, i nie stanowi już zagrożenia dla siebie ani otoczenia. Dalsze leczenie psychiatryczne na oddziale zamkniętym wydaje się w tej chwili bezcelowe. Aby stać się pożytecznym i samowystarczalnym członkiem społeczeństwa, pacjent powinien skoncentrować się na pracy zarobkowej, więziach rodzinnych i zdobyciu nowych zainteresowań”.

Mgła za szybą auta szybko gęstniała. Drzewa straciły w niej korony, całe dzielnice miasta zniknęły, a o istnieniu lamp ulicznych świadczyła tylko nikła, brudnawa poświata. W umyśle Louise wszystko stawało się jednak o wiele jaśniejsze i wyraźniejsze, jakby zła widoczność na zewnątrz zmusiła ją do wejrzenia w głąb.

To, co w rozmowie z Benem nazwała przeczuciem, stało się teraz oczywistym wnioskiem, wyprowadzonym z szeregu niepodważalnych faktów. Charliem kierował strach, większy niż cokolwiek, co ktoś taki jak Ben czy ona mogli sobie wyobrazić. Uciekał przed Benem, przed nią, przed małżeństwem i odpowiedzialnością, jaką niesie ze sobą dorastanie. Trzeba więc traktować go jak małego, przerażonego chłopca, pokazać mu ciemny pokój i wyjaśnić, że po zapadnięciu zmroku wcale nie ma w nim więcej strachów niż za dnia; trzeba mu wierzyć, nawet gdy wiara ta graniczy z cudem. Ale najpierw trzeba go odnaleźć, bo usiłował uciec do świata, który zdawał mu się pozbawiony zagrożeń i wyzwania. Jednak świat ten, świat dzieci, był dla Charliego bardzo niebezpieczny.

Trzymała kierownicę tak kurczowo, że bolały ją mięśnie przedramion, ale czuła, że musi myśleć spokojnie i logicznie, jak matematyk postawiony przed bardzo długim i skomplikowanym równaniem. Jeśli mam się tym zająć, jeśli mam pomóc Charliemu rozwiązać ten problem, muszę dowiedzieć się, na czym on polega. Muszę wiedzieć...

Charlie nigdy nie wspominał jej nic o dzieciach, nigdy nie patrzył, jak mijały go na ulicy, nigdy nie obserwował ich zabaw w parku. Ale gdzieś, jakimś sposobem, dostrzegł tę dziewczynkę, Mary Marthę, i dowiedział się, gdzie mieszka. Louise pamiętała jego podniecenie wczorajszego wieczoru, gdy opowiadał o Jacaranda Street 319 i małym piesku, który

gonił za samochodami. Cóż, nie było żadnego pieska, było dziecko, Mary Martha. Charlie sam to powiedział i choć Louise wtedy nie chciała go słuchać, teraz słowa te wciąż dźwięczały jej w uszach: „Dziwne, że mieszka w takim wielkim domu sama, tylko z małą dziewczynką”.

Zastanawiała się, czy wymknęło mu się to przez przypadek, czy może podświadomie chciał, żeby się dowiedziała, i prosił ją o pomoc.

- Boże - powiedziała na głos - jak tu pomóc komuś takiemu jak Charlie?

Znalazła go na rogu Toyon Drive i Jacaranda Street. Oparty był o maskę ciemnego samochodu, którego nigdy wcześniej nie widziała, ręce miał założone na brzuchu, a głowę nisko spuszczoną. Przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że miał jakieś problemy z silnikiem, podniósł maskę, odkrył coś naprawdę poważnego i teraz oddaje się rozpacz.

Musiał słyszeć odgłos hamującego samochodu i jej zbliżające się kroki, ale nie poruszył się, nie otworzył oczu. Płatki drzew jacaranda gęsto osiadły mu na włosach i kurtce. We mgle wydawały się bardzo jasne, jak płatki śniegu, które nie topiły się, bo spadły na coś równie zimnego jak one.

Zawołała go, bardzo cicho, żeby go nie przestraszyć.

Otworzył oczy i kilka razy zamrugał. - To... to ty, Louise?

- Tak.

- Wołałem cię. Słyszałaś?

- Nie. Nie tak jak myślisz. Ale usłyszałam cię, Charlie, Zawsze cię usłyszę.

- W jaki sposób?

- To tajemnica.

Stanął prosto i rozejrzał się, marszcząc brwi. - Nie powinno cię tu być. To zła okolica dla kobiet i dzieci. To... po prostu złe miejsce.

- Wszystkie dzieci leżą już bezpiecznie w łóżeczkach - oświadczyła, spokojnie i niespiesznie. - A ja, jako kobieta, nie boję się, bo mam ciebie, a ty się mną zaopiekujesz. Jest jednak strasznie zimno i przyznaję, że lepiej czułabym się w domu. Zabierzesz mnie do domu, Charlie?

Nie odpowiedział. Niemy, ze strapioną miną, wpatrywał się w chodnik.

- Kupiłeś nowy samochód.

- Tak.

- Taki ładny i elegancki. Chętnie bym się nim przejechała.

- Nie.

- Wołałeś mnie. Czemu mnie wołałeś, skoro nie chciałeś mnie zobaczyć?

- Chciałem... chcę cię zobaczyć.

- Ale nie pozwolisz odwieźć się do domu?

- Nie - pokręcił głową. - To by było zbyt skomplikowane.

- Jak to?

- No, rozumiesz przecież, są dwa samochody i dwoje ludzi, więc każdy samochód musi prowadzić jedna osoba. Czysta arytmetyka.

- Może i tak.

- Jeśli ja zawiozę cię do domu, twój samochód zostanie tu sam, a mówiłem ci przecież, co to za miejsce.

- Mnie wygląda to na zupełnie przyjemne osiedle domków jednorodzinnych.

- Tylko z pozoru. Ja patrzę głębiej. Widzę rzeczy tak straszne, tak... - Zaczął przecierać oczy pięściami, tak mocno, jakby usiłował zetrzeć widziane wcześniej obrazy na bezkształtną miazgę.

Złapała go za nadgarstki. - Przestań. Przestań, proszę cię - powiedziała.

- Nie mogę.

- No dobrze - oświadczyła spokojnie. - A więc widzisz straszne rzeczy. Może faktycznie mają tu miejsce, w tej dzielnicy i w tobie samym. Ale z ich powodu nie możesz zamykać oczu na dobre rzeczy, bo ich jest o wiele, wiele więcej. Gdy jesteś na wsi i spacerujesz, nie możesz zatrzymać się przy każdym kamieniu i oglądać go ze wszystkich stron. Gdybyś to zrobił, nie zobaczyłbyś nieba, drzew, kwiatów i ptaków. A niezobaczenie tego wszystkiego - to dopiero byłaby straszna rzecz, nie mam racji?

Wpatrywał się w nią żarliwie, jak dziecko zasłuchane w bajkę. - Louise, a czy we mnie są dobre rzeczy?

- Aż nie sposób ich zliczyć.

- To dziwne. Ciekawe, czy Ben o tym wie.

- Wie.

- I dlatego nigdy mi o nich nie mówi? Bo jest ich za dużo?

- Tak.

- To miłe, to bardzo miłe - kiwnął głową. - Podobał mi się ten kawałek o kamieniach. Ben i ja bardzo często oglądaliśmy kamienie ze wszystkich stron, w czasie naszych wycieczek w góry. Pod kamieniami można znaleźć bardzo ciekawe rzeczy. Nie ptaki, rzecz jasna, ale stonogi, jaszczurki, świerszcze jerozolimskie... Gdy pierwszy raz zobaczyłem małego świerszcza jerozolimskiego, zdarzyła mi się głupia pomyłka. Leżał na pleckach, był cielistego koloru, machał tymi... no... wyglądało to jak ręce i nogi. Więc pomyślałem, że to prawdziwe ludzkie dziecko i że stąd właśnie biorą się dzieci. Spytałem Bena, który powiedział mi, jak jest naprawdę, ale jego wyjaśnienie wcale mi się nie spodobało. To, że dzieci wyrastają z ziemi jak kwiaty, wydawało mi się o wiele bardziej przyjemne i naturalne. Gdybym miał zacząć wszystko od nowa, chciałbym to zrobić właśnie tak, wyrosnąć z ziemi jak kwiat... Ty drżysz, Louise. Zimno ci?

- Tak.
- Zawiozę cię do domu.
- Świetny pomysł - powiedziała poważnie, jakby jej samej nie przyszło to wcześniej do głowy.

Otworzył przed nią drzwiczki i Louise wsiadła. Pokrowce na fotele zdawały się zimne i wilgotne, jak coś, co Charlie znalazł pod jakimś kamieniem.

Obszedł samochód dookoła. Światła były wciąż włączone, więc gdy je mijał, podniósł ręce, aby osłonić przed nimi twarz, jak ktoś, kto chce uniknąć spojrzenia zbyt przenikliwych, wiedzących oczu. Jak tylko usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk, zaczął się jednak odprężyć, a Louise pomyślała: Kryzys minął. W każdym razie pierwsza część kryzysu. Tylko o to śmiem teraz prosić.

- Silnik pracuje bardzo cicho - zauważyła.
- Mnie też się tak zdaje, ale nie jestem oczywiście takim znawcą jak Ben. Ben z pewnością znajdzie w nim z tuzin usterek.
- Więc nie będziemy go słuchać.
- Nie mam wystarczająco dużo odwagi, żeby nie słuchać Bena. W ogóle nie mam wystarczająco dużo odwagi, kropka.
- To nieprawda - oświadczyła, myśląc: U ludzi z problemami, takich jak Charlie, sama codzienna egzystencja wymaga większej odwagi niż u zwykłych ludzi. - Mgła ci nie przeszkadza?

Roześmiał się gorzko. - Która, ta na zewnątrz czy ta tutaj?

- Na zewnątrz.
- Lubię taką mgłę. Chciałbym się w niej na zawsze zagubić, i taki byłby mój koniec, krzyżyk na drodze.
- To byłby też mój koniec. A ja nie chcę jeszcze tego kończyć. Zaczęłam dopiero, gdy cię poznałam.
- Nie mów tak. Przeraża mnie to. Sprawia, że czuję się odpowiedzialny za ciebie, za twoje życie. Nie nadaję się do

tego. Twoje życie jest zbyt cenne, a moje niewarte jest nawet...

- Każde życie jest coś warte.

- Boże, nie mogę ci tego wyjaśnić Nie chcesz słuchać.

- Właśnie, nie chcę tego słuchać.

- Jesteś uparta jak Ben.

- Nie - uśmiechnęła się. - Jestem uparta jak ja.

Nie odzywał się przez kilka kolejnych przecznic. W końcu, zatrzymując się na światłach, rzucił: - Nie chciałem, aby tak to wyszło.

- Co wyszło i jak wyszło?

- Dzisiejszy wieczór, nasze spotkanie, samochód. Chciałem... chciałem podjechać pod twój dom i zrobić ci niespodziankę. Ale pomyślałem, że najpierw powinienem się rozjeździć, przyzwycząić się do nowego silnika, żeby nie popełnić przy tobie żadnego błędu. Wyruszyłem więc, nie myśląc dokąd i po co, w ogóle nie myśląc. Potem zatrzymałem się, po prostu się zatrzymałem, nawet nie pamiętam, czy miałem jakiś powód. I nagle znalazłem się tam, w miejscu, którego nienawidzę. Nienawidzę go, Louise, nienawidzę tego miejsca.

- Więc nie możesz tam jeździć - oświadczyła spokojnie. - To logiczne, prawda? Unikanie tego, co cię unieszczęśliwia.

- Ja tam nie pojechałem. Zostałem tam sprowadzony, zaciągnięty. Nie rozumiesz?

- Staram się.

Patrzyła, jak latarnie wynurzają się na chwilę z mgły i znów się w niej pogrążają, jak wartownicy na straży nocy. Zastanawiała się, na ile potrafi pojąć Charliego, i czy czas już spróbować. Może już nigdy nie trafi się lepsza okazja - Charlie był akurat w chłonnym nastroju, gotów, aby się zmienić; pokorny i wdzięczny, że go znalazła.

Czekając na właściwy moment, nie odzywała się już przez całą drogę. Podjechali pod jej dom, Charlie zaparkował, chwycił jej dłonie i przycisnął je sobie do piersi. Wyglądał na tak zmęczonego i bezbronnego, że w tym momencie prawie już zabrakło jej odwagi. Musiała sobie przypomnieć, że to nie wystarczy, że nie można poprzestawać jedynie na załagadzaniu problemów na jeden dzień, skoro przed nimi były ich jeszcze tysiące. Muszę to zrobić, pomyślała. Przecież nie zranię go bardziej, niż on sam siebie rani.

- Dla mnie - powiedziała w końcu - Jacaranda Street jest po prostu ulicą jakich wiele. Dlaczego tak jej nienawidzisz? Dlaczego mówisz, że to złe miejsce?

- Bo tak jest.

- Cała ulica?

Puścił jej rękę, jakby nagle wydało mu się to zbyt osobiste.

- Nie chcę o tym...

- Czy tylko jedna przecznica? A może jeden dom?

- Proszę, przestań. Przestań.

- Muszę - powiedziała. - Ta zła część to dom, w którym mieszka mała Oakley z matką?

Cały czas potrząsał głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej ból, tak jak pies wytrząsa wodę. - Nie... nie znam żadnej małej Oakley.

- A ja myślę, że znasz, Charlie. Gdybyś powiedział mi prawdę, pomogłoby ci to. Nam obojgu by to pomogło.

- Nie znam jej - powtórzył. - Tylko z widzenia.

- Nigdy do niej nie podchodziłeś?

- Nie.

- Ani z nią nie rozmawiałeś?

- Nie.

- A więc nic się nie stało - oznajmiła stanowczo. - Nie masz powodu, aby czuć się źle, twoje poczucie winy jest



zupełnie nieuzasadnione. Nic się nie stało, tylko to się liczy. Nie ma sensu winić się za coś, do czego nawet nie doszło.

- Myślisz, że to takie proste?

- Nie. Ale myślę, że od tego właśnie powinniśmy zacząć, od rozróżnienia między tym, co prawdziwe i nieprawdziwe. Nikogo nie skrzywdziłeś. Mała Oakley jest bezpieczna, w domu, i myślę, że nawet gdybym cię nie znalazła, i tak byłaby bezpieczna.

Obserwował ją tak, jak oskarżony obserwuje sędziego. - Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

- Więc powiedz to jeszcze raz. Powtórz to wszystko. Powtórzyła, a on słuchał, jakby całe życie czekał, żeby to usłyszeć.

W niczym nie przypominało to tego, co słyszał od Bena: „Nie mógłbyś raz pomyśleć? Musisz unikać takich sytuacji. Bóg jeden wie, do czego mogło dojść”.

- Nic się nie stało - powtórzył sobie. - Nic a nic.

- Wiem.

- Czy zamierzasz... to znaczy, pewnie opowiesz o wszystkim Benowi?

- Nie, jeśli sobie tego nie życzysz.

- On by tego nie zrozumiał. Nie dlatego, że jest głupi, czy coś. Po prostu tak często sprawiałem mu zawód, że nie spodziewa się po mnie niczego dobrego... Nie powiesz mu, gdzie mnie znalazłaś?

- Nie.

- A jak ty mnie w ogóle znalazłaś? Dlaczego pojechałaś akurat tam, a nie gdzie indziej?

- Po prostu zgadłam, zupełnie przez przypadek - uśmiechnęła się. - Mała Oakley była dzisiaj w bibliotece. Szukała pewnej książki i panna Albert przyprowadziła ją do mnie. Dopiero co sprawdzałam dla ciebie, kto mieszka na

Jacaranda Street 319, więc spytałam ją, czy to jej adres, a ona potwierdziła. Nic prostszego.

- Nie, niemożliwe. Nie mogłaś niczego domyślić się jedynie z tych kilku informacji.

- Cóż, porozmawialiśmy chwilę.

- Nie o mnie. Nigdy mnie nie widziała.

- Rozmawialiśmy - ciągnęła Louise - o jej kocie. Nie ma psa. Odwrócił głowę i zaczął wyglądać przez okno, choć nie było widać niczego poza różnymi odcieniami szarości. - Ta historia o psie goniącym za samochodami nie była chyba zbyt wiarygodna.

- Nie była, faktycznie.

- Dziwne, że tak po prostu przyszła sobie do biblioteki. Zupełnie jakby ktoś to zaplanował, Bóg albo Ben, albo...

- Nikt tego nie zaplanował. Dzieci chadzają do bibliotek, a ja pracuję w jednej z nich, to wszystko... Widujesz mnóstwo małych dziewczynek, Charlie. Dlaczego akurat ta... ci się spodobała?

- Nie wiem.

- Dlatego, że przypominała ci mnie? Bo ja od razu pomyślałam, że jest do mnie podobna, z tymi poważnymi oczami i długimi jasnymi włosami.

- Jasnymi?

- Nie wierzysz mi? Jak byłam mała, byłam słodką blondyneczką.

Położył ręce na kierownicy i zacisnął je, jak rajdowiec przygotowujący się do wzięcia ostrego wirażu. Blondyneczką, pomyślał. Ta jej szalona matka ufarbowała włosy Jessie na blond. Nie, to niemożliwe. Jessie ma krótkie włosy, w ciągu jednego dnia nie mogłyby tak urosnąć. A więc peruka. Jedna z tych nowomodnych peruk, które teraz noszą dziewczyny...

- Jej rodzina musi mieć kłopoty - mówiła Louise. - Mary Martha szukała książki o rozwodach.

- Kto?

- Oakleyówna, Mary Martha... Wyglądasz na zdenerwowanego. Nie powinnam była o niej mówić, już nie będę. Obiecuję, ani słowa. - Oparła policzek o jego ramię. - Tak bardzo cię kocham, Charlie. A czy ty też mnie kochasz?

- Tak.

- Ale chyba jesteś zmęczony, prawda?

- Tak.

- Chcesz jechać do domu?

- Tak - powiedział. - Tak. Ja... jest późno i zimno.

- Wiem. Pojeźdź do domu i wyśpij się, a rano poczujesz się dużo lepiej.

- Tak? - Patrzył prosto przed siebie, wyężając wzrok, jakby usiłował dostrzec we mgle zarys poranka. Ale widział jedynie Jessie, opuszczającą plac zabaw z Mary Martha. Pochylały się do siebie głowami i szeptały coś między sobą, planowały, jak go oszukać. Cały ten czas był przekonany, że go nie zauważyły, a one już od samego początku go przejrzały. Widziały go, nawet przez brudne szyby starego zielonego auta, dostrzegły w nim coś innego, coś nie tak. A Jessie - to na pewno była Jessie, ona zawsze była prowodyrką - powiedziała: „Oszukajmy go. Będziemy udawać, że mieszkam w twoim domu”.

Dzieci bywają bardzo przenikliwe, są w stanie zobaczyć coś, czego nie dostrzegają dorośli. Ich uwaga nie jest podzielona na przeszłość i teraźniejszość, koncentruje się na teraźniejszości. Ale co takiego sprawiło, że Jessie zwróciła na niego uwagę? W jaki sposób odkryła, że jest inny...?

- Dobranoc - powiedziała Louise.

Choć odpowiedział: - Dobranoc - nie pamiętał już o Louise, wiedział tylko, że to osoba, która przyniosła mu złe wieści, a teraz już sobie idzie. Idź i nie wracaj, nieznajoma.

Drzwiczki samochodu otworzyły się i zamknęły. Przekręcił kluczyk i ruszył. Gdzieś w tym mieście, w którymś z domów ukrytych teraz w mroku i we mgle, pewna mała dziewczynka wiedziała, że był inny - nie, to nie była dziewczynka, to już była kobieta, chytra, podstępna i prowokująca. Teraz pewnie śmieje się z niego, z tego, jak dał się oszukać. Musiał ją odnaleźć.

Powody, dla których musiał ją odnaleźć, mnożyły i kłębiły mu się w głowie jak zarazki. Dam jej porządną reprimendę, ale oczywiście nie będę jej straszyć, nigdy nie mógłbym nastraszyć dziecka, choćby było nie wiem jak niegrzeczne. Spytałem, co sprawiło, że zwróciła na mnie uwagę, czemu wydałem jej się inny. Powiem jej, że nieładnie jest mieć takie straszne myśli...

Jessie zakrzyknęła ze swojego pokoju:

- Słuchajcie, wstałam po szklankę wody i teraz trzeba mnie znowu utulić!

Właściwie nie potrzebowała trzeciego utulania, ale słyszała, że rodzice się kłócą, i chciała ich uciszyć, bo nie mogła przez to zasnąć. Kłótnia dotyczyła chyba pieniędzy, ale nie potrafiła rozróżnić pojedynczych słów. Przez szpary w drzwiach docierał do niej niespokojny, świdrujący w uszach szum rozmowy. Nie było to przyjemne świdrowanie, na przykład takie, jakiego doświadczała, gdy przytulała się do Chapa, psa Arlingtonów. Było raczej bolesne, jak w miejscu po ugryzieniu pchły, które trzeba wciąż drapać, choć drapanie w niczym nie pomaga.

Zawołała znowu, a minutę później w drzwiach do jej pokoju zjawił się tata. Miał na sobie szlafrok, wydawał się śpiący i zagniewany. - Tym razem ci się upiekło, moja panno. Zdajesz sobie sprawę, że już po dziesiątej?

- Nic nie poradzę, że czas płynie. Nawet gdybym chciała, nie mogę go zatrzymać.

- Nie, ale możesz umilić upływ czasu reszcie domowników. Mike już śpi, a ja zamierzam się położyć.

Po tonie poznała, że tak naprawdę to wcale nie jest na nią zły. Wydawał się wręcz zadowolony, że jego rozmowa z Ellen została przerwana.

- Mógłbyś minutkę posiedzieć ze mną na łóżku.

- Tak chyba zrobię - uśmiechnął się lekko. - To najlepsza propozycja, jaką dzisiaj dostałem.

- I teraz możemy porozmawiać.

- O czym?

- Och, o wszystkim. Ludzie zawsze mają o czym rozmawiać.

- Owszem, mają, jeśli jeden z tych ludzi to ty. Co cię dręczy, Jess?

Oparła się o wezglowie łóżka i spojrzała w sufit. - Czy Ellen i Virginia są najlepszymi przyjaciółkami?

- Jeśli chodzi ci o mamę i ciocię Virginię, to tak, można je chyba nazwać najlepszymi przyjaciółkami.

- Mówią sobie o wszystkim?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

- Znaczą, tak jak ja i Mary Martha, bo my dzielimy się nawet największymi sekretami. Miałaś kiedyś takiego przyjaciela?

- Nie od czasu, gdy byłem na tyle duży, żeby mieć jakieś godne wzmianki sekrety - odparł sucho. - Coś cię dręczy, Jessie?

- Nie - powiedziała, ale nie mogła powstrzymać się od spojrzenia na zamknięte drzwi szafy. Od czasu gdy zaniósła książkę Virginii i Howard wcisnął jej do ręki dwadzieścia dolarów, minęła już cała noc i dzień. Pieniądze były już dobrze ukryte przed ludzkim wzrokiem - w bucie - ale równie dobrze mogłaby wciąż nosić je w ręku. Bardzo dużo o nich myślała, zawsze z poczuciem winy i władzy; miała pieniądze, mogła kupić sobie różne rzeczy, ale sama też została kupiona. Zastanawiała się, co dorośli robili z kupionymi dziećmi. Zatrzymywali je? A może odsprzedawali, tylko komu? Może gdyby zwróciła Howardowi i Virginii te dwadzieścia dolarów, oddadzą ją z powrotem tacie i wszystko wróci do normy. Przecież wcale nie chciała tych pieniędzy, Howard zmusił ją, żeby je wzięła, i podejrzewała, że wcale nie będzie chciał przyjąć ich z powrotem.

Zapytała drżącym głosem: - Czy ja jestem twoją córeczką?

- Co za pytanie. A czyją miałabyś być?

- Howarda i Virginii.

Zmarszczył czoło. - Skąd w ogóle ten pomysł, żeby nazywać dorosłych po imieniu?

- Wszystkie dzieci tak robią.

- Ale ty nie jesteś „wszystkimi dziećmi”. Jesteś moją jedyną dziewczynką. - Po czym spytał lekko: - Byłaś dzisiaj u Arlingtonów?

- Nie.

- Coś dużo o nich myślisz.

- I zastanawiałam się, czemu nie mają własnych dzieci.

- Obawiam się, że będziesz musiała żyć w nieświadomości - odparł. - Ludzie nie lubią odpowiadać na takie pytania.

- Mogliby sobie kupić jakieś dziecko, prawda? Mają w końcu mnóstwo pieniędzy. Słyszałam, jak Ellen mówiła...

- Mama.

- ...jak mama mówiła, że gdyby miała choć część pieniędzy Virginii, zapisałaby się do klubu fitness, żeby pozbyć się tego tłuszczu, którym Virginia porosła. Myślisz, że Virginia jest za gruba? Howard tak nie myśli. Lubi ją całować, bez przerwy ją całuje, o ile nie jest na nią zły. Kurczę, wczoraj to dopiero był na nią zły...

- Dobrze, wystarczy - przerwał jej szorstko. - Nie chcę wysłuchiwać plotek o Arlingtonach z ust dziewięciolatki.

- To wcale nie plotki. To zdarzyło się naprawdę. Chciałam opowiedzieć ci o tych dwudziestu dolarach, które Howard...

- Nie chcę tego słuchać, jasne? Ich prywatne życie to nie moja sprawa ani nie twoja. Uspokój się już i idź spać, bo jak tu wpadnie mama, to zobaczysz, jak bardzo ktoś może być zły.

- Ja się jej nie boję. Nigdy niczego nie robi.

- Ale ja coś mogę zrobić, smarkulo, więc uważaj. Teraz już żadnej wody, żadnego utulania i żadnych plotek. Zrozumiano?

- Tak.
- To połóż się i zgaś światło.
- Jeszcze nie zmówiłam modlitwy.
- Och, na miłość bo... okej, okej, zmów modlitwę.  
Zamknęła oczy i złożyła ręce.
- Drogi Jezusku w niebie / Świecący jak gwiazda jasno /  
Dziękuję za piękny dzień / Teraz pomóż mi zasnąć / Amen.  
Tyle że to nie był zbyt piękny dzień - dodała szczerze. - Ale  
tak jest w modlitwie, więc muszę to mówić. Mam nadzieję, że  
Bóg nie uzna mnie za kłamczuchę.
- Też mam taką nadzieję. - Sięgnął ręką do kontaktu, ale  
nie wyłączył światła. - Co było nie tak z tym dniem, Jessie?
- Mnóstwo rzeczy.
- A konkretnie?
- Byłam traktowana jak dziecko. Mike nawet odprowadził  
Mary Marthę i mnie do szkoły, żeby na pewno nie poszła  
bawić się na drabinkach, ze względu na ręce. Zachowywał się  
naprawdę wrednie. Myślę, czy się z nim nie rozwieść.
- Więc lepiej pomyśl jeszcze raz - powiedział Dave. - Nie  
można rozwieść się z bratem ani z żadnym innym krewnym.
- Mary Marcie się udało. Przecież rozwiodła się z  
Sheridanem.
- To głupota.
- No, nigdy go nie widuje, więc to praktycznie jak  
rozwód.
- Dlaczego nigdy go nie widuje?
- Jessie rozejrzała się uważnie po pokoju, jakby szukała  
szpiegów. - Umiesz dochować tajemnicy, nawet przed Ellen?
- Uśmiechnął się, ale widać było, że to pytanie mu się nie  
spodobało. - To może okazać się trudne, ale spróbuję.
- Z ręką na sercu?
- Z ręką na sercu.



- Sheridan wyprowadził się, żeby zamieszkać z inną kobietą - szepnęła Jessie - więc już nigdy nie będzie mógł zobaczyć się z Mary Martha. Ani razu.

- To nie wydaje mi się zbyt rozsądne.

- O, nie. Mary Martha powiedziała mi dziś rano, że to bardzo zła kobieta. Musiała sprawdzić jedno słowo w słowniku, zajęło jej to dużo czasu, bo nie wiedziała, jak to się pisze, ale w końcu do tego doszła.

- Doszła do tego - powtórzył Dave. - Tak, cała Mary Martha.

- No pewnie. W ortografii jest najlepsza w całej szkole.

- A ty, moja mała przyjaciółko, stajesz się najlepsza w plotkowaniu.

- Dlaczego „w plotkowaniu”, skoro to szczerą prawdą?

- Po pierwsze, nie wiesz, czy to prawda. - Na chwilę zamilkł, i zaczął masować sobie kark, jakby boleśnie zeszytniały mu tam mięśnie. - Ta kobieta wcale nie musi być aż tak zła. Pani Oakley na pewno jest do niej uprzedzona. - Znowu zamilkł. - Jak to się dzieje, że zawsze dyskutuję z tobą na takie tematy?... A teraz już uspokój się i zacznij, tak dla odmiany, myśleć o swoich własnych sprawach.

Złożyła głowę na poduszce, ale oczy wciąż nie chciały jej się zamknąć. Wpatrywała się w twarz Dave'a, jakby chciała nauczyć się jej na pamięć. - Gdybyś ty rozwiódł się z Ellen, mogłabym cię widywać?

- Jasne, że byś mogła - powiedział szorstko i zgasił światło. - Nie chcę już słyszeć żadnych głupot, jasne? I prosiłbym, żebyś mówiła o mamie „mama”. Koniec już z tą modą na zwracanie się do dorosłych po imieniu.

- Chciałabym, żeby był już ranek...

- Przestań chcieć i zacznij spać.

- Nienawidzę nocy, po prostu nienawidzę. - Uderzyła pięścią w poduszkę. - W nocy nie ma nic do roboty poza leżeniem i spaniem. Jak śpię, nie czuję się sobą.

- Jak śpisz, masz niczego nie czuć.

- Znaczy, jak śpię i nagle się obudzę, nie czuję się sobą. U ciebie jest inaczej. Gdy się obudzisz i włączysz światło, widzisz w łóżku obok Ellen i myślisz: „To Ellen, więc ja muszę być Dave”. Od razu wiesz, że jesteś Dave.

- Tak? - Głos miał poważny i nie zganił jej za używanie imion. - A gdybym obudził się, a w łóżku obok nie byłoby Ellen?

- Wtedy wiedziałbyś, że poszła do kuchni coś przekąsić albo zrobić sobie herbaty. Ellen zawsze gdzieś tu jest. Ja nigdy się o nią nie martwię.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś martwiła się o mnie. Tak jest?

- Chyba nie.

- Ale nie jesteś pewna?

Położyła sobie rękę na oczach, żeby osłonić je przed światłem wpadającym z przedpokoju. - Cóż, z ojcami jest inaczej. Mogą się po prostu wyprowadzić, jak Sheridan, i już nigdy więcej ich nie zobaczysz.

- Bzdura - rzucił ostro. - Przypadek Oakleyów jest szczególny.

- Mary Martha twierdzi, że to zawsze wygląda tak samo.

- Jeśli wierząc w to, Mary Martha czuje się lepiej, proszę bardzo. Ale ty nie musisz w to wierzyć. - Pochylił się i odgarnął jej włosy z czoła. - Zawsze tu będę, rozumiesz? Tak długo, aż w końcu nie będziesz już mogła na mnie patrzeć.

- Nie, będę mogła.

- Poczekaj, aż zaczną przychodzić do ciebie różni młodzieńcy, a ty będziesz przyjmować ich w salonie. Wtedy zaczniesz się modlić, żeby kochany tatuś wybrał się na Księżyc, z biletem w jedną stronę.

Wydała z siebie zduszony dźwięk, który uznał za chichot.

- No, już - dodał. - Lepiej ci? Nie martw się już o mnie i nie myśl o Oakleyach. Są w swoich dziwactwach odosobnieni.

- Nie, wcale nie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy po prostu masz zamiar przeciągać tę rozmowę w nieskończoność, wymyślając...

- Me. Słyszałam na własne uszy.

- Co słyszałaś?

- Jeśli ci powiem, uznasz to za plotki.

- Może. Wal.

Mówiła szeptem, jakby bała się, że Arlingtonowie słuchają pod oknem. - Howard się wyprowadza, dokładnie tak jak Sheridan. Powiedział to wczoraj Virginii, byłam przy tym. „Wyprowadzam się” - powiedział i natychmiast wypadł z domu.

- Zbyt daleko nie wypadł - zauważył sucho Dave. - Dziś rano widziałem, jak pomaga ogrodnikowi. Zrozum, Jessie, w małżeństwie czasami mówi się coś, czego się tak naprawdę nie myśli. Twoja mama i ja też to czasem robimy, choć nie powinniśmy. Z resztą ty i Mike tak samo. Wściekacie się na siebie albo czujecie się zranieni i zaczynacie sobie wygrażać. Oboje doskonale wiecie, że te groźby pozostaną niespełnione.

- Howard naprawdę tego chciał.

- Może w tamtej chwili. Ale zmienił zdanie, rzecz jasna.

- Może je znowu zmienić, prawda?

- To możliwe. - Patrzył na nią, ale z jej twarzy niczego nie mógł wyczytać. Odwróciła ją od światła dochodzącego z przedpokoju. - Mówisz tak, jakbyś chciała, żeby Howard się wyprowadził...

- Nie, nic mnie to nie obchodzi.

- Arlingtonowie zawsze byli dla ciebie bardzo mili, prawda?

- Chyba tak. Ale wolałabym, żeby obok mieszkał ktoś inny, jakaś rodzina z dziećmi.

- Myślisz, że Arlingtonowie sprzedadzą dom?

- Jeśli Howard się wyprowadzi, Virginia też będzie musiała, bo zostanie bez pieniędzy, jak pani Oakley.

Wstał i w geście tamowanej złości założył ręce. - Oakleyowie zaczynają mnie już męczyć. Najlepsza przyjaciółka czy nie, będę chyba musiał nalegać, żebyś nie spotykała się tak często z Mary Martha, jeśli tylko ona i jej problemy siedzą ci w głowie.

Wyczuła, że jego złość nie była skierowana przeciwko Oakleyom, których poza Mary Martha nawet nie znał, ale przeciwko Arlingtonom, a może nawet przeciwko Ellen i samemu sobie. Któregoś wieczora podsłuchiwała, jak mówił Ellen, że chciałby przeprowadzić się z powrotem do San Francisco, a w czasie śniadania następnego dnia Ellen miała spuchnięte oczy. Nikt nie kwestionował jej opowieści o uczuleniu, ale nikt w nią też nie uwierzył. Przez cały następny tydzień Dave zachowywał się bardzo cicho, a nawet pozwolił Mike'owi i Jessie spóźnić się na posiłki i sprzeczać się o programy telewizyjne.

- Słyszałaś mnie, Jessie?

- Tak. Ale chce mi się już spać.

- No, najwyższy czas - oświadczył, zamykając cicho drzwi, w obawie, że może się jej znowu odechcieć.

Pozostawiona samej sobie, zamknęła oczy, bo i tak nie było na co patrzeć. Ale same się otwierały. Słyszała, jak Arlingtonowie podjeżdżają pod dom samochodem Howarda - był głośniejszy niż Virginii - słyszała też szczekanie ich psa, Chapa, zgrzyt bramy do garażu oraz szybkie, niecierpliwie kroki Howarda i wolne kroki Virginii; brzmiało to tak, jakby ją dokądś zaciągano siłą.

- U Brantów wciąż pali się światło - odezwała się Virginia, jej słowa zlewały się i ginęły we mgle. - Chyba wpadnę do nich na chwilę, powiedziec dobranoc.

- Nie, nie wpadniesz - oznajmił Howard.

- Mówisz, że nie mogę?

- Spróbuj, to zobaczysz.

- I co mi zrobisz? Upokorzysz mnie przed Brantami? Stare dzieje, teraz nie daję się tak łatwo upokorzyć. A może będziesz próbował wciągnąć w to Jessie. Zabawne, jak nie potrafisz rozwiązywać swoich problemów bez wciągania w to sąsiadów. Taki z ciebie wielki, mądry mężczyzna. Czy potrafisz poradzić sobie z żoną sam?

- Potrafię poradzić sobie z żoną. Nie potrafię poradzić sobie z wrogiem.

Jessie podeszła na palcach do okna i wyjrzała przez żaluzje. Na podwórku Arlingtonów paliło się światło, widziała, jak Howard pochyła się, żeby otworzyć drzwi. Virginia stała za nim, trzymając torebkę tak, jakby chciała zdzielić go nią po głowie. Przez moment wszystko wydało się Jessie na opak: to Howard był tym mniejszym i słabszym, a Virginia była tą potężną, szefem. Howard w końcu wyprostował się i wszystko wróciło do normy.

Otworzył drzwi i rozkazał: - Wchodź - a Virginia weszła szybko, z opuszczoną głową.

Światło zgasło, pogrążając podwórko w mroku i we mgle, a jedyny dźwięk, jaki dochodził do uszu Jessie, wydawała woda kapiąca z liści kosmatki.

Następnego ranka Ralph MacPherson wstał, jak zwykle, o 5:30. Od czasu śmierci żony nauczył się jakoś wypełniać sobie dni, ale samotne noce były nie do zniesienia. Skracał je do minimum, wstając przed świtem i kładąc się spać, kiedy większość prawników kończyła dopiero kolację. Jego znajomi, usiłujący za wszelką cenę go wyswatać, narzekali na te zwyczaje, ale Mac miał się dzięki nim świetnie. Był to zdrowy tryb życia.

Przed śniadaniem chodził pobiegać ze swoimi dwoma psami, pracował w ogrodzie oraz wystawiał jedzenie i wodę dla dzikich ptaków i zwierząt. Po śniadaniu czytał przy oknie w jadalni, od czasu do czasu podnosząc głowę, aby popatrzeć na ptaki, pikujące w dół z dębów i sosen, króliki wyskakujące z zarośli rosnących na dnie rowu i wiewiórki śmigające po drzewie cytrynowym w poszukiwaniu orzeszków, które wkładał dla nich do pustej skorupy kokosowej. Pomagając dzikim stworzeniom, czuł się szczęśliwy - stawał się ich cichym współnikiem w walce z grabieżczym, chciwym człowiekiem.

W biurze zjawił się o 8:30. Panna Edgeworth siedziała już za biurkiem; w swoim odprasowanym, beżowym kostiumie z jedwabiu wyglądała świeżo i rześko. Choć nigdy jej tego nie powiedział (panna Edgeworth nie była osobą, która popierała rozmowy na tematy osobiste), Mac miewał czasami wrażenie, że usiłuje wygrać z nim wyścig o to, które z nich pierwsze dotrze do biura. Nieważne, jak wcześnie przyjeżdżał, zawsze była pierwsza, a wygrana znaczyła dla niej dużo, bo utwierdzała ją w przekonaniu o znikomej praktyczności i wydolności męskiego rodu.

W jej „Dzień dobry, panie MacPherson” zawsze dało się wyczuć nutkę triumfu.

- Dzień dobry, panno Edgeworth.

Miała na imię Alatheia i pracowali ze sobą wystarczająco długo, aby być ze sobą po imieniu. Czuł jednak, że „Dzień dobry, Alatheo” brzmiałoby jeszcze bardziej formalnie niż „Dzień dobry, panno Edgeworth”. Bał się, że kiedyś mogłoby mu się wymyknąć przezwisko, którym obdarzyły ją inne dziewczyny z biura - Edgy. Czyli nerwuska.

- Były do mnie jakieś telefony? - zapytał.

- Porucznik Gallantyne chce, żeby oddzwonił pan do komendy głównej. Połączyć pana?

- Nie, sam to zrobię.

- Pani Oakley też...

- To może zaczekać.

Wszedł do swojego gabinetu i wykręcił numer komendy.

- Gallantyne? Mówi MacPherson.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - oznajmił Gallantyne, tonem, który sugerował coś zupełnie przeciwnego.

- Wy, prawnicy, ostatnio nie lubicie się przepracowywać, zupełnie jak bankierzy.

- Coś podobnego. Jakieś wieści o zielonym coupe?

- Jeden z chłopaków z drogówki zauważył je z godzinę temu. Stoi w komisie Jima Bakera na Bojeta Street, przy nabrzeżu.

- Od jak dawna?

- Garcia nie zadawał żadnych pytań. Nikt mu nie kazał.

- Rozumiem. Cóż, dzięki, Gallantyne. Sam to sprawdzę.

Odłożył słuchawkę, odchylił się na krzesło obrotowym i, marszcząc czoło, zaczął wpatrywać się w sufit. Fakt, że zielone coupe zostało sprzedane, potwierdzał domysły Kate co do tego, kto siedział za kółkiem. Mac zazwyczaj traktował zarzuty Kate wobec Sheridanana z przymrużeniem oka. Część z nich była prawdziwa, część wymyślona, a większość z nich mieściła się gdzieś pośrodku. Jeśli przeszła przez pokój i uderzyła się w palec u nogi, winiła za to Sheridanana, nawet

gdyby akurat znajdował się kilkaset mil od niej. Choć z drugiej strony, Sheridan miał na sumieniu różne wysoki. Zupełnie możliwe, że chciał ją nastraszyć, żeby zgodziła się na jego warunki rozwodu, i sam się przestraszył, gdy zaczęła gonić go po mieście.

Mac pomyślał po raz setny, że byli jak zwierzęta, splecione w śmiertelnym uścisku. Żadne nie było na tyle silne, aby wygrać, i żadne nie chciało puścić. Uścisk ten trwał już tak długo, że stał się ich sposobem na życie. To nie słońce rozświetlało poranki Kate i nie morze orzeźwiało Sheridana, lecz wyczekiwane zwycięstwo nad tą drugą osobą. Nie mogli już żyć bez emocji, jakie dawała walka. Mac przypomniał sobie dwa wersy z dziecięcego wierszyka o łaciatym psie i nakrapianym kocie, które zniknęły razem w tajemniczych okolicznościach:

„Prawda o kocurze i o psie  
Jest taka: zjadły się”.

Nie miało już znaczenia, kto ugryzł pierwszy, Kate czy Sheridan. Teraz chodziło o to, żeby powstrzymać tego, kto zrobi to ostatni, a Mac na razie nie miał pojęcia jak. Wielokrotnie przekonywał Kate, że może to wiedzieć ktoś inny i żeby zatrudniła innego prawnika. Zawsze miała tę samą odpowiedź: „Skądże znowu. Żaden inny prawnik nie zrozumie mnie tak jak ty”. „Ja też cię nie rozumiem, Kate”. „Musisz, w końcu znasz mnie od dziecka”.

Stosunek Kate do mężczyzn opierał się na nierealnych oczekiwaniach albo nieuzasadnionej pogardzie, bez żadnych półśrodków. Jeśli zachowywali się przyzwoicie, zgodnie z jej standardami, byli wynoszeni do rangi bogów. Jeśli powinęła im się noga, natychmiast otrzymywali etykietkę diabłów. Mac nie został jeszcze zdyskwalifikowany, bo nie chciał przyjąć standardów Kate, a jej wymagań nie traktował poważnie.



Dyskwalifikacja Sheridana była szybka i kompletna, bez możliwości rehabilitacji. Sheridan zdawał sobie z tego sprawę. Jednym z głównych powodów, dla których ciągle walczył, była świadomość, że nieważne jak dużo pieniędzy jej zostawi i jak bardzo jej ustąpi, i tak nie uzyska z powrotem statusu boga.

Mac współczuł im obojgu i obojga miał też serdecznie dość. Chciał prawie, aby się wynieśli albo w końcu zjedli się nawzajem. Rodzina zastępcza mogła być dla Mary Marthy wybawieniem.

Powiedział pannie Edgeworth, że wróci za godzinę, i pojechał w stronę nabrzeża, na sam koniec Bojeta Street. Los tej części miasta był już przesądzony, bo właśnie odkrywali ją i zasiedlali nowi przybysze, pochodzący z terenów bez dostępu do morza. Sprzedawcy nieruchomości chciwie wykupywali działki z widokiem na ocean i wyburzali stare budynki - magazyny, przetwórnice rybne i budki, gdzie pomieszkiwali meksykańscy robotnicy rolni - które, zdaniem niegdysiejszych mieszkańców, wybudowano w wilgotnej, mało prestiżowej dzielnicy miasta.

Komis samochodowy Jima Bakera wciśnięty był pomiędzy trzypiętrowy motel w budowie oraz nową restaurację z barem, pod nazwą Sea Aira Club. Kilka tabliczek głosiło „Okazja!”, bo Bakerowi wkrótce wygasała dzierżawa. Sam też wyglądał, jakby już wygasał. Był to starszy mężczyzna, o skórze pomarszczonej tak, że wyglądała jak stara, papierowa torebka, i grubym, chropawym głosem, który brzmiał, jakby Baker nałykał się w życiu zbyt dużo mgły.

Wyszedł ze swojego mikroskopijnego biura, żując coś, co mogło być gumą, resztką śniadania albo jakimś nieprzetrawionym wspomnieniem, - W czym mogę pomóc?

- Interesuje mnie to zielone coupe, tam z tyłu.

- A co w nim pana interesuje? - mówiąc to, obrzucił długim, znaczącym spojrzeniem nowego buicka Maca. - Coś nie tego z transakcją?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przy okazji, nazywam się Ralph MacPherson. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy odkupił pan ten samochód.

- Wczoraj, koło szóstej wieczorem. Transakcji dokonał mój syn, Jamie, ja byłem w biurze. Właśnie przyniosłem mu z domu kolację. Mamy otwarte czternaście godzin na dobę, więc musimy się zmieniać. Sprzedał temu młodemu człowiekowi ładnego, nowego pontiaca, z którym poprzedni właściciel obchodził się jak z jajkiem. Szczerze mówiąc, szkoda mi go było sprzedawać, ale temu młodemu człowiekowi bardzo na nim zależało, no i płacił gotówką. Więc... - Baker wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- A jak młody był ten człowiek?

- O, coś koło wieku Jamiego, ze trzydzieści dwa lata, może trzydzieści pięć.

Sheridan miał trzydzieści cztery. - Pamięta pan, jak się nazywał?

- Nawet tego nie wiem. Mamy to w księdze, ale nie jestem pewny, czy powinienem to dla pana sprawdzać. Nie chciałbym przysporzyć mu jakichś kłopotów.

- Ja właśnie staram się zapobiec kłopotom, panie Baker. Moja klientka - jestem prawnikiem - jest przekonana, że mąż, z którym się właśnie rozwodzi, śledził ją, korzystając z tego zielonego coupe. Od lat jestem przyjacielem tej rodziny i po prostu staram się ustalić, jak było naprawdę. Nawet sam opis tego człowieka wiele by mi pomógł.

Baker zastanowił się. - Cóż, dobrze wyglądał, był gładko ogolony, atletycznej budowy. Wysoki, miał z sześć stóp wzrostu, słomiane włosy i uśmiech, jakby bez przerwy za coś przeproszał. Czy to ten mąż?

Sheridan był niski i nosił okulary, ale Mac powiedział: - Nie jestem pewny. Lepiej, gdyby sprawdził pan to nazwisko.

- No dobrze, skoro chodzi tu tylko o rozwód, a nie o przestępstwo. Nie chciałbym mieć nic wspólnego z jakimś przestępstwem. To źle się odbija na interesie.

- Z tego co wiem, o żadnym przestępstwie nie ma tu mowy.

- Okej, proszę zaczekać.

Poszedł do biura, a za kilka minut wrócił, niosąc starą kopertę, na której napisał nazwisko i adres: Charles E. Gowen, Miria Street 495.

- To on? - spytał Baker.

- To nie on, z czego ogromnie się cieszę. - Oddał mu kopertę. - Dla mojej klientki to dobra wiadomość.

- Kobiety miewają czasami dziwne pomysły.

- Prawda?

Jeśli dla Kate była to dobra wiadomość, to niczym tego nie okazała. Czekala na niego w drzwiach, miała na sobie wykrochmaloną bawełnianą sukienkę i buty na obcasach. Jej makijaż był wyjątkowo staranny, a fryzura elegancka. Mac odnosił wrażenie, że Kate zawsze wygląda tak, jakby oczekiwała gości, którzy nigdy nie przychodzą. Z tego co wiedział, nikt oprócz niego nie miał już wstępu do domu Kate.

Przeszli do mniejszego z dwóch salonów. Usiadła na parapecie, a on opowiedział jej, czego się dowiedział. Z twarzą w cieniu i długimi, jasnymi włosami podświetlanymi od tyłu przez słońce, wyglądała na niewiele starszą od Mary Marthy. Ma dopiero trzydzieści lat, pomyślał Mac. Jej życie legło w gruzach, a ona jest zbyt słaba, żeby się pozbierać.

- Możesz już przestać się martwić tym zielonym samochodem - oświadczył. - Sheridana w nim nie było.

Nie wyglądała na osobę, która zamierzała czy chciała przestać się martwić. - Ale nie ma na to dowodów.

- Samochód był zarejestrowany na Charlesa Gowena. Wymienił go wczoraj wieczorem.

- Dość dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

- Tak. Ale zbiegi okoliczności się zdarzają.

- Wiele z nich można wyjaśnić. Od początku powtarzam ci, że Sheridan jest zbyt sprytny, aby posłużyć się własnym samochodem. To jasne, że pożyczył samochód od tego Gowena. Ludzie, z którymi Sheridan teraz przestaje, dzielą się samochodami, żonami i kochankami, tak jak dzielą się kieliszkiem. Sheridan stoczył się niżej, niż myślisz.

- Nie będę się teraz w to wdawał, Kate. Trzymajmy się tematu.

- Dobrze. Korzystał z samochodu Gowena, żeby mnie prześladować. A gdy odpłaciłam mu pięknym za nadobne, gdy go pogoniłam, wystraszył się i kazał Gowenowi go sprzedać.

- Dlaczego? Dlaczego nie zwrócił go po prostu Gowenowi i nie zaczekał, aż sprawa przycichnie? To właśnie sprzedaż samochodu doprowadziła mnie na trop Gowena.

- Sheridan działa często, a raczej zawsze, w zamroczeniu alkoholowym. Pewnie uznał to za wyjątkowo podstępny gambit.

- A co z Gowenem?

- Nie wiem, co z Gowenem - rzuciła niecierpliwie. - Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. Ale to typowe zachowanie obecnych znajomych Sheridana, zrobiliby wszystko dla kilku dolarów czy flaszki. Nie zapominaj, że Sheridan ma pieniądze, którymi może szastać na prawo i lewo. To czyni go dość popularnym i chyba potężnym w pewnych kręgach. - Przerwała i zaczęła gładzić się ręką po lewym policzku. Był ognistoczerwony, jakby ktoś ją uderzył. - Spytałeś „A co z Gowenem?” Czemu tego nie sprawdzisz?

- Nie mam wystarczających podstaw, aby wszcząć śledztwo. Obrzuciła go spojrzeniem pełnym goryczy. - Nie

masz wystarczających podstaw? Więc twierdzisz, że wszystko to sobie wymyśliłam?

- Nie, Kate. Ale...

Nie wymyśliłam sobie, że ktoś parkuje pod moim domem i śledzi mnie. Nie wymyśliłam sobie anonimowego listu, w którym oskarża się mnie o zaniedbywanie córki. Nie wymyśliłam sobie tej wczorajszej gonitwy po mieście. Czy niewinny mężczyzna uciekałby w ten sposób?

- Może nie ma niewinnych mężczyzn - zauważył Mac. - Ani kobiet.

- Och, przestań gadać jak stary, mądry filozof. Nie jesteś stary, żaden mędrzec też nie.

- Pewnie, że nie.

- Gdybyś to ty był w tym samochodzie, czy uciekałbyś tak jak on? Powiedz szczerze.

- Koncentrujesz się tylko na tym, że uciekał. Ja chciałbym skoncentrować się na tym, dlaczego go goniłaś.

- Byłam zdenerwowana. Właśnie dostałam ten list.

- Może jemu też zdarzyło się właśnie coś przykrego i zareagował w sposób emocjonalny, a nie racjonalny.

Wydała z siebie okrzyk rozpacz. - Nie chcesz mnie wysłuchać. Nie traktujesz mnie poważnie.

- Chcę. Traktuję.

- Nie. Myślisz, że jestem głupia. Ale ja czuję, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie, Mac, wiem, że nadciąga. Stanie się coś strasznego, czeka tuż za rogiem. Nie można tego dostrzec, usłyszeć ani dotknąć, ale jest tak prawdziwe jak ten dom, krzesło, na którym siedzisz, czy to drzewo za oknem.

- I jesteś pewna, że stoi za tym Sheridan?

- Musi - odparła z prostotą. - Nie mam żadnych innych wrogów.

Mac pomyślał, jakie to smutne epitafium dla związku małżeńskiego: Me mam żadnych innych wrogów.

- Jeszcze raz spróbuję skontaktować się z Sheridanem. Jak wiesz, nie odbiera telefonów.

- Kolejny dowód winy.

- Albo dowód na to, że nie ma go w domu - zauważył cierpko. - A jeśli chodzi o Charlesa Gowena, nie mogę wziąć go w krzyżowy ogień pytań. Nie mam prawa ani sumienia, żeby to robić. Mogę przeprowadzić dyskretny wywiad, dowiedzieć się, gdzie mieszka i pracuje, jakim jest człowiekiem, czy jest typem osobnika, który mógłby trzymać z Sheridanem, i tak dalej. Równie dobrze mogę powiedzieć ci to teraz: nie sądzę, aby to śledztwo coś dało. Jeśli Gowen miał nieczyste sumienie i nie chciał, aby ktoś odszukał to zielone coupé, to znalazłby lepszy sposób na pozbycie się go. Stąd do Los Angeles jest co najmniej sto komisów z używanymi samochodami, a Gowen mimo to sprzedał go tutaj, praktycznie w centrum miasta.

- Może po prostu jest głupi. Nowi znajomi Sheridana do geniuszy nie należą.

Mina Maca była raczej zboląta, a nie rozbawiona. - Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczy się prawnik, jest nigdy nie zakładać, że ta druga strona jest głupia.

Wstał. Całe ciało wydawało mu się ciężkie, sztywne i spięte. W domu Kate zawsze tak się czuł, miał wrażenie, że nie może swobodnie ruszyć się w żadną stronę, bo jest pod nieustannym, krytycznym nadzorem. Mógł sobie wyobrazić Sheridana, próbującego, przynajmniej z początku, dostosować się i sprawić jej przyjemność, popełniającego pierwsze błędy, a potem kolejne, aż w końcu nie pozostało mu już nic poza błędami.

Wiedział, że jest wobec niej niesprawiedliwy. Aby wynagrodzić jej te myśli, przeszedł przez pokój, pochylił się i pocałował ją lekko w czubek głowy. Jej włosy wydały mu się gorące, pachniały delikatnie mydłem.

Spojrzała na niego, w górę, a w jej oczach nie było zaskoczenia ani dezaprobaty, jedynie głęboki żal, jakby chciała mu przekazać, że okazał jej czułość zbyt dyskretnie i zbyt późno, a ona zapomniała już, jak ma na nią odpowiedzieć. - Czy taką usługę świadczysz wszystkim swoim klientkom?

- Nie - uśmiechnął się. - Tylko tym, które naprawdę lubię i pamiętam jako piegowate smarkule.

- Nigdy nie miałam piegów.

- Miałaś, miałaś. Każdego lata byłaś nimi wręcz obsypana. Teraz też pewnie byś je miała, gdybyś spędzała więcej czasu na słońcu. Słuchaj, Kate, mam pomysł. Może ty i Mary Martha któregoś dnia wybrałybyście się ze mną na żagle?

- Nie. Nie, dziękuję.

- Czemu nie?

- Nie byłabym zbyt dobrą towarzyszką. Zapomniałam już, jak się bawić.

- Mogłabyś sobie przypomnieć, gdybyś tylko chciała. Może nie chcesz.

Żal skryształizował się i przemienił w gorycz, lśniącą teraz w jej oczach jak ostre kawałki błękitnego lodu. - Och, przestań. Oferujesz mi dzień na łódce, tak jak staremu psu oferuje się kość. A ja nie jestem głodna. Poza tym nie mogę cały dzień być poza domem.

- A właśnie powinnaś.

- Sheridan mógłby się tu wdrzeć i ukraść coś. Już raz mu się to udało.

- Raz.

- Może spróbować zno...

- Był pijany - zauważył Mac - i zabrał tylko skrzynkę wina, która i tak należała do niego.

- Ale włamał się do domu.

- Nie chciałaś go wpuścić. Zgadza się?

- To chyba oczywiste, że nie chciałam go wpuścić. Zachowywał się chamsko i ordynarnie, zagroził mi, on... - Przerwała i wzięła długi, głęboki oddech. - Zawsze go usprawiedliwiasz. Dlaczego? Miałaś być po mojej stronie.

- Jestem mężczyzną. Nic na to nie poradzę, że od czasu do czasu mam męski punkt widzenia.

- W takim razie - oznajmiła, wstając - może powinnam wynająć prawniczkę.

- Niezły pomysł.

- Chciałbyś się mnie pozbyć, prawda?

- Ujmijmy to tak: chciałbym, abyśmy oboje pozbyli się twoich problemów. To, że robię wszystko, co mi każesz, i zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, nie jest zbyt dobrym rozwiązaniem. To wręcz przeszkadza w rozwiązaniu. Twoich problemów nie da się po prostu zamknąć w pudełku z napisem „Sheridan”. Miałaś je jeszcze przed Sheridanem i masz je teraz, po Sheridanie. Udając, że tak nie jest, wyrządziłbym ci krzywdę.

- Gdy za niego wychodziłam, byłam szczęśliwą, zdrową młodą kobietą.

- W ten sposób się pamiętasz?

- Tak.

- A ja pamiętam cię inaczej - oznajmił ze spokojem. - Byłaś kapryśna, samolubna i niedojrzała. Wyleciałaś z college'u, nie mogłaś utrzymać żadnej pracy, miałaś napięte relacje z matką. Chciałaś wykorzystać małżeństwo, żeby uciec od tych kłopotów. Na barkach Sheridana złożyłaś ciężar tak wielki, że nie mógł go unieść. Dostrzegasz prawdę w tym, co mówię? Czy po prostu myślisz sobie, jaki to ja jestem niesprawiedliwy?

Stali twarzą w twarz, ale nie patrzyła na niego. Wpatrywała się w ścianę za lewym ramieniem Maca, jakby



starając się zakwestionować jego obecność. - Ja już od nikogo nie oczekuję sprawiedliwości.

- Ja ci ją oferuję, Kate.

- To nazywasz sprawiedliwością - ten odrażający portret mnie jako dziesiętnastolatki?

- Nie jest odrażający, ani nawet wybitnie niespotykany. Bardzo wiele dziewczyn w takiej sytuacji wychodzi za mąż z tego samego powodu.

- A co z powodami Sheridana? - rzuciła piskliwie. - One pewnie były w porządku, on był dojrzały, on świetnie dogadywał się ze swoją matką, on odnosił same sukcesy...

Chwycił ją za ramiona, lekko, ale zdecydowanie. - Nie podnoś głosu.

- Niby dlaczego? Nikt mnie nie usłyszy. Nikt nie jest w stanie. Oakleyowie byli bardzo hermetyczni, cenili prywatność. Musieli zbudować największy dom na największej działce w mieście, żeby mieć spokój od sąsiadów. Mogłabym zedrzeć sobie gardło, wołając o pomoc, i nikt by mnie nie usłyszał. Mam tu tyle prywatności, że można mnie spokojnie zamordować. Sheridan o tym wie. Pewnie ze sto razy o tym śnił: Czy nie byłoby miło, gdyby znalazł się ktoś, kto mógłby zamordować Kate? Może nawet poczynił odpowiednie plany, albo właśnie to robi, choć moim zdaniem sam nie miałby tyle odwagi. Pewnie by kogoś wynajął, tak jak wynajął tego Gowena.

Jej huśtawka nastrojów i pomysłów zaczynała go męczyć. Śledzenie ich przypominało śledzenie szybkiego szczura w krętym labiryncie: Sheridan pożyczył samochód od Gowena, który był jednym z jego pijackich kumpli - Sheridan siedział za kółkiem - Sheridan nie siedział za kółkiem - Gowen nie był jego znajomym, został wynajęty - Gowen sam prowadził samochód. W tym momencie Mac gotów był już uznać całą tę historię za zmyśloną, gdyby tylko nie podała mu prawdziwego

numeru prawdziwego samochodu. Samochód faktycznie istniał, więc i Gowen musiał istnieć. Były to jedyne fakty, na których Mac mógł się oprzeć.

- Teraz sugerujesz - powiedział - że Sheridan wynajął Gowena, żeby cię nastraszyć.

- Tak. To pewnie jakiś pijaczyna bez grosza przy duszy, którego Sheridan poznał w barze.

Nie powiedział, że pijaczyna bez grosza przy duszy nie zapłaciłby gotówką za nowy model samochodu. - To można łatwo sprawdzić.

- Zrobiłbyś to? Mógłbyś?

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Jesteś naprawdę kochany.

Zdawało się, że puściła już w niepamięć całą złość, jaką jeszcze niedawno do niego żywiła. Teraz była podekscytowana i zarumieniona, jakby właśnie wróciła z godzinnej partii tenisa na słońcu i świeżym powietrzu. Wiedział jednak, że grą, która tak ją podnieciła, nie był wcale tenis, i to nie słońce zaróżowiło jej policzki. Tym, co Kate rozgrzewało, rozweselało i sprawiało, że krew szybciej krążyła jej w żyłach, była myśl o pokonaniu Sheridana.

Charlie przez pół nocy rozmyślał o następnym dniu. Planował, jak spędzi godzinną przerwę obiadową o dwunastej i dokąd pójdzie po pracy. Ale przed południem zadzwoniła Louise z propozycją wspólnego lunchu, a o piątej jego szef, pan Warner, kazał mu pojechać ze specjalnym transportem dla Służby Leśnej, dziesięć mil w góry. Bez dobrego powodu nie mógł się wykręcić z żadnego z tych zadań. Jedyne powód, jaki miał, Louise uznałaby za podejrzany, a pan Warner za dziwaczny, ale Charliemu wydawał się zupełnie sensowny - musi odnaleźć małą dziewczynkę imieniem Jessie i ostrzec ją, żeby już więcej się z nim nie droczyła, bo to bardzo nieładnie.

Do miasta wrócił dopiero o szóstej. Podjechał pod szkołę tak szybko, jak tylko mógł bez zwracania na siebie uwagi policji. Na sam widok policyjnego samochodu gotów był uciekać do domu, do Bena, ale żadnego nie zauważył.

Na zazwyczaj pustym parkingu na tyłach szkoły stało z sześć samochodów. Charlie w pierwszej chwili pomyślał, że doszło do jakiegoś wypadku, Jessie znowu spadła i zrobiła sobie krzywdę, i długo zostanie w szpitalu, w którym będzie już bezpieczna; wśród tych wszystkich lekarzy i pielęgniarek nie dosięgnie jej nikt obcy, każdy obcy zostanie wylegitymowany i odesłany z kwitkiem. Czuł na przemian ulgę i rozpacz, które targały nim jak zimne i gorące wiatry z miejsc, w których nigdy nie był.

Gdy objechał szkołę dookoła, okazało się, że do żadnego wypadku nie doszło. Grupka starszych chłopców grała w baseball, a kilku widzów, w tym kobieta i mężczyzna wyglądający na rodziców, obserwowało grę. Młodszych dzieci nie było widać.

Charlie zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik. Nie miał po co tu sterczeć, skoro Jessie nie było, ale nie miał też po co wracać do domu. Zadzwonił do Bena z pracy, aby

poinformować go, że ma od szefa zlecenie specjalne i wróci do domu dopiero po siódmej, może nawet później. Ben z początku wydawał się podejrzliwy, ale chyba słowa „transport specjalny” i „Służba Leśna” sprawiły, że nie tylko uwierzył Charliemu, ale też nabrał przekonania, iż pan Warner ufa mu na tyle, że powierza mu ważne zadania.

Charlie przez chwilę przyglądał się grze, bez zainteresowania czy uwagi. Kij wziął gracz, którego wcześniej nie zauważył. Miał koło szesnastu lat, był wysoki i chudy jak tyczka. Nawet z takiej odległości we wszystkich jego ruchach widać było zadziorność i pewność siebie. Ostukał kijem korki, żeby wytrzepać z nich pył. Pierwszy rzut sędziego uznał za nieprawidłowy, przy drugim chłopak wziął zbyt mocny zamach, ale za trzecim rzutem odbił piłkę aż za parkan, uzyskując home run. Skłoniwszy się lekko swoim kolegom z drużyny, nonszalanckim truchtem zaczął przemierzać odległość z bazy do bazy. Gdy dotarł do drugiej bazy, Charlie rozpoznał w nim chłopca, którego kilkakrotnie już widywał w towarzystwie Jessie. Nie było co do tego żadnych wątpliwości: nawet wyglądał jak Jessie, miał ciemne włosy, ostre rysy i żywe, przenikliwe spojrzenie.

Charlie siedział bez ruchu, prawie nie oddychał. To brat Jessie. Słowa te wciąż rozbrzmiewały mu w głowie jak piosenka z zaciętej płyty: brat Jessie, brat Jessie, brat Jessie. Brat Jessie mieszkał w tym samym domu co Jessie, wystarczy więc go śledzić; ostrożnie, żeby nie nabrał podejrzeń, ale cały czas mieć go na oku, aż zatrzyma się i wejdzie do domu. Czuł, jak coś ściska mu gardło, musiał aż dotknąć szyi palcami, żeby sprawdzić, czy to prawda. Dom, do którego on wejdzie, to dom Jessie. Jak będę miał trochę szczęścia, może nawet znajdę tam skrzynkę na listy z nazwiskiem i nie będę musiał prosić Louise o pomoc. Będę zdany sam na siebie, zrobię to zupełnie sam...

Odbicie i home run przeważało o zwycięstwie drużyny brata Jessie. Rozległy się oklaski i wiwaty, w których mężczyzna i kobieta nie brali udziału. Weszli na boisko i zwrócili się do miotacza, ale ten odwrócił się do nich plecami. Gracze i widzowie zaczęli się rozchodzić, wszyscy ruszyli w stronę parkingu albo furtki bocznej. W ciągu pięciu minut boisko opuścili zarówno zwycięzcy, jak i przegrani, a po piasku zaczęło przechadzać się stado kosów. Kiwały główkami, jakby już od początku wiedziały, jak to się skończy - ktoś wygra, ktoś przegra. Charliemu udało się i to, i to.

Chłopcy wychodzili parami i trójkami, wciąż w strojach baseballowych, niosąc korki, kije i rękawice. Niektórzy minęli samochód Charliego, wciąż dyskutując o meczu, ale brat Jessie i jego dwaj koledzy wyszli furtką z drugiej strony.

Charlie okrążył szkołę, wyprzedził ich i zaparkował pod jakimś białym budynkiem. Gdy przechodzili obok, Charlie schylił się, udając, że szuka czegoś w schowku, żeby nie zobaczyli jego twarzy. Ich głosy zabrzmiały tak głośno i wyraźnie, że przez pełną strachu chwilę myślał, że mówią coś bezpośrednio do niego. Wiedzieli o nim wszystko, starali się go podpuścić...

- ...o czwartej nad ranem, kurczę, ale się wścieknie - mówił brat Jessie. - Ona zawsze ma do mnie pretensje, że jak idę na ryby, wszystkich wyrywam ze snu.

- Moglibyśmy nocować u mnie. Starzy śpią tak twardo, jakby byli w śpiączce.

- Super pomysł. Tylko się zamelduję w chacie, a potem zaraz mogę się wymeldować.

- Może nawet powinniśmy wyjść jeszcze wcześniej. Złapiemy rybkę, zanim zdąży dobrze się obudzić...

Odeszli zbyt daleko, aby Charlie mógł podsłuchiwać dalej. Podniósł ostrożnie głowę. Zasłyszany urywek rozmowy zmartwił go. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że Jessie

powiedziała o nim bratu i jego obu kolegom, i teraz w trójkę z niego drwili: to on miał być rybą, którą chcieli złowić, jeszcze zanim zdąży otworzyć oczy. Z jakiegoś tajemnego źródła dowiedzieli się, że zawsze budzi się przed czwartą rano. A może piątą? Albo szóstą?

Wspomnienia zwykłych zdarzeń z życia Charliego tłoczyły się w jednej części jego umysłu i tratowały się nawzajem jak wystraszone konie, zapędzone w jeden róg zagrody. Niektóre zginęły, inne zostały okaleczone nie do poznania, jeszcze inne wyszły z tego zupełnie zmienione, jako hybrydy, których pochodzenia nie dało się już ustalić. Czwarta, piąta i szósta rano zostały ściśnięte razem, nie wiedział już, która godzina jest teraz i o której zwykle wstawał. Zachodzące słońce równie dobrze mogło być wschodzącym księżycem albo odbiciem ognia, albo oświetlonym statkiem kosmicznym, który właśnie szykował się do lądowania. Jessie i jej brat złączyli się w jedną postać, półdorosłą chłopco - dziewczynkę. Louise i Ben wciąż mieli twarze, ale nie chcieli mu ich już pokazać, chowali je przed nim, bo zrobił coś, co im się nie spodobało. Nie pamiętał, co takiego zrobił, ale musiało to być straszne; w ich wyprostowanych plecach widać było dezaprobatę, a Louise zapuściła warkocz i upięła go dookoła głowy, tak jak robiła to matka. Nie cierpiał tej fryzury. Chciał wziąć nożyczki i wszystko ściąć. Ale nożyczek nie było tam gdzie zawsze, w szufladzie kuchennej, a szuflada nie miała uchwytu. Wysunęła się jak schowek w samochodzie, gdy wcisnął mały srebrny guzik.

Schowek. Samochód. Z bólem zamrugał oczami, jakby wynurzał się z długiego, straszego snu. Słońce zachodziło. Zegarek wskazywał za kwadrans siódmą. Ulicą szło trzech chłopców. Ruszył za nimi.

Ralph MacPherson pracował w biurze prawie do siódmej. Czuł się zbyt zmęczony, by dyskutować z Kate, ale wyobraził sobie, jak czeka na jego telefon, jak zaczyna histeryzować, i nie był już w stanie dłużej tego odkładać.

Odezwała się jeszcze przed drugim sygnałem, tym ostrożnym, lekko zmienionym głosem, którego używała zawsze, zanim powiedział jej, kto dzwoni.

- Halo?

- Kate, mówi Mac.

- Dowiedziałeś się czegoś o Gowenie?

- Tak.

- No i? Miałam rację? To jakiś menel, którego Sheridan poznał w barze i wynajął do brudnej roboty...?

- Niezupełnie - powiedział Mac, tak cierpliwie, jak tylko mógł. - Dziś po południu pojechałem na Miria Street i wszedłem do apteki na rogu, tuż obok domu Gowena. Udawałem, że zapodziałem gdzieś ich adres. Nie było to może zbyt subtelne, ale za to skuteczne. Sprzedawca znał rodzinę Gowenów, kupowali u niego od lat. Ruchu nie było, więc od razu rozwiązał mu się język.

Prychnęła ze zniecierpliwieniem. - No dobrze, ale co mówił?

- Charles Gowen mieszka z bratem, Benem. Ben prowadzi kafeterię w centrum, a Charles pracuje w hurtowni papierniczej. Obaj są pracowici i porządni. Nie palą, nie piją, rachunki płacą w terminie, zajmują się własnymi sprawami. Ludzie mówią, że Charles żeni się z miejscową bibliotekarką, bardzo miłą kobietą, która też jest pracowita i porządna, etcetera, etcetera. W skrócie - Gowen nie pasuje.

- Ale przecież powinien - powiedziała z niedowierzaniem.

- Uciekał przede mną. Zachowywał się, jakby miał coś na sumieniu.

- Może po prostu go przeraziłaś. Może nie jest przyzwyczajony do obcych kobiet goniących go po mieście. Niewielu z nas jest do tego przyzwyczajonych. Obiecuj mi coś, dobrze?

- Co takiego?

- Że przynajmniej dzisiaj nie będziesz już myśleć o intrygach Sheridana i odpoczniesz.

Nie kłóciła się, ale też niczego mu nie obiecała. Oświadczyła po prostu, że przeprasza, iż zawracała mu głowę, i odwiesiła słuchawkę.

Pół przecznicy dalej, Charlie patrzył, jak trzech chłopaków skręca na podjazd domu na Celito Lane. Od sąsiednich domów odróżniał się tylko innymi roślinami wokół oraz smużką dymu, unoszącą się z pale - niska do barbecue w ogrodzie, ale dla Charliego dom ten był wyjątkowy.

Wolno przejechał obok. Napis na skrzynce na listy głosił: David E. Brant.



Był to ostatni wieczór Howarda Arlingtona w mieście - znowu wyjeżdżał na najbliższe dwa tygodnie. On i Virginia zostali zaproszeni na pożegnalne barbecue w ogrodzie Brantów. Oboje nie mieli na nie ochoty, ale w żaden sposób nie okazali tego sobie nawzajem. Od czasu nieprzyjemnej sceny poprzedniego wieczora byli ujmująco grzeczni dla siebie, Dave'a, Ellen i Jessie, nawet dla ogrodnika i sprzątaczk. Zupełnie jakby chcieli przekonać wszystkich, łącznie z sobą, że kto jak kto, ale oni nie wszczynali domowych awantur. Nigdy.

Za sprawą tych nowoodkrytych pokładów grzeczności zmienił się nie tylko ich sposób zachowania i wysławiania się, ale i ubiór. Oboje wiedzieli, że Ellen i Dave będą w dżinsach i trampkach, ale Howard założył ciemny garnitur, białą koszulę i krawat, a Virginia jedwabną suknię w różowe kwiaty, szal i dopasowane kolorystycznie sandały na obcasach. Wyglądali tak, jakby wybierali się do restauracji i na koncert, a nie do ogródka sąsiadów na przypalone hamburgery konsumowane przy ogłuszającej muzyce z zestawu hi - fi.

Zarówno wieża, jak i grill zostały już uruchomione. Przez okno w kuchni Arlingtonów wpadał dym i dźwięki skrzypiec. W takich przypadkach Howard zatrząskiwiał okno i rzucał jakąś kąśliwą uwagę na temat osiedli domków jednorodzinnych. Dzisiaj jedynie zauważył: - Dave daje nam sygnały. Na którą mamy się tam pojawić?

Virginia nie była pewna, czy Ellen naprawdę życzyła sobie ich widzieć, ale zaproszenie zostało wystosowane i przyjęte, i nie było już odwrotu. - Na siódmą.

- Właśnie zbliża się siódma. Jesteś gotowa?
- Tak.
- Może lepiej zostawić Chapa w domu.

- Tak, tak chyba będzie lepiej. - W jej głosie nie było słycać rozbawienia ani pogardy, którą czuła do Howarda. Ich olbrzymi retriever spał już na sofie snem sprawiedliwego, i zanim Howard zdołałby go obudzić, wywabić z ciepłego legowiska, przekupić i wypchnąć bądź wyciągnąć na dwór, upłynęłoby wiele czasu. Nie wynikało to ze złośliwości Chapa, tylko z jego bierności, niewzruszoności. Czasami zastanawiała się, czy to od niej nauczył się sztuki biernego oporu, czy też może ona nauczyła się jej od psa. W każdym razie wiedział, podobnie jak Virginia, że ta technika zawsze skutkuje. Brak reakcji sprawiał, że poprzedzająca ją akcja stawała się nadaremna, że Howard nie miał na czym się oprzeć.

Wyszli tylnymi drzwiami, zostawiając światło w pokoju dziennym dla Chapa, a w kuchni dla siebie. Na ostatnim stopniu Howard zatrzymał się.

- Zapomniałem chusteczki. Idź beze mnie, zaraz przyjdę.

- Wolę zaczekać, dziękuję. Zostaliśmy zaproszeni jako para, przyjdźmy jako para.

- Para czego? - rzucił i wszedł do domu.

Virginia zarumieniła się z gniewu, napływ krwi do twarzy sprawił, że jej poparzenia słoneczne, teraz już w fazie złuszczenia, zaczęły dotkliwie swędzić. Nie winiła już za nie słońca, winiła Howarda. Były to poparzenia pohowardowe, i piekły ją tak na zewnątrz, jak i w środku. Tu jednak tkwiła różnica: tych w środku nie można było podrapać, więc ulga nie przychodziła.

Gdy Howard wrócił, trzymał chusteczkę przy ustach, jakby chciał udowodnić, że naprawdę była mu potrzebna. Głos miał stłumiony: - Virginio, posłuchaj.

- Co takiego?

- Ta mała nie powiedziała chyba rodzicom o tych dwudziestu dolarach, które jej dałem, jak myślisz?

- Rozmawiałam dzisiaj z Ellen, nic o nich nie wspomniała. A przy okazji, Jessie ma imię. Wolałabym, żebyś nie mówił o niej „mała”.

- W naszym życiu jest tylko jedna mała. Imię nie jest zatem konieczne.

- Myślałam, że zgodziliśmy się na obopólną uprzejmość do końca twojego pobytu w domu. Dlaczego znowu zaczynasz? Spędziliśmy taki miły dzień, nie niszczonego tego.

- A więc myślisz, że to był miły dzień, tak?

- Tak, na ile to możliwe.

- Na ile to możliwe ze mną w pobliżu, o to ci chodzi? Innymi słowy, po moim towarzystwie nie spodziewasz się zbyt wiele.

- Może nie mogę sobie na to pozwolić...

- Cóż, jutro znowu wyruszam w drogę. Możecie z małą urządzić bal.

- Przestańmy już, zanim zabrniemy za daleko. I tak nie mówimy nic nowego. Wszystko zostało już powiedziane.

- I dokonane - dodał Howard. - Koniec. Amen. - Uśmiechnął się do niej, trochę smutno, trochę drwiąco. - Ale co mówi się, gdy nastąpił już koniec? Dokąd zmierzać w takim razie?

- Do Brantów na barbecue.

- A potem?

- Nie potrafię wybiec myślą dalej niż to. Nie jestem w stanie myśleć.

Oparła się o ścianę budynku, otuliła szalem i zapatrzyła w horyzont. W miejscu, gdzie zazwyczaj spotykało się morze i niebo, kłębiła się nieprzenikniona, szara mgła. Virginia bała się chwili, gdy mgła ta zacznie się poruszać, bo nic nie było w stanie jej powstrzymać. Najpierw zniknie morze, potem plaże, wzgórza, góry. Ulice zostaną oddzielone od innych ulic, domy od domów, ludzie od ludzi. Wszyscy zostaną sami oprócz

kobiet, noszących w sobie nienarodzone dzieci. Widywała je prawie każdego dnia w sklepach, na rogach, w samochodach. Zazdrościła im i nie mogła znieść tego miękkiego blasku ich oczu, pełnych przekonania, że żadna, nawet najgęstsza mgła nie sprawi, że kiedykolwiek poczują się samotne.

Howard obserwował ją. - Przyniosę ci sweter.

- Nie, dziękuję.
- Wyglądasz na zmarzniętą.
- To tylko nerwy.

Przeszli przez trawnik, betonowy podjazd i grządkę eksperymentalnie obsadzoną przez Ellen dichondrą, z wetkniętą w środek tabliczką „Nie wchodzić”. Od samego początku ani dichondra, ani tabliczka nie miały zbyt dużych szans na przetrwanie. Tabliczka, potrącona, kopnięta czy przekrzywiona wiatrem, stała pod kątem 45°, a między sadzonkami widać było ślady kół rowerowych i dziecięcych trampek. Rozmiar buta odpowiadał mniej więcej rozmiarowi stopy Jessie i Virginia nagle zapragnęła schylić się i zasypać ślady ziemią, żeby Jessie, pozostała poza wszelkim podejrzeniem. Wiedziała jednak, że przy Howardzie nie może sobie na to pozwolić, bo jego zazdrość przybrałaby jeszcze większe rozmiary. Zamiast tego zeszła więc z kamiennej ścieżki na grządkę, stawiając stopy dokładnie na śladach Jessie.

Howard otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. Z ogrodowej furtki wyłonił się właśnie Mike, niosąc sprzęt wędkarski, kurtkę i trzy wciąż dymiące hamburgery prosto z grilla.

Uśmiechnął się do Howarda i Virginii, ale w uśmiechu tym kryło się zniecierpliwienie, jakby podejrzewał, że zamierzają go zatrzymać i bawić rozmową, kiedy on miał ciekawsze sprawy na głowie.

- Dobry wieczór, Michael - powiedział oficjalnie Howard.

- O, witam państwa. Przepraszam, ale chłopaki na mnie czekają. O drugiej w nocy idziemy na ryby.

- To dla ryb dość wcześnie, co?

- Może. Nie jestem pewny, czy ryby śpią, czy nie.

- Ja też nie. W każdym razie powodzenia.

- Dziękuję, panie Arlington. Do zobaczenia.

Virginia nie odezwała się. Cały czas stała na grządce dichondry z roztargnioną i lekko zdziwioną miną, jakby zastanawiała się, jak się tu dostała," i czy ryby śpią, czy nie. Jej wysokie obcasy coraz bardziej zagłębiały się w ziemię, niczym korzenie, szukające pokarmu i wilgoci. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest drzewem, rozrastającym się w głąb i wznwyż, wypuszczającym nowe liście i kwiaty, zrzucającym na ziemię nasiona.

Wtedy Howard chwycił ją za rękę i była to ręka, a nie gałąź - ręka, którą czeka tylko starczy uwiad.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz, Virginio?

- Naprawdę chciałbyś wiedzieć?

- Tak.

Wydała z siebie krótki, ostry chichot. - Udaję, że jestem drzewem.

- Dzisiejszego wieczora zachowujesz się bardzo osobliwie.

- Jestem bardzo osobliwą kobietą. Tym twoim byстрыm oczom nie mogło to chyba umknąć. Nie jestem jak inne kobiety, jestem dziwadłem. Jestem niekompletna.

- Daj rękę, to pomogę ci stamtąd wyjść.

- Nie chcę stąd wychodzić. Lubię być drzewem.

- Przestań się wygłupiać. Mam ci pomóc?

- Nie.

- Jak chcesz. - Bez dalszych ceregieli podniósł ją z grządki. W tym celu musiał użyć całej swojej siły, bo Virginia

zawisała na nim zupełnie bezwładnie, rozluźniając ręce, nogi, plecy, szyję. - No dobrze, wyrwałem drzewo z korzeniami.

- Niech cię diabli. Niech cię diabli.

- Teraz lepiej. Może wejdziemy do środka i zaczniesz udawać, że jesteś człowiekiem. - Otworzył jej furtkę. - Idziesz?

- Nie mam wyboru.

- Gdybyś była drzewem, miałabyś jeszcze mniejszy wybór. Weszli na patio i Howard zatrzaskał furtkę, używając do tego znacznie więcej siły, niż było to konieczne. Huk wydał się Virginii ostrzeżeniem, jak wystrzał skierowany w niebo.

- Wejdźcie, wejdźcie - zawołał Dave. - Witamy w Knajpie u Brantów.

Stał przy grillu, ubrany w bermudy, T - shirt i fartuch, popijając piwo z puszkii. Ellen siedziała bosko przy stole piknikowym z sekwoi i kroila cebule. Żadne z nich nie wyglądało, jakby spodziewało się gości, czy wręcz życzyło ich sobie.

Choć Virginia od początku wiedziała, że tak będzie, poczuła ukłucie żalu, spotęgowane jeszcze wciąż powracającym wspomnieniem z dzieciństwa, że to ona nigdy nie była na miejscu - nieważne, jak bardzo się starała, zawsze tak było. Godzinę układała włosy, a Dave nawet na nią nie spojrzał. Otworzył Howardowi puszkę z piwem i obaj natychmiast pograżyli się w rozmowie, zajmując pozycje po obu stronach grilla.

Usiadła obok Ellen. - Mogę ci w czymś pomóc?

- Wszystko już gotowe, dzięki. I tak nie pozwoliłabym ci niczego dotykać w tej sukience. Czułabym się strasznie, gdybyś coś na nią wylała. Jest po prostu przepiękna.

Virginia musiała potraktować to jak komplement, ale wiedziała, że Ellen nie to miała na myśli. Powiedziała to zbyt

rzeczowym głosem, jakby sukienka obiektywnie nie miała nic wspólnego z Virginia; piękna sukienka to piękna sukienka, nieważne na kim.

- Nie jest nowa - odparła Virginia. - Mam ją już od dawna, leżała na dnie szafy. - Leżała na dnie szafy już od tygodnia, czekając na okazję. Okazja nadarzyła się teraz - hamburgery, pieczona cebula i fasola w ogródku sąsiadów. Mech cię diabli, Howard - pomyślała nagle i irracjonalnie. Me trzeba mnie tu było przyprowadzać.

- Myślałam, że to może ta, którą kupiłaś w zeszłym tygodniu u Corwina - rzuciła Ellen. - Opowiadałaś mi o niej.

- Nie, nie, odniosłam ją. Tę tutaj mam od dawna, miałam ją jeszcze, zanim się tu przeprowadziliście. Wydaje się to tak dawno temu, prawda? Czuję się tak blisko związana z tobą i Davem, i Mikiem, i oczywiście z Jessie. - Obrzuciła Howarda szybkim spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy nie usłyszał tego ostatniego imienia. Cały czas pochłonięty był rozmową z Davem. - A gdzie Jessie?

- W pokoju dziennym, ogląda telewizję.

- Pójdę się przywitać. Mam coś dla niej.

- Virginio, nie powinnaś...

- To naprawdę nic dużego, tylko taka jarmarczna ozdóbka. Zobaczyłam ją dzisiaj na wystawie i pomyślałam, że się jej spodoba.

- Jest za mała, żeby nosić biżuterię.

- To tylko małe pierścienie ze sztuczną perłą. Miałam taki w wieku sześciu lat. Pamiętam to tak wyraźnie. Dłonie urosły mi za szybko i trzeba go było rozciąć, żebym mogła go w ogóle zdjąć.

- Tego nie trzeba będzie rozcinać - zauważyła sucho Ellen. - Jessie zgubi go najdalej za tydzień.

- Więc mogę go jej dać?

- Chyba tak.

Virginia wstała i z niespotykaną zwawością ruszyła przez taras, jakby bała się, że ktoś ją zatrzyma.

Jessie leżała skulona na kanapie, brodę oparła na kolanach, rękoma objęła łydki. Gdy ujrzała Virginię w drzwiach, otworzyła szerzej oczy, ale to była jedyna oznaka, że ją poznaje.

- Cześć, Jessie. - Virginia podeszła do telewizora. - Mogę na chwilę wyłączyć?

- No... chyba tak.

- Nie widziałam cię od dwóch dni.

- Byłam zajęta - odpowiedziała, wpatrując się w podłogę, jakby rozmawiała z nią, a nie z Virginią. - Byłam dziś z mamą popływać. Żeby zobaczyć, czy słona woda nie będzie mnie szczypać w ręce.

- I co?

- Trochę szczypała, ale nie za bardzo.

Virginia usiadła obok niej na kanapie. - A wiesz, co ja dzisiaj robiłam? Poszłam do miasta na zakupy.

- Kupiłaś coś?

- Tak.

- I był z tobą Howard, żeby za to zapłacić?

Virginia wciągnęła głęboka powietrze, jakby to pytanie pozbawiło ją tchu. - Nie. Nie było go. Zapłaciłam za to sama.

- Ale wtedy powiedział...

- Wtedy powiedział wiele rzeczy, ale wcale tak nie myślał. Był zmęczony i nie w sosie. Wszyscy czasem tak mamy, prawda?

- Tak, czasami.

- Gdy dwoje ludzi się pobiera, dzielą pieniądze między siebie, czy to pensję męża, czy żony, czy obojga. Jeśli widzę coś, co mnie się podoba i na co mnie stać, kupuję to. Pozwolenie Howarda nie jest mi potrzebne. - Ale pomaga, pomyślała gorzko. Lubi bawić się w tatusia, który rozpieszcza



swoją głupiutką, kapryśną dziewczynkę, o ile dziewczynka okazuje należyłą wdzięczność.

Jessie rozmyślała nad tym, co usłyszała, zaciskając wargi i mrużąc zielone oczy. - Howard daje ci pewnie dużo pieniędzy?

- Tak.

- Mój tata każdego miesiąca płaci bankowi za ten dom. Za dziewiętnaście lat będzie należał do nas. A kiedy ty będziesz należeć do Howarda?

- Nigdy - powiedziała ostro. Widząc zaskoczenie Jessie, dodała łagodniej: - Posłuchaj, kochanie, ja nie jestem domem. Howard nie musi mnie spłacać.

- Więc czemu płaci ci pieniądze?

- Niezupełnie mi płaci. Dzielimy się nimi. Gdyby Howard nie miał żony, która zajmowałaby się domem, wynajęłby do tego kogoś.

- A gdy wynajmuje ciebie, to znaczy, że jest twoim szefem.

- Me. To znaczy... dlaczego my w ogóle na ten temat rozmawiamy? Ty jesteś zbyt młoda, żeby to zrozumieć.

- Ale zrozumieć, jak dorosnę?

- Tak - odparła Virginia, myśląc: Mam nadzieję, że nigdy nie dorośniesz na tyle, żeby zrozumieć tyle co ja. Mam nadzieję, że umrzesz, zanim odbiorą ci niewinność.

Jessie marszczyła brwi i obgryzała lewy kciuk. - Jak dorosnę, będę musiała nauczyć się całej masy różnych rzeczy. Wolalabym zacząć już teraz.

- Nie. Nie myśl tak. Zostań taka, jaka jesteś, Jessie. Po prostu bądź taka, jaka jesteś dzisiaj.

- Nie mogę - oznajmiła rzeczowo. - Wtedy Mary Martha by mnie wyprzedziła. Już jest wyższa i lepsza z ortografii. Ona w ogóle dużo wie o różnych sprawach.

- Lepiej żebyś nie wiedziała o niektórych z tych jej spraw. Nie zniosłabym tego.

- Dlaczego? To przecież nic złego, nie robią jej krzywdy.

- Robią. Widzę, jak bardzo cierpi.

Jessie pokręciła głową. - Nieprawda. Gdyby coś ją bolało, toby płakała. Ona czasem lubi się pieścić, nie znosi widoku krwi i ciekących ran.

- Ty widziałaś kiedyś, żebym ja płakała, Jessie?

- Nie.

- A jednak bardzo cierpię. Potwornie.

- Przez to oparzenie?

Virginia zawahała się przez chwilę, po czym wydała z siebie krótki, ostry chichot, który ostatnio przychodził jej tak łatwo. Przypominał ostrzegawczy odgłos wydawany przez cierpiące zwierzę, które nie potrafi porozumiewać się za pomocą słów. - Tak, oczywiście. To te oparzenia. Chyba lubię się pieścić zupełnie tak jak Mary Martha.

- Ale ona nie pieści się ze wszystkim. Czasami jest w porządku.

- Może ja też. Nie wiem. Nie dane mi było doświadczyć wszystkiego. Niezupełnie.

Jessie chciała zapytać, co było, a czego nie było jej dane doświadczyć, ale Virginia odwróciła głowę i zmieniła temat, mało subtelnie i nie do końca - otwierając torebkę. Był to różowy, jedwabny woreczek, pasujący do sukienki. W woreczku znajdowało się małe pudełko opakowane w biały papier i przewiązane złotym sznureczkiem.

Jak tylko Jessie ujrzała pudełko, odwróciła z premedytacją głowę. - Ty masz brudne buty.

- Bo zesłam ze ścieżki. Jessie, mam dla ciebie mały pre...

- Nie powinno się schodzić ze ścieżki.

Virginia zbladła, nawet w miejscach poparzonych, na kościach policzkowych i na grzbiecie nosa, jakby bladość nie

była spowodowana odpływem krwi, tylko nagłą zmianą zabarwienia skóry, jak u kameleona, i mogła ukryć jej prawdziwe barwy. - Jessie, kochanie, nie słuchasz, co do ciebie mówię. Mówiłam, że mam dla ciebie mały prezent. To coś, co ci się na pewno spodoba.

- Nie. Me spodoba mi się.

- Nawet nie wiesz jeszcze, co to jest.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie chcesz?

- Nie.

- Nie chcesz... nawet nie chcesz otworzyć?

- Nie.

- Szkoda - powiedziała wolno. - Jest bardzo ładny. Sama taki miałam, jak byłam dziewczynką, i byłam z niego taka dumna. Dzięki niemu czułam się dorosła.

- Ja już nie chcę czuć się dorosła.

- O, i masz rację, naturalnie. Jesteś bardzo rozsądna. Gdybym mogła wybierać, też wolałabym nie dorastać. Przeżyć szczęśliwe lata i umrzeć młodo...

- To ja teraz będę oglądać telewizję. - Dolna warga Jessie drżała. Musiała ją przygryźć, żeby Virginia nie zorientowała się, jak bardzo się boi. Nie wiedziała, co spowodowało ten gwałtowny, obezwładniający strach, ale zdawała sobie sprawę, że musi z nim walczyć na wszystkie możliwe sposoby. - Bo moja... moja mama cię nie lubi.

Virginia nie wyglądała na zaskoczoną, patrzyła na Jessie miękko i smutno. - Przykro mi to słyszeć, bo ja ją lubię.

- Nie powinnaś lubić kogoś, kto ciebie nie lubi.

- Naprawdę? Wychodzi na to, że robię wiele rzeczy, których nie powinnam. Schodzę ze ścieżek i brudzę sobie buty, kupuję małym dziewczynkom prezenty... Może któregoś dnia zmądrzeję.

- To ja teraz będę oglądać telewizję - Jessie powtórzyła uparcie. - Chcę zobaczyć zakończenie programu.

- Proszę bardzo.

- Wyłączyłaś mi telewizor. A gdy gość wyłącza telewizor, mama nie pozwala mi go włączyć.

- Włącz. Ja nie jestem gościem.

Jessie niezgrabnie rozplotła ręce i nogi i podeszła do telewizora. Uczucie, w którym nie rozpoznała jeszcze żalu, rozsadzało jej czaszkę: coś przepadło, czas minął, ukochana osoba odeszła. - Możesz... możesz obejrzeć zakończenie ze mną, ciociu Virginio.

- Może tak zrobię. W programach telewizyjnych lubię to, że zaczynają się początkiem, a kończą zakończeniem. A inne rzeczy nie. Odkrywasz, że jesteś w środku i nie wiesz, jak się tu znalazłaś ani jak się stąd wydostać. To jak obudzić się w zbiorniku z wodą, o stromych, śliskich ściankach. Pływasz więc w kółko, nie ma drabinki, po której mogłabyś wyjść, nikt nie rzuca ci liny i nie możesz przestać pływać, bo odczuwasz tę zwierzęcą potrzebę przeżycia... Czegoś takiego nie ma w żadnym programie, prawda?

- Nie, musi się najpierw skończyć, żeby mógł zacząć się następny. Nikogo nie zostawiliby w tym zbiorniku.

- To jak by się to skończyło w telewizji twoim zdaniem, Jessie?

Zawahała się, tyle tylko, żeby móc wziąć głęboki wdech. - Odnalazłby cię jakiś pies. Zacząłby szczekać, żeby zwołać ludzi, którzy zwiążą wszystkie marynarki, kurtki i inne ubrania, żeby zrobić linę. Rzuciliby ci tę linę i wyciągnęli cię. Wtedy ty przytuliłabyś tego psa, a on polizałby cię po twarzy.

- Och, wielkie dzięki, psie - rzuciła Virginia, wstając. Podeszła do drzwi. - To do zobaczenia.

- Nie zostaniesz na zakończenie?

- Już mi je opowiedziałaś.

- To nie ten program. Ten jest o koniu i nie ma w nim żadnego zbiornika z wodą, tylko strumień, taki jak ten za domem Mary Marthy.

Ale Virginia zdążyła już wyjść. Jessie włączyła dźwięk. Konie biegały po pustyni, stukając kopytami, jakby chciały zagłuszyć dźwięki towarzyszącej im muzyki. Ponad odgłosami kopyt i trąbek dał się słyszeć śmiech Virginii, dobiegający z patio. Zdawała się tryskać humorem.

Ból zjawiał się jak zwykle, gdy Charlie był kilka budynków od domu. Zaczynał się od lewego ramienia, a każde uderzenie serca przesuwawało go w dół, w stronę dłoni, i w górę, do szyi i głowy, aż zajęło się od niego całe ciało Charliego. Gdyby był sam, w swoim pokoju, gdzie nikt nie zawracał mu głowy, mógłby znieść ten ból, a nawet czerpać pewną satysfakcję z tego, że w żaden sposób go nie uśmierza. Ale dzisiaj czekał na niego Ben. Zada mu cały szereg pytań, trywialnych, niewinnych i podchwytliwych, i będzie oczekiwał odpowiedzi. Minie przynajmniej godzina, zanim wolno mu będzie pójść do swojego pokoju i pomyśleć, co powiedzieć Jessie.

Zatrzymał się na czerwonym i już sięgał do schowka, w poszukiwaniu buteleczki aspiryny, którą zawsze tam woził, gdy przypominał sobie, że nie jeździ już zielonym coupe. Tutaj nie było aspiryny, tylko mapa Los Angeles, rozłożona i podarta, jakby ktoś wcisnął ją do schowka w przyływie niecierpliwości.

Światła zmieniły się na zielone. Minał dom. Na podjeździe stał samochód Bena, który, zdaniem Charliego, wyglądał dokładnie jak jego właściciel - choć nie pierwszej młodości, był solidny, czysty i zadbany, bez żadnych wad ukrytych w silniku.

Apteka była tuż za rogiem, jeden budynek dalej. W środku nie było nikogo oprócz pana Forstera, właściciela, który siedział za ladą pogrążony w lekturze wieczornej gazety.

- A, to ty, Charlie. - Zdjął okulary i schował je do kieszeni białego fartucha. - Dawnośmy się nie widzieli. Jak tam?

- Nie za dobrze, panie Forster.

- Tak, widzę. Faktycznie. - Pan Forster był czołowym diagnostykiem okolicy, nawet dla ludzi, którzy mieli własnych lekarzy. Z szacunku dla jego pozycji klienci zawsze mieli dla

niego poważanie. A on swoje obowiązki traktował niezmiernie poważnie, prenumerując miesięcznik Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy i Lancet, i z wielką uwagą wczytując się we wszystkie ulotki dotyczące nowych leków. - Chyba troszkę gorączkujemy, co, Charlie?

- Raczej nie. Boli mnie głowa. Poproszę aspirynę.

- Nudności, wymioty?

- Nie.

- A oczy? W porządku?

- Tak.

- A mierzyłeś sobie ostatnio ciśnienie?

- Nie. Chciałem tylko kupić...

- Mnie to wygląda na migrenę naczyniową - pokiwał mądrze głową. - Może powinienes wypróbować jeden z tych nowych związków rezerpiny. A przy okazji, ten człowiek znalazł w końcu wasz dom?

- Jaki... jaki człowiek?

- O, był tu jakiś czas temu, miły, siwowłosy facet koło pięćdziesiątki. Powiedział, że zapodział gdzieś wasz adres.

- W ciągu dnia nie było mnie w domu, teraz dopiero wracam.

- No, to może akurat go spotkasz, może czeka na ciebie.

- Na mnie nie - powiedział trwożliwie Charlie. - Na Bena. Ludzie przychodzą w odwiedziny do Bena, nie do mnie.

- A ty nie nazywasz się Charles Gowen?

- Przecież dobrze pan wie, że tak, panie Forster.

- No i właśnie z Charlesem Gowenem chciał się spotkać. - Forster zdjął z półki buteleczkę aspiryny. - Włożyć ci ją do torebki?

- Nie. Nie, zaraz i tak jedną wezmę. - Charlie sięgnął po lek. Drżały mu ręce, co nie uszło uwadze Forstera.

- Oczywiście, ale ja na twoim miejscu zmierzyłbym to ciśnienie. Moja bratanica cierpiała na migrenę naczyniową, a

po rezerpinie przeszło jej jak ręką odjął. Teraz to całkiem nowa kobieta.

Charlie odkręcił buteleczkę, wyjął watkę z wierzchu i zażył dwie tabletki. Intensywny, gorzki smak lekarstwa rozchodził mu się po języku, sięgając aż do uszu i czoła. Oczy zaczęły mu łzawić, więc twarz pana Forstera wydawała się zdeformowana, jak w lustrze z wesołego miasteczka.

- Przyniosę ci szklankę mleka - zaproponował łagodnie pan Forster. - Aspirynę zawsze powinno się popijać mlekiem, neutralizuje to kwasy żołądkowe.

- Nie, dziękuję.

- A ja nalegam.

Poszedł na zaplecze i wrócił z papierowym kubkiem, pełnym mleka. Stał i patrzył, jak Charlie pije, jakby obserwował zwycięstwo żołądka w walce z kwasami.

- Doskonale rozumiem twoje nerwy - zaczął - na tym etapie gierk...

- Jakich gierk?

- No, przedmażeńskich, oczywiście. Poszła plotka, że zaręczyłeś się z miłą panią z biblioteki. Małżeństwo to dla mężczyzny świetna rzecz, wierz mi. Teraz może masz kilka wątpliwości, ale za kilka lat będziesz zadowolony, że zrobiłeś ten krok. Facet nie może zbyt długo pozostawać samotny, bo ludzie zaczynają gadać. - Wziął od Charliego pusty kubek i ścisnął go w rękę. - Mogę powiedzieć ci coś od serca, Charlie?

Charlie nic nie odpowiadał. Czuł się tak, jakby mleko zakrzepło mu w gardle jak krew.

Forster mylnie uznał milczenie za zgodę.

- Nie możesz pozwolić, aby te twoje dawne problemy stanęły ci na drodze do szczęścia. Było, minęło, ludzie już dawno o tym zapomnieli. To było przecież tak dawno temu, byłeś wtedy jeszcze zupełnym dzieckiem. Teraz prowadzisz



spokojne, przyzwoite życie, niczym się nie wyróżniasz, więc niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby myśleć inaczej.

Proszę, niech pan przestanie, myślał Charlie. Każ mu zamilknąć, Boże, niech on wreszcie przestanie. To jeszcze gorsze niż słuchanie Bena. Żaden z nich nie wie, oni nie wiedzą...

- Może nie powinienem tak się nad tym rozwodzić, ale chcę, żebyś zrozumiał, co czuję. Wszystko ci się uda. Mieszkanie z bratem - w porządku, jeśli to konieczne, ale, do diabła, facetowi potrzeba żony i własnej rodziny. A więc kiedy nastąpi ten wielki dzień?

- Nie wiem. Louise... to jej wybór.

- Nie zostawiaj wszystkich decyzji kobiecie. One lubią, jak czasem im się coś rozkaże, wtedy czują się kobiecie. Podliczyć cię za aspirynę?

- Tak.

- No, to wszystkiego dobrego tobie i twojej pani, Charlie.

- Dziękuję, panie Forster.

- I zapamiętaj, co ci powiedziałem. W tym mieście pojawiło się teraz tylu obcych, że tylko stare wygi jak ja pamiętają, jakie miałeś kłopoty. A ty o tym zapomnij. Było, minęło, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Próbowaleś kiedyś wlać takie mleko z powrotem do butelki?

- Nie. Ja...

- Nie da się. Po prostu zapomnij o tych nieprzyjemnościach, Charlie. Jak zdechnie ci koń, to go zakopujesz, a nie kopiesz.

- No tak. Do widzenia, panie Forster.

Ruszył w stronę drzwi, a pan Forster za nim. Zupełnie jakby nie chciał, żeby Charlie już wychodził, jakby Charlie stanowił ogniwo między teraźniejszością a przeszłością, która, mimo swoich okrucieństw, wydawała się panu Forsterowi

łaskawsza niż epoka nieznajomych, autostrad i superaptek w każdym supermarkecie.

- Muszę już iść, panie Forster. Ben na mnie czeka.

- Dobry człowiek z tego Bena. Był twoją podporą, gdy go potrzebowałeś, nie zapominaj o tym, Charlie. Teraz pewnie jest z ciebie dumny, co? Z tej całej przemiany?

Charlie wpatrywał się w klamkę od drzwi, jakby chciał, żeby sama się przekręciła, umożliwiając mu ucieczkę. Ben nie jest ze mnie dumny. Wcale się nie zmieniłem. Koń wcale nie jest martwy, a mleko wciąż wycieka z butelki.

Forster otworzył przed nim drzwi, a staroświecki dzwonek, umieszczony nad nimi, zabrzączał wesoło i ostrzegawczo. - No, miło się z tobą rozmawiało. Wpadnij kiedyś na kolejną pogawędkę. I pozdrów ode mnie Bena.

- Dobrze.

- A przy okazji, ten facet, który pytał o twój adres, miał bardzo oficjalny wygląd, jakby przywykł do rozkazywania ludziom. Ale nie martw się. O twoich dawnych kłopotach nie powiedziałem mu ani słowa. Moim zdaniem to nie jego sprawa, a jeśli interesuje się tobą służbowo, to i tak o nich wie. Wszystko jest w aktach.

Z butelki wciąż ciekła strużka mleka, ale teraz mleko było już zepsute, cuchnące i pełne bakterii. Charlie pochylił się, jakby chciał je zebrać w dłoń i wylać, gdzieś daleko, gdzieś, gdzie się rozłoży, a z nim wszystkie bakterie. Ale pan Forster wciąż mu się przyglądał, i choć uśmiechał się dobrotliwie, jego wzrok był nieufny. Nigdy nie wiadomo, co ci wariaci za chwilę zrobią, nieważne, jak uprzejmie się ich traktuje.

- Pan - zauważył Charlie - wygląda dokładnie jak Ben, panie Forster.

- Słucham?

- Wygląda pan dokładnie jak Ben. Wyraźnie widzę podobieństwo.

- Tak? Lepiej idź do domu i prześpij się. Jesteś przemęczony.

Był przemęczony, ale do domu iść nie mógł. Czekał tam na niego ten człowiek ze swoimi pytaniami. Niczego złego nie zrobił, ale wiedział, że i tak mu nie uwierzą. Nie potrafił powtórzyć tego z takim przekonaniem, z jakim wczoraj, na Jacaranda Street, mówiła to Louise: Nic się nie stało, Charlie... Nikogo nie skrzywdziłeś. Mała Oakley jest bezpieczna, w domu, i myślę, że nawet gdybym cię nie znalazła, i tak byłaby bezpieczna.

Mała Oakley była w domu, bezpieczna. Mała Brantówna, Jessie, też. Tylko czy aby na pewno? Nie widział jej na placu zabaw ani przed domem, gdy przejeżdżał obok. Może coś jej się stało, i to dlatego ten człowiek chciał go przesłuchać. Może nawet użyje wykrywacza kłamstw. Charlie słyszał kiedyś, że faktyczna wina i poczucie winy to dla wykrywacza kłamstw prawie to samo. Jeśli spytają go, czy zna Jessie Brant, odpowie że nie, bo taka jest prawda. Ale serce zacznie mu szybciej bić, ciśnienie mu skoczy, głos mu zadrży, zacznie się pocić, i to wszystko zostanie zarejestrowane, a Charliego napiętnują jako kłamcę. Nawet Ben pomyśli, że skłamał. Tylko Louise mu uwierzy, tylko Louise. Strasznie potrzebował, aby powiedziała mu znów: Nic się nie stało, Charlie. Mała Oakley jest bezpieczna, w domu, i mała Brant też, i wszystkie inne małe dziewczynki - nie mają się czego bać z twojej strony. Kocham cię, Charlie...

Samochód zostawił za biblioteką. Parking był prawie pełny, stały na nim głównie auta z plakietkami z liceum i college'u miejskiego. Nad tylnym wejściem do biblioteki był napis „Tylko dla pracowników”, ale i tak z niego skorzystał, bo tą drogą miał do Louise najbliżej.

Znalazł się w sali z katalogami, pełnej metalowych szafek z szufladami, pachnącej woskiem do podłóg. Staruszek z

mopem spojrział na niego ciekawie, ale nic nie powiedział, biblioteki są dla wszystkich.

- Przepraszam - powiedział Charlie i zamilkł, bo jego głos zabrzmiał dziwnie. Odchrząknął, żeby pozbyć się resztek skrzepłego mleka. - Przepraszam, czy zastałem pannę Lang?

- Ja tam ich nie rozróżniam - wzruszył ramionami staruszek. - Pracuję tu dopiero trzecią noc.

Charlie skinął mu głową w podziękowaniu i ruszył korytarzem, który kończył się otwartymi drzwiami. Widział stąd biurko Louise za pulpitem działu podręcznego, ale Louise tam nie było. Na jej miejscu siedziała kobieta w okolicach trzydziestki. Wyglądała znajomo, choć nie był pewny, czy kiedyś już ją spotkał.

Jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że jest obserwowana. Odwróciła głowę i zobaczyła Charliego, stojącego w drzwiach. Natychmiast wstała, jakby spodziewała się jego wizyty i miała zamiar go powitać. Z uśmiechem podeszła do niego.

- Pan Gowen?

- Tak, ale ja...

- A ja jestem Betty Albert. Louise przedstawiła nas sobie kilka tygodni temu. Jej pan szuka?

- Tak. Myślałem, że jest dzisiaj w pracy.

- Faktycznie - konfidencjonalnie szepnęła panna Albert - ale miała problemy z jakimiś nastolatkami. O, znakomicie sobie z nimi poradziła, w ciągu dziesięciu minut zrobiło się tu cicho jak w kościele, ale wyprowadziło ją to z równowagi. Poszła do domu. Mało kto wie, że mamy tu ostatnio problem z dyscypliną, zwłaszcza w piątkowe wieczory, gdy nie ma lekcji, a dzieci nie idą pograć w piłkę czy porzucać do kosza. Ja postuluję, żeby szkoły były otwarte cały rok, żeby nasi milusińscy mieli co robić. Znudzone nastolatki spuszczone ze smyczy są gorsze nawet od wariatów wypuszczonych z

zakładu, wie pan?... Och, panie Gowen, chwileczkę. Nie może pan korzystać z tego wyjścia, to drzwi tylko dla personelu. Panie Gowen?...

Panna Albert lekkim krokiem wróciła za biurko i rozmarzyła się. Musi być w niej szaleńczo zakochany pomyślała, unosząc lekko spódnice, żeby się nie pogniotła. Jak tylko usłyszał, że miała kiepski dzień i pojechała do domu, wyraźnie się strapił i pognał do tylnych drzwi. Teraz pewnie pędzi, żeby być przy jej boku. Choć nic jej nie jest, poza stresem.

Panna Albert siedziała w bezruchu, kotłowały się w niej dwa uczucia - podziw i zazdrość. Gdy w końcu przestały, zaczęła znowu myśleć praktycznie, jak to miała w zwyczaju. Louise była jej przełożoną, nie zaszkodzi wyświadczyć jej przysługę i ostrzec, że Charlie jest w drodze. Będzie miała chwilę, żeby się ogarnąć, bo gdy wychodziła, wyglądała nieszczególnie.

Numer Louise zapisany był na karcie z telefonami wszystkich pracowników, leżącej przy aparacie. Panna Albert wykręciła go, nucąc cicho melodię zainspirowaną dźwiękiem sygnału.

Odebrała sama Louise. - Słucham?

- Mówi Betty Albert.

- Och. Czy coś się stało?

- Nie. Przed chwilą był tu pan Gowen, pytał o panią. Gdy powiedziałam, że pojechała pani do domu, wypadł jak szalony. Powinien być u pani lada moment. Pomyślałam...

- Powiedział, że się tu wybiera?

- Nie. Ale... cóż, wydało mi się to oczywiste, po tym jak wyleciał zaraz, i to tylnymi drzwiami. Pomyślałam, że panią uprzedzę, żeby mogła się pani ogarnąć, zanim przyjedzie.

- Dziękuję, tak właśnie zrobię. Dobranoc, panno Albert. Louise rozłączyła się i ruszyła korytarzem do swojego pokoju.

Przez otwarte drzwi kuchni mogła dostrzec rodziców, ojciec patrzył, jak coś gotuje się na kuchence, matka wyjmowała z górnej szafki zastawę dla gości. Przypomniała sobie, że dziś są ojca urodziny i z tej okazji przygotowuje on specjalną potrawę z ziemniaków, którą babcia robiła mu w Niemczech, jak był mały. Na samą myśl, że będzie musiała jeść to paskudztwo i udawać, że szare, kleiste kulki jej smakują, Louise zrobiło się niedobrze.

Odezwała się spod drzwi. - Wybieram się na przejażdżkę, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Ojciec odwrócił się z gniewną miną. - Ja mam coś przeciwko temu. Kloessen są już prawie gotowe i sporo się z nimi namęczyłem.

- Tak, wiem.

- Wiesz, ale cię to nie obchodzi. Typowe dla młodego pokolenia; mnóstwo wiedzy, zero wdzięczności. Gdy moja babcia robiła Kloessen, nawet końmi nie odciągnęłabyś nas z kuchni. Nie rozumiem cię, Louise. W jednej minucie leżysz brzuchem do góry, jak nieżywa, a w drugiej już cię nie ma. Wykazujesz ostatnio zupełny brak konsekwencji.

- Chyba tak.

- A odpowiedzialność za to ponosi ten człowiek. Ma na ciebie zły wpływ. Zaślepił cię na...

- Wielu ślepych świetnie sobie radzi - oznajmiła Louise. - Jeśli mnie się poszczęści, ze mną będzie tak samo.

- Więc ten mężczyzna to nie wszystko. Teraz domagasz się też szczęścia, tak?

- Nie, modlę się o nie.

- Cóż, mam nadzieję, że je wymodlisz.

- Więc zachowuj się tak, jakbyś naprawdę miał tę nadzieję, dobrze? Choć raz zachowaj się tak, jakbyś we mnie wierzył, jakbyś chciał, żebym miała własne, niezależne od ciebie życie.

- Och, cicho już, oboje - przerwała jej pani Lang, fartuchem ścierając kurz z talerza. - Tak tu gorąco. Otwórz jeszcze jedno okno, co, Joe? A ty, Louise, nie zapomnij płaszcz. Nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie mgła.

Słońce zaszło, a niebo buchnęło fajerwerkami gwiazd, które nad ranem miały wypalić się i rozpocząć swój niekończący się upadek.

Charlie oparł się o ścianę budynku. Ze wszystkich informacji, jakich udzieliła mu panna Albert, dotarła do niego tylko jedna: Louise pojechała do domu. Akurat w momencie gdy potrzebował jej wsparcia, pojechała tam, dokąd bał się za nią podążyć.

Dom był miejscem, do którego udawali się ludzie, którzy niczego nie mieli na sumieniu, jak Ben i Louise. Dla innych, takich jak Charlie, na całym wielkim świecie nie było miejsca. Nie było też chwili wytchnienia, nawet w najdłuższe noce. Niezależnie od tego, co zrobili albo czego nie zrobili, zawsze kończyło się to źle. Jeśli zawołali o pomoc, nazywano ich tchórzami, jeśli nie zawołali. - głupcami. Jeśli zastygali w jednym miejscu, podejrzewano ich o natręctwo, jeśli ruszyli się, oskarżano ich o ucieczkę. Ława przysięgłych uznaje oskarżonego winnym wszystkich zarzucanych mu czynów i skazuje go na życie w pustce... A tłum na widowni, wszyscy ludzie na świecie, wiwatują i klaszczą.

Wiedział, że nie tak to wyglądało. Żaden sędzia przysięgły nie powiedziałby czegoś takiego, nawet gdyby naprawdę tak myślał. Poza tym, nie było żadnej ławy przysięgłych, tylko jeden jedyny sędzia, który przez cały czas opierał policzek to na jednej ręce, to na drugiej, jakby głowa ciążyła mu na karku. A na widowni wcale nie było tłumów. Tylko prawnicy i pomocnicy szeryfa, i jeden reporter, i Ben, i mama, siedzący obok Charliego, a po drugiej stronie pomieszczenia rodzice tego dziecka, którzy nawet na niego nie spojrzeli. Samej

dziewczynki nie było. Charlie już nigdy więcej jej nie zobaczył... A kiedy było już po wszystkim, dwóch mężczyzn zawiozło go samochodem szeryfa do szpitala, podczas gdy Ben wziął wszystkie oszczędności, swoje i mamy, i pożyczył pieniądze z banku, żeby zapłacić rodzicom dziewczynki, którzy domagali się odszkodowania. Wyprowadzili się potem z miasta i ich też już nigdy nie spotkał...

I w tym momencie to się naprawdę stało. Bo nawet Louise nie mogła twierdzić, że nie, że to nieprawda, że ta dziewczynka jest w domu, bezpieczna w swoim łóżeczku. Może i by tak powiedziała, ale wiedziałyby, że to nieprawda. Nie mógł sobie pozwolić, aby znowu jej uwierzyć. Musiał sam dowiedzieć się, co zdarzyło się naprawdę, a co nie, i które z dzieci leżały bezpiecznie w swoich łóżkach.



Ellen spodziewała się, że wieczór będzie nudny i nieudany, bo zawsze gdy Howard miał wyruszyć w kolejną podróż służbową, Arlingtonowie byli spięci i milczący. Ożywienie Virginii i nagle zainteresowanie Howarda Jessie miło ją zaskoczyły.

Gdy reszta towarzystwa zasiadła przy stole piknikowym, Howard usiadł z Jessie na ogrodowej huśtawce i zaczął wypytywać ją o szkołę i o to, co porabia w czasie wakacji. Jessie, którą nauczono, żeby zawsze odpowiadać na pytania dorosłych, ale też nigdy nie mówić z pełną buzią, zastosowała rozwiązanie kompromisowe i starała się skrócić swoje odpowiedzi do minimum. W szkole było okej. Najbardziej lubiła lekcje środowiska. W czasie wakacji bawiła się. Z Mary Marthą. Na drabinkach. Albo chodziły po drzewach. Czasem szły popływać.

- No, no - rzucił Howard. - Zapomniałaś o cioci Virginii? Codziennie ją odwiedzasz, prawda?

- Chyba tak.

- Lubisz do niej chodzić?

- Tak.

- Jeździsz z nią do miasta na zakupy, do kina i tak dalej?

- Nie za często.

- Raz, dwa razy w tygodniu?

- Jakoś tak.

Howard nadgryzł swojego hamburgera i zaczął żuć go z miną, jakby bolały go zęby. Następnie odstawił talerz na trawę i wsunął go pod huśtawkę, tak że znalazł się prawie poza zasięgiem wzroku. - Czy na te wycieczki jeździ z wami ktoś jeszcze?

- Nie.

- Tylko wy dwie, tak?

Jessie kiwnęła głową z zakłopotaniem. Nie wiedziała, czemu Howard zadaje jej tak dużo pytań. Czuła się przez to dziwnie, jakby robiły z Virginią coś złego.

- Miło, że dotrzymujesz Virginii towarzystwa - zauważył życzliwie Howard. - Jest bardzo samotna. Często u niej jadasz, prawda?

- Nie za często.

- A jak kończycie jeść, to co? Czyta ci albo coś opowiada?

- No tak.

- Mnie też opowiada różne rzeczy. Wierzysz w jej opowieści?

- Tak, no chyba że to bajki.

- A skąd możesz być pewna, które z nich to bajki?

- Zaczynają się od „Dawno, dawno temu”.

- Zawsze?

- No pewnie. Takie są zasady.

- No proszę - roześmiał się sucho. - Muszę to zapamiętać.

W te, które zaczynają się od „Dawno, dawno temu”, mam nie wierzyć. A w te inne mam wierzyć?

- Powinieneś. Bo jak inaczej...

- Bo inaczej byłyby to kłamstwa, co?

- Chyba nie. Dorośli nie mogą kłamać.

- Ale niektórzy to robią. Przychodzi im to tak łatwo, jak oddychanie.

Choć Virginia rozmawiała z Davem i Ellen i nawet nie patrzyła w stronę Howarda, zdawała się wyczuwać kłopoty. Wstała ze swojego miejsca i podeszła do huśtawek, ciągnąc za sobą szal, jak różową smugę przeszłości.

- Skończyłaś jeść, Jessie?

- Tak.

- Powinnaś już chyba szykować się do łóżka?

- Mała ma rodziców - zauważył Howard. - Niech oni kaza ją iść do łóżka. To nie twoja sprawa.

- Nikt nie musi mi kazać - oznajmiła z godnością Jessie i zsunęła się z huśtawki, szczęśliwa, że nareszcie może uwolnić się od towarzystwa dorosłych. Chciała, żeby Michael był w domu, bo mogłaby wtedy zapytać go, czemu Virginia i Howard zachowują się ostatnio tak dziwnie.

- Cóż - oświadczył Howard. - Na ciebie też już chyba czas, Virginio. Bez sensu siedzieć na imprezie, gdy mała już w łóżku. Idziemy?

- Ostrzegam cię. Nie rób sceny, bo pożałujesz.

- Twoje groźby są tak samo puste jak twoje obietnice. Spróbuj czegoś innego.

- Na przykład próśb? To by ci odpowiadało, prawda? Ostatnio dobrze ci tylko, gdy płaszczę się przed tobą. Cóż, musisz znaleźć inny sposób na osiągnięcie satysfakcji, bo ja nie będę już o nic cię prosić i płaszczyć się...

- Trzy dni - odparł gorzko Howard. - Byłem w domu trzy dni i ani na chwilę nie poczułem się tu mile widziany. Jestem niedogodnością, która pojawia się co trzy tygodnie i sieje zamęt w twoim normalnym życiu. A najgorsze jest to, że ja nie rozumiem, jak wygląda twoje normalne życie, więc nawet nie jestem w stanie się dostosować czy je zaakceptować. Mogę tylko walczyć, bo nie ma w nim dla mnie miejsca. A chcę, potrzebuję tego miejsca. Kiedyś je tu miałem. Co poszło nie tak, Virginio?

Dave i Ellen wymienili zażenowane spojrzenia, jak dwoje aktorów, którzy weszli na scenę w złym momencie. Ellen umieściła na tacy kilka naczyń i ruszyła w stronę domu, Dave po chwili namysłu podążył za nią. Ich nieobecność obesła Arlingtonów tak samo niewiele jak przedtem obecność.

- O co chodzi? - dodał Howard. - Jeśli o moją pracę, to mogę ją zmienić. Jeśli o to, że nie mamy rodziny, możemy się o nią postarać.

- Nie - rzuciła ostro Virginia. - Nie chcę już rodziny.

- Dlaczego nie? Kiedyś często nad tym rozpaczałaś.

- Nie mamy już niczego, co można by zaoferować dziecku. - Zapatrzyła się w horyzont, widoczny nad ogrodzeniem. Ściana mgły zaczęła się rozrastać. Miasto niedługo zniknie, ulice zostaną oddzielone od innych ulic, domy od domów, ludzie od ludzi, wszyscy zostaną sami. - Tak, rozpaczałam, wyplakałam wiadra łez. Byłam wtedy młoda. Nie zdawałam sobie sprawy, jakim okrucieństwem byłoby przekazanie dziecku tak brzydkiego życia. Biedna ta Jessie...

Zmarszczył brwi. - Dlaczego? Dlaczego biedna?

- Ma zaledwie dziewięć lat, wciąż żyje niewinnością, nadziejami i marzeniami. Straci tę niewinność i nadzieje, i marzenia; wszystko to straci. Gdy będzie w moim wieku, tysiąc razy zdąży już pomyśleć, że wolałaby nie żyć.

Louise dwukrotnie przejechała całą Jacaranda Street na drugim biegu, przyglądając się każdemu zaparkowanemu samochodowi i każdej osobie idącej po ulicy czy czekającej na przystanku. Nie zauważyła nigdzie Charliego ani jego samochodu, a w domu Oakleyów, pod numerem 319, było tak ciemno, jakby nikt już w nim nie mieszkał. Ciemny dom nappełnił ją nadzieją. Gdyby coś się stało, świeciłoby się światło, słyszeć byłoby hałas i poruszenie. Nic się nie stało. Nic a nic...

Pojechała na Miria Street. Ben wpuścił ją głównym wejściem. - Witaj, Louise. Myślałem, że dzisiaj jesteś w pracy.

- Już byłam.

- Charliego nie ma, ale wejdź. Robię właśnie kawę. Napijesz się?

- Chętnie. - Poszła za Benem do kuchni. Poruszał się wolno, jakby bolały go plecy, i po raz pierwszy pomyślała o nim nie jako o jednym z braci Gowen, tylko jako o mężczyźnie w średnim wieku.

Podziękowała za filiżankę, którą jej nalał, i usiadła przy stole. - Jesteś zmęczony?

- Trochę. W większości sklepów w mieście są akurat przeceny. Straszny ruch, bo co kobiety oszczędzają na kapeluszach i sukienkach, wydają u mnie na jedzenie. - Usiadł naprzeciwko. - Wiesz, chyba znalazłem odpowiednie miejsce.

- Miejsce?

- Mieszkanie nad morzem, o którym myślałem. Umeblowane, więc nie będę musiał nic stąd zabierać, a właściciel pozwolił mi trzymać psa, byle nie za dużego. Podpiszę z nim umowę o najem, jak tylko wyznaczycie datę ślubu... Nie wyglądasz na zbyt zadowoloną. Co się stało?

- Staralam się wyobrazić sobie ten dom bez ciebie. To bardzo... trudne.

- Ten dom ma mnie już dość. Z wzajemnością.

- Charlie wolałby, żebyś został z nami.

- Wkrótce mu to przejdzie. Denerwuje się, to wszystko. Jest jak dziecko, boi się każdej zmiany, nawet zmiany na lepsze.

- Może ja też mam w sobie coś z dziecka.

- Daj spokój, Louise. Zobaczysz, kilka tygodni po ślubie spotkasz mnie na ulicy i pomyślisz: „Skądś znam tego faceta, chyba już go gdzieś widziałam”.

- Nigdy do tego nie dojdzie.

- Do wielu rzeczy dojdzie. Dobrych, rzecz jasna, takich, na jakie z Charliem zasługujecie.

Wzięła łyżeczek kawy. Była tak mocna i gorzka, że ledwo dawała się połknąć. - Czy... czy Charlie wrócił tu po pracy?

- Nie. Ale o to się nie martw. Musiał załatwić coś dla swojego szefa. Ważną sprawę, transport dla Służby Leśnej w górach. Widać, że szef zaczyna powierzać mu coraz ważniejsze zadania. Charlie mówił mi przez telefon, żeby nie spodziewać się go przed siódmą.

- Już prawie dziewięta.

- Może miał jakieś problemy z samochodem. Sam w gorące dni miewałem tam problemy. Silnik się przegrzewa...

- Był w bibliotece z godzinę temu.

- I to, jak mniemam, nie wszystko?

- Owszem.

Ben miał wciąż ten sam wyraz twarzy, ale odsunął się od stołu z taką gwałtownością i siłą, że rozlał kawę. Brązowy płyn na zielonej ceracie przypominał błotnisty strumień płynący przez łąkę.

- Cóż, nie musisz mi mówić. I tak nie będę słuchał. Jednego wieczora, tylko dzisiaj, chciałem pomyśleć o mojej własnej przyszłości, może nawet pomarzyć. A może nie zasługuję na marzenia, bo tak się złożyło, że jestem starszym bratem Charliego Gowena?

- Przykro mi. Chyba nie powinnam była tu przyjeżdżać i obarczać cię moimi problemami. - Wstała i owinęła się ciasno płaszczem, jakby w pokoju nagle zrobiło się zimno. - Muszę nauczyć się radzić sobie sama w takich sytuacjach... Nie wstawaj. Wiem, gdzie są drzwi.

- W jakich sytuacjach?

- Nie myślę, byś chciał to wiedzieć.

- Może nie, ale lepiej mi powiedz.

- Myślę, że sama potrafię sobie z tym poradzić.

- Płacząc?

- Ja nie płaczę. Oczy zawsze mi łzawią, gdy... gdy jestem zestresowana. Jest taki nerw, który przechodzi z tyłu ucha do kanalików łzowych i...

- O budowie układu nerwowego porozmawiamy innym razem. Gdzie jest Charlie?

- Nie wiem - oświadczyła, wycierając oczy wierzchem dłoni. - Szukam go od czasu, gdy panna Albert poinformowała mnie, że był w bibliotece.

- Gdzie go szukałaś?

- Na Jacaranda Street.

- Dlaczego akurat na Jacaranda Street? Musiałaś mieć jakiś powód. Jaki?

Cofnęła się, jakby chciała uniknąć ciosu.

- Louise, musisz mi powiedzieć.

- Tak. Staram się... staram się znaleźć właściwe słowa.

- Jeśli to coś niewłaściwego, nie ma na to właściwych słów.

- Nie jestem pewna, czy to coś niewłaściwego. Może nic, poza wyobraźnią Charliego, a teraz także i moją. To znaczy, on tak się tym przejmuję, że ja też zaczynam się martwić.

- Czym?

Długo milczała, wahając się, aż w końcu zaczęła mówić, szybko i niewyraźnie, jakby to mogło sprawić, że słowa staną się mniej prawdziwe: - Na Jacaranda Street 319 mieszka pewne dziecko, dziewczynka nazwiskiem Mary Martha Oakley. Charlie zarzeka się, że nigdy z nią nie rozmawiał, i ja mu wierzę, ale on boi się czegoś. Ja też. Myślę, że ją obserwuje i... cóż, fantazjuje na jej temat. Wiem, że to niedobrze, bo fantazja, która wymyka się spod kontroli, może zamienić się w fakt.

- Od jak dawna wiesz o tej dziewczynce?

- Od dwóch dni.

- I nie podzieliłaś się tym ze mną.

- Charlie mnie o to prosił.

- Ale teraz to robisz. Dlaczego?

- Chcę, żebyś mi powiedział, jak to wyglądało... poprzednim razem. Muszę wiedzieć, jak się przedtem zachowywał, czy był cichy, czy kapryśny, czy niespokojny, czy wieczorami wychodził z domu, tak jak dzisiaj, nic nikomu nie mówiąc. Czy bez przerwy rozmawiał o tej dziewczynce, czy też w ogóle o niej nie wspominał? Ile miała lat? Jak wyglądała? Jak ją poznał?

Ben podszedł do zlewu i urwał kilka papierowych ręczników. Następnie wolno i metodycznie zaczął wycierać kawę ze stołu. Jego twarz pozostawała bez wyrazu, jakby nie słyszał, co do niego mówiła.

- Ben, słuchasz mnie?

- Tak. Ale nie powiem ci tego, o co mnie pytasz. Nie miałyby to sensu.

- Niekoniecznie. Wszyscy postępujemy według pewnych wzorców. Nawet ludzie dziwni i trudni, tyle że ich wzorzec ciężiej znaleźć. Gdybym odkryła wzorzec Charliego, nauczyła się rozpoznawać sygnały ostrzegawcze...

- To było dawno temu. Nie pamiętam szczegółów, tych wszystkich drobnych zdarzeń. - Wyrzucił zużyty ręcznik do kosza i znowu usiadł, opierając dłonie o blat stołu. - Jeśli nawet były jakieś sygnały ostrzegawcze, uszły mojej uwadze. Charlie był zwykłym, miłym i cichym młodzieńcem, którego towarzystwo wszyscy lubili, który nigdy o nic nie prosił, nigdy też niczego nie osiągał. Miał za sobą dwa lata college'u. Na pierwszym roku szło mu dobrze, na drugim miał problemy z koncentracją - mama podejrzewała, że to za sprawą jakichś problemów sercowych, ale okazało się, że nie miała racji. Na trzeci rok nie wrócił, bo zmarł nasz ojciec. To był w każdym razie oficjalny powód. Podjął pracę. Zajmował się tym i owym, nie były to ważne posady. Pracował między innymi w



klinice weterynaryjnej i hotelu dla psów na Quila Street, koło torów. Ta dziewczynka codziennie chodziła wzdłuż torów w drodze do i ze szkoły. Charlie musiał ją przeganiać, bo bał się, że wpadnie pod pociąg albo skrzywdzi ją któryś z miejscowych pijaków. Tak to się zaczęło, Charlie usiłował ją chronić.

Louise słuchała. Przypomniała sobie powód, dla którego Charlie szukał nazwiska ludzi, mieszkających na Jacaranda Street 319: Muszę powiedzieć tym ludziom, żeby lepiej zajmowali się swoim pieskiem, bo jeszcze przejedzie go samochód.

Odezwała się w końcu: - Ile lat miała ta dziewczynka?

- Dziesięć. Ale wyglądała na mniej, bo była taka drobna i chudziutka.

- Ładna?

- Nie.

- Jakiego koloru miała włosy, długie czy krótkie?

- Ciemne i krótkie, chyba. Widziałem ją tylko raz, ale pamiętam, że przednie zęby miała wyszczerbione po jakimś upadku.

- To może zabrzmieć strasznie, Ben, ale jest nadzieja.

- Nadzieja?

- Tak. Bo widzisz, ja poznałam tę Mary Marthę. To pulchne, ładniutkie dziecko, ma długie, jasne włosy, związane w kucyk, wygląda dość dojrzałe jak na swój wiek. Czy to nie dobry znak? Nie pasuje do wzorca, Ben. - Błede policzki Louise zaróżowiły się z podniecenia. - A teraz opowiedz mi o Charliem, jak zachowywał się przedtem, co ci tylko przyjdzie do głowy.

- Nie zauważyłem żadnej różnicy - powiedział ciężko Ben. - Ale zbytnio mu się też nie przyglądałem, dopiero co ożeniłem się z Ann. Charliemu mogła wyrosnąć druga głowa, a ja i tak bym się nie zorientował...

- Dopiero co się ożeniłeś - powtórzyła Louise. - A teraz to Charlie ma się żenić. Czy to przypadek, czy może część wzorca?

- Przestań myśleć o tych wzorcach. Charliego usiłowało rozszyfrować całe mnóstwo ekspertów i nic z tego nie wyszło.

- Więc teraz moja kolej. Gdzie zamieszkaliście po ślubie?

- Tu, w tym domu. To miało być rozwiązanie tymczasowe, zamierzaliśmy kupić własne mieszkanie. Wtedy Charliego zaaresztowano i wszystko wzięło w łeb. Nie miałem pieniędzy, żeby kupić nawet namiot, a co dopiero mieszkanie, ale nie miało to już znaczenia, bo żony też już nie miałem.

- A teraz Charlie ma tu zamieszkać. - Louise rozglądała się po pokoju, jakby pierwszy raz widziała go na oczy, choć wkrótce tu miał być jej dom. - Wciąż nie dostrzegasz żadnego wzorca?

- A jeśli powiem, że tak? Co mam wtedy zrobić?

- Co wtedy mamy robić? Tym razem jestem z tobą.

- Nie mów „tym razem”. Nie będzie żadnego „tym razem”. Zdarzyło się to raz i już nigdy więcej się nie zdarzy, przysięgam na Boga, nawet jeśli mam mieć go na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet jeśli będę musiał przykuć się do niego kajdankami.

- Dla Charliego nie szykuje się to zbyt wesoło. Lepiej chyba już nie żyć.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - rzucił szorstko. - Myślałem o tym ze sto, z pięćset razy, patrzyłem na niego i widziałem, jak cierpi, i myślałem: „To mój młodszy brat. Kocham go, dałbym sobie dla niego rękę odciąć, ale może najlepsze, co mogę dla niego zrobić, to wszystko to skończyć”.

- Znaczy, zabić go?

- Tak, zabić go. I nie patrz na mnie z takim przerażeniem w oczach. Już niedługo sama możesz tak pomyśleć.

- Jeśli tak myślisz, to masz jeszcze większy problem niż Charlie. - Wyglądała na lekko zaskoczoną, jakby nie planowała tego powiedzieć. - Może tym większy, że nie zdajesz sobie z niego sprawy. Gdy coś ci się przytrafi, gdy coś cię gnębi, zawsze winisz za to Charliego. W oczach świata jesteś w porządku, ale Charliemu to nie pomaga. Ma i tak więcej poczucia winy, niż jest to w stanie wytrzymać. Teraz potrzebuje wiary w siebie, poczucia, że sam wybierze właściwą drogę, i to nie dlatego, że ty go do tego zmusisz. Minutę temu była mowa o tym, że będziesz musiał się do niego przykuć. To może i poskutkuje, ale nie do końca. Może powstrzymać go to od zrobienia czegoś złego, ale nie pomoże mu w zrobieniu czegoś dobrego.

- Niezłe przemówienie.

- Nie skończyłam.

- Nie wiem, czy chcę słuchać dalej.

- Posłuchaj dalej, dobrze?

- Od kiedy to jesteś takim ekspertem od braci Gowenów?

Nie zważała na sarkazm. - Chciałam do czegoś dojść, to wszystko.

- I do czego doszłaś?

- Problem Charliego nie narodził się w nim samym. Nie jest wyłącznie jego, to sprawa rodzinna. Jakieś zdarzenie, czyjs związek albo kilka, a może kombinacja jednego i drugiego, sprawiły, że nie chce dorosnąć. Pozwolił tobie odgrywać rolę dorosłego. Sam pozostał dzieckiem, młodszym bratem, pociechą. Dorosłość polega u niego na imitowaniu ciebie i robieniu wszystkiego, co mu każesz.

Zamilkła, a Ben oznajmił: - Mam nadzieję, że skończyłaś.

- Prawie. Czy ty i Ann pojechaliście na miesiąc miodowy?

- Tak, spędziliśmy tydzień w San Francisco. Nie rozumiem, co to ma...

- Po jakim czasie po waszym powrocie zaczęły się kłopoty z Charliem i tą dziewczynką?

- Kilka dni później. Bo co?

- Może - powiedziała wolno - Charlie, na swój pokręcony sposób, chciał tylko pójść za twoim przykładem i „poślubić” tę dziewczynkę.

Jessie zgasiła światło i starannie zamknęła drzwi, żeby rodzice myśleli, że śpi. Okna z tyłu i z boku miała jednak otwarte, więc niewiele umykało jej uwadze.

Słyszała kłótnię Virginii i Howarda na tarasie, a później otwieranie i zatrzaskiwanie furtki, i ryk samochodu Howarda, najpierw na podjeździe, potem na ulicy. Virginia zaczęła płakać i Dave odprowadził ją do domu, po czym sam pojechał szukać Howarda.

Jessie leżała po ciemku, wpatrując się w sufit i myśląc, jak to się dzieje, że dorośli mogą robić coś zupełnie bez powodu i uchodzi im to na sucho. Ona sama zawsze musiała mieć co najmniej jeden dobry powód, czasami dwa, żeby coś zrobić.

Tuż przed dziesiątą Ellen zatrzymała się na chwilę pod drzwiami Jessie i poszła dalej.

Jessie zawołała: - Pić mi się chce!

- Proszę bardzo, możesz wstać i nalać sobie wody.

- Wolałabym, żebyś ty mi przyniosła.

- Niech ci będzie. - W głosie Ellen dało się słyszeć irytację, a gdy weszła do pokoju ze szklanką wody, wyglądała na zmęczoną i spiętą. - Dlaczego w ciągu dnia nigdy nie chce ci się pić?

- Bo nie mam czasu, żeby o tym myśleć.

- No, pij. A jeśli potrzebujesz czegoś jeszcze, to teraz. Boli mnie głowa, zaraz biorę tabletkę na sen i idę spać.

- Ja też mogę dostać?

- Oczywiście, że nie. Małe dziewczynki nie potrzebują tabletek na sen.

- Pani Oakley czasem daje Mary Marcie.  
- Pani Oakley jest... Nieważne, zamknij oczy i pomyśl o czymś przyjemnym.

- A dlaczego Howard i Virginia się pokłócili?

- Dobre pytanie - odparła sucho Ellen. - Jeśli w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat znajdę dobrą odpowiedź, nie omieszkać ci powiedzieć. Skończyłaś pić?

- Tak.

Ellen wzięła od niej szklankę, w dalszym ciągu prawie pełną. - To już ostatnie „dobranoc”, Jessie. Rozumiesz? Absolutnie ostatnie. - Wychodząc, mocno zatrzęsnęła za sobą drzwi, żeby pokazać, że nie żartuje.

Jessie zamknęła oczy i pomyślała o lodach karmelowych i o bożonarodzeniowym poranku, i o puszczeniu latawca z napisem „Jessie”. Jej imię fruwało w przestworzach, właśnie wzbijała się w powietrze, żeby do niego dołączyć, niesiona lekko wiatrem, coraz wyżej i wyżej. Już prawie go dotknęła, ale usłyszała samochód na podjeździe. Z hukiem spadła na ziemię. Upadek był tak prawdziwy i gwałtowny, że rozboleły ją ręce i nogi, skuliła się więc na łóżku jak rozbitek ocalony z katastrofy lotniczej.

Z podjazdu usłyszała męskie kroki oraz głos Virginii, tak chłodny, że gdyby nie dochodził z tylnego wejścia domu Arlingtonów, nie poznałaby go.

- Jak widzę, to go nie znalazłeś.

- Nie - powiedział Dave.

- I mnie to odpowiada. Jak mawiało się za moich młodych lat, krzyżyk na drogę i kopa w...

- Takie gadanie prowadzi donikąd. Bądź rozsądna. Potrzebujesz Howarda, sama się nie utrzymasz.

- Co za wspaniałe podejście do sprawy.

- To fakt, a nie podejście - oznajmił Dave. - Dzisiaj chyba masz zamiar wyklócać się z każdym. Lepiej już pójść.

- To idź.

- Virginio, może posłuchasz...

Głosy nagle zamilkły. Jessie podeszła do okna i wyjrzała zza żaluzji. Ganek Arlingtonów był pusty, a drzwi zamknięte.

Wróciła do łóżka. Położyła się na plecach, z rękoma splecionymi nad głową, i zaczęła rozmyślać o Virginii i o tym, że potrzebuje Howarda, bo nie może się sama utrzymać. Zastanawiała się, ile pieniędzy musiałyby zgromadzić, na wypadek gdyby Howard już nigdy nie wrócił. Virginia miała przecież samochód i umeblowany dom, i tyle ubrań, że starczyłyby jej na całe lata. Musiałyby kupować tylko jedzenie.

Bez odwracania głowy, Jessie mogła spojrzeć na półotwarte drzwi do szafy. W szafie, w wizytowym bucie, leżały dwa banknoty dziesięciodolarowe, które wcisnął jej Howard. Gdyby oddała je Virginii, odczułaby ich stratę, ale też i ulgę, że się ich pozbyła i za jednym zamachem wyświadczyła komuś przysługę. Za dwadzieścia dolarów można kupić tony jedzenia, nawet lody karmelowe, które Virginia tak bardzo lubiła.

Gdy podjęła decyzję, nie zwlekała z jej realizacją. Włożyła szlafrok i kapcie, wyciągnęła z buta oba banknoty, na palcach przeszła przez przedpokój i kuchnię i wymknęła się tylnymi drzwiami.

Sunąc przez mrok w białym, powiewającym szlafroku, wyglądała jak duch panny młodej.

Gdy Ralpa MacPhersona obudził dzwonek telefonu, podświetlany zegar, stojący na szafce nocnej, wskazywał kilka minut po północy. Podniósł słuchawkę i powieki, ale tylko na tyle, by sprawdzić, która godzina.

- Tak?

- Mac, mówi Kate. Dzięki Bogu, jesteś w domu. Potrzebuję twojej pomocy.

- Dziecko drogie, czy ty zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?

- Tak, oczywiście, że zdaję sobie sprawę. To chyba jasne, sama też spałam, ale to walenie właśnie mnie obudziło.

- No dobrze, zainteresowałaś mnie - rzucił niecierpliwie. - Jakie walenie?

- W drzwi wejściowe. Tam jest jakiś człowiek.

- Co za człowiek?

- Nie mam pojęcia. Zeszłam na dół, nie zapalając światła. Myślałam, że to Sheridan, i chciałam udawać, że nie ma mnie w domu.

- Jesteś pewna, że to nie Sheridan?

- Tak, widzę jego cień. Za duży jak na Sheridana. Co mam robić?

- To zależy od tego, co robi ten człowiek.

- Siedzi na ostatnim stopniu na ganku i wydaje dziwne odgłosy. Chyba... chyba płacze. Boże, Mac, tyle dziwnych rzeczy dzieje się ostatnio. Mam wrażenie, że tkwię w jakimś koszmarze. Po co jakiś obcy człowiek miałby przychodzić płakać na mój ganek?

- Bo coś go gnębi.

- Tak, ale dlaczego na moim ganku? Dlaczego tutaj? Dlaczego u mnie?

- To pewnie jakiś hulaka, który upił się na smutno, a twój dom wybrał przez przypadek. Jeśli chcesz się go pozbyć, zadzwoń na policję.

- Tego nie zrobię. - Nastąpiła chwila ciszy. - Okolica nabiera zlej sławy, jeśli pod dom zaczyna zajeżdżać policja na sygnale.

- Oni zazwyczaj nie... Nieważne. Co mam zrobić?

- Gdybyś tu przyjechał i porozmawiał z nim, Mac. Zapytał go, czemu tu się znalazł, i kazał mu wracać do domu. Ciebie posłucha. Jesteś taki autorytatywny.

- O tej godzinie nie czuję się zbyt autorytatywnie, ale zrobię co w mojej mocy. Będę tam za jakieś dziesięć minut. Nie otwieraj drzwi i nie włączaj światła. Gdzie jest Mary Martha?

- Śpi u siebie.

- Więc dopilnuj, żeby tak zostało - rzucił i rozłączył się. Jedna Oakley naraz to aż nadto.

W starszych częściach miasta latarnie uliczne stały tylko w okolicach skrzyżowań, jakby to, co działo się w nocy pomiędzy nimi, nie powinno obchodzić obcych czy przypadkowych przechodniów. Domu Oakleyów nie było widać z ulicy. Mac nie dostrzegał nawet otaczających go drzew, ale słyszał je. W liściach szumiał wiatr i gałęzie ocierały się o gałęzie, w akcie złudnej czułości.

Z tylnego siedzenia wziął ciężką latarkę, którą od lat woził na wszelki wypadek. Przez ten czas zdarzyło się wiele wypadków, ale jeszcze żaden z nich nie wymagał użycia latarki. Włączył ją. Jej blask nie był już tak mocny jak kiedyś, ale wystarczał, aby oświetlić kamienną ścieżkę prowadzącą do domu.

Schody na ganek były puste i przez chwilę był przekonany, że Kate wymyśliła sobie całe to zajście. Wtedy też dostrzegł człowieka opierającego się o poręcz. Głowę miał



pochyloną i przekręconą, jakby złamał sobie kręgosłup. Zwrócił się w kierunku światła latarki, ale w żaden inny sposób nie zareagował na zjawienie się Maca, jego twarz pozostawała bez wyrazu. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w okolicach czterdziestki. Miał na sobie jasne dżinsy i bluzę, jedno i drugie poplamione było krwią, a rękę przyciskał do klatki piersiowej, jakby starał się stłumić krwotok.

- Jest pan ranny? - zapytał Mac.

Mężczyzna poruszył wargami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Mac spróbował znowu: - Nazywam się Ralph MacPherson. Pani Oakley, która tu mieszka, zadzwoniła do mnie kilka minut temu, bo ktoś łomotał do jej drzwi. To był pan?

Mężczyzna pokiwał lekko głową, choć zdawał się zbyt oszołomiony, aby zrozumieć to pytanie.

- Co pan tu robi?

- Ja szu... szu...

- Szuka pan, tak? Coś panu zginęło?

- Coś? - Zakrył twarz rękoma i Mac mógł się przekonać, że to prawa dłoń tak mu krwawiła. - Nie coś. Dziecko. Córka.

- I szuka pan córki?

- Tak.

- A dlaczego myśli pan, że jest właśnie tutaj?

- Tu mieszka jej najlepsza przyjaciółka.

- Mary Martha?

- Tak.

Mac przypomniał sobie rozmowę z Kate o najlepszej przyjaciółce Mary Marthy. - Pan jest ojcem Jessie Brant?

- Tak. Ona znikła. Jessie znikła.

- Spokojnie. Co się panu stało w rękę?

- Niech się pan o mnie nie martwi. Jessie...

- Pan krwawi.

- Biegłem i upadłem. Nie martwię się o siebie. Pan nie rozumie? Moja córka zaginęła. Nie ma jej w łóżku.

- Dobrze, niech się pan tak nie gorączkuje. Znajdziemy ją.

Mac przeszedł przez ganek i zastukał lekko do drzwi. - Kate, włącz światło i otwórz drzwi.

Na ganku zapaliła się lampa, a drzwi otworzyły się tak szybko, jakby Kate cały ten czas stała pod nimi w oczekiwaniu, aż ktoś powie jej, co ma robić. Miała świeży makijaż, nałożony chyba po ciemku i w pośpiechu. Nie ukrył surowych zmarszczek, przecinających jej twarz, ani niepokoju, czającego się w oczach.

- Mac?

- Kate, pamiętasz chyba pana Branta?

Obrzuciła Dave'a pobieżnym spojrzeniem. - Poznaliśmy się. Ale to nie daje mu prawa dobijania się po nocy...

- Bądź cicho i słuchaj, co się do ciebie mówi. Pan Brant szuka Jessie. Widziałaś ją?

- Nie, oczywiście, że nie. Już po północy. Dlaczego Jessie miałyby wychodzić o tej porze? On jest cały zakrwawiony - dodała, wpatrując się w twarz Maca. - Każ mu sobie iść. Nie cierpię widoku krwi. Nie wpuszczę go do domu.

Dave zacisnął ręce, żeby jej nie uderzyć. Jego głos był bardzo cichy:

- Nie mam zamiaru wchodzić do pani domu. Nawet bym tu nie przychodził, gdyby nie to, że nie miałem pani telefonu.

- Mam zastrzeżony numer.

- Właśnie. A ja chciałem się z panią skontaktować.

- Po nocy nikt nie ma prawa wydzwaniać do ludzi - oświadczyła, jakby jej samej nawet przez myśl to nie przeszło.

- Mary Martha i ja wcześniej chodzimy spać. Ona dawno już zasnęła...

- Pani córka jest w łóżku i śpi?

- Tak, oczywiście.

- A moja nie.

- O co panu chodzi? - Zwróciła się do Maca, łapiąc go za rękaw płaszcza jak proszące dziecko. - O co mu chodzi, Mac? O tej porze wszystkie dziewczynki powinny już być w łóżkach.

- Jessie zniknęła - wyjaśnił Mac.

- Jestem pewna, że szybko się znajdzie. Pewnie tylko schowała się przed rodzicami. Jessie ma mnóstwo zwariowanych pomysłów i uwielbia być w centrum uwagi. Zjawi się lada moment z jakąś fantastyczną opowieścią i wszystko będzie dobrze. Prawda? Prawda, Mac?

- Nie wiem. Kiedy ją ostatnio widziałaś?

- Po południu. Wpadła, żeby zabrać Mary Marthę popływać. Nie pozwoliłam jej iść. Od czasu tego anonimowego listu nie spuszczam jej z oka.

Mac zapomniał już o liście. Pomacał lewą kieszeń płaszcza. Były w niej też inne papiery, ale tego listu nie dało się z niczym pomylić. Jeden róg koperty wybrzuszał się, tam właśnie znajdowała się wielokrotnie złożona kartka, która teraz liczyła sobie nie więcej niż cał kwadratowy. Przypomniał sobie treść listu i zaczął żałować, że nie zaniósł go natychmiast swojemu znajomemu, porucznikowi Gallantynie. W ciągu trzydziestu lat pracy w policji, Gallantynie'owi uzbierała się cała kolekcja anonimowych listów.

- Mógłby opisać mi pan Jessie? - poprosił.

- W domu mam jej zdjęcia. - Na dźwięk słowa „dom” prawie się rozkleił. - Muszę wracać do żony. Ona sądzi, że... że przyjadę z Jessie. Była absolutnie pewna, że znajdę ją tutaj.

Kate trzymała swój długi, wełniany szlafrok tak kurczowo, jakby bała się, że za chwilę ktoś go z niej zedrze. - Nie rozumiem, czemu myślała, że Jessie przyjdzie tutaj. Jestem

ostatnią osobą, na której wymysły Jessie mogłyby zrobić wrażenie. Natychmiast zadzwoniłabym do pani Brant. Prawda, Mac?

- Oczywiście, że tak - odparł Mac. - Lepiej wracaj do domu i prześpij się jeszcze.

- Nie będę mogła zmrużyć oka. Po okolicy może krążyć jakiś potwór i żadne dziecko nie jest już bezpieczne. Na Jessie nie poprzestanie. Mary Martha może być następna.

- Zamknij się, Kate.

- Och, Mac, nie idź, proszę. Nie zostawiaj mnie samej.

- Muszę. Odwiozę pana Branta do domu.

- Wszyscy mnie opuszczają. Nie zniosę...

- Porozmawiamy rano.

Drzwi zamknęły się za nią, zgasło światło. Obaj mężczyźni ruszyli wolno kamienną ścieżką, w cichym porozumieniu podążając za światełkiem latarki Maca, jakby dawało im promyk nadziei.

W samochodzie Mac spytał: - Gdzie pan mieszka?

- Na Cielito Lane.

- To w okolicach Peppertree Tract?

- Tak.

Zjechał z krawężnika.

- Dzwonił pan na policję?

- Virginia... pani Arlington dzwoniła. Mieszka obok. Są z Jessie dobrymi przyjaciółkami. Żona myślała, że jeśli Jessie miałyby jakiś kłopot albo chciałyby zrobić nam psikusa, najpierw poszłyby do domu Arlingtonów. Przeszukaliśmy go i ich garaż dwukrotnie. Jessie się nie znalazła. Virginia zadzwoniła na policję, a ja ruszyłem do pani Oakley. Nic innego nie przychodziło mi do głowy, nie wiem, gdzie jeszcze Jessie mogłyby pójść w środku nocy. Mieszkamy tu od niedawna, nie mamy tu też żadnych krewnych.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął Mac - ale czy Jessie należy do dzieci, które często popadają w tarapaty?

- Nie. Potrafi zostawić rower na chodniku, spóźnić się na posiłki, tego typu sprawy, ale nic poważniejszego.

- Uciekła już kiedyś z domu?

- Oczywiście, że nie.

- Policja każdego dnia zgarnia dzieci, które uciekły z domu.

- Nie uciekła - Dave powtórzył ochryple. - Modłę się, żeby tak było. By sama wymyśliła, że mogła niby uciec.

- A dlaczego nie mogła?

- Nie miała pieniędzy, a z jej szafy zniknęły tylko rzeczy, które miała na sobie - piżama, szlafrok i kapcie. Jessie to mądra dziewczynka, wiedziałyby, że do ucieczki potrzebne są pieniądze i ubranie, które nie zwróciłoby niczyjej uwagi.

Może tu tkwi rozwiązanie, pomyślał Mac, ale powiedział tylko:

- Nie przypomina pan sobie jakiejś rodzinnej kłótni, czy innego wydarzenia, które mogło natchnąć ją do ucieczki?

- Nie.

- Czy coś ją ostatnio martwiło?

Dave odwrócił się i wyjrzał przez okno. Noc wydała mu się ciemniejsza od wszystkich widzianych dotychczas. Nie za sprawą zwykłej ciemności, braku światła, lecz czegoś gęstego, miękkiego i duszącego, pokrywającego cały świat. Żaden poranek nie był w stanie tego rozproszyć.

- Czy coś ją ostatnio martwiło? - powtórzył Mac.

- Staram się odpowiedzieć. Ja... ostatnio często wspominała o rozwodach i o ojcach, którzy opuszczają rodziny, jak Sheridan Oakley. Mary Martha musiała jej sporo naopowiadać, a Jessie potraktowała to zbyt poważnie. Jessie to dziwne dziecko. Udaje obojętność, ale przeżywa wszystko bardzo głęboko, zwłaszcza jeśli dotyczy to Mary Marthy.

Przyjaźnią się od prawie roku, a teraz są niemalże nierozłączne.

Mac przypomniał sobie pierwsze zdanie listu, który nosił w kieszeni. Pani córka za bardzo naraża swoje delikatne ciało. - Czy Jessie jest, pana zdaniem, delikatnym dzieckiem, czy jest wątłej budowy? - zapytał.

- Dziwne pytanie.

- Odpowiedź jest dla mnie bardzo ważna. Na razie nie mogę zdradzić panu dlaczego.

- Cóż, niektórym Jessie może wydawać się delikatna. W rzeczywistości jest po prostu szczupła i żylasta, po swojej mamie, i bardzo zdrowa. Lekarza potrzebuje tylko wtedy, gdy przytrafi jej się jakiś wypadek.

- Jakiego rodzaju?

- Upadek, ukąszenie, pogryzienie przez psa. Typowe wypadki, jakie zdarzają się wszystkim dzieciom, plus kilka nietypowych. Teraz na przykład ma strasznie poobcierane ręce, od nadmiaru czasu spędzanego na drabinkach przed szkołą.

- Często się tam bawi?

- Nie wiem. Cały dzień jestem w pracy.

- Ale jak pan myśli - dwa razy w tygodniu? Pięć razy? Siedem?

- Wszystkie dzieci z sąsiedztwa bawią się na tym placu. Czemu nie miałyby tego robić? - zjeżył się Dave. - Są pod dobrą opieką, organizuje się tam dla nich gry, przedstawienia kukielkowe i inne atrakcje, których nie mają u siebie w ogródkach. Coś pan sugeruje?

- Nic. Po prostu...

- Nie. Myślę, że pan coś wie i nie chce mi powiedzieć. Dlaczego?

- Na razie jeszcze nie wiem nic - odparł Mac - co mogłoby pana uspokoić albo pocieszyć.

- To tylko taki eufemizm, pan po prostu nie chce mi powiedzieć. - Nastąpiła niechętna i niespokojna cisza. - Co pan w ogóle za jeden? Kim pan jest? Skąd się pan tu wziął?

- Przedstawiłem się, moje nazwisko brzmi Ralph MacPherson. Jestem prawnikiem i starym przyjacielem pani Oakley.

- Nie traciła czasu, od razu zadzwoniła do prawnika. Dlaczego?

- Zadzwoniła do mnie jako do przyjaciela, nie prawnika. Znam ją od czasu, gdy była w wieku Jessie... Zaraz, tutaj chyba będę musiał skrócić, tak?

- Tak.

Wszystkie domy w okolicy pogrążone były w ciemnościach, z wyjątkiem dwóch. Na oddzielającym je podjeździe stał czarny sedan, chrysler. Mac rozpoznał w nim jeden z nieoznakowanych wozów policyjnych, używanych w przypadkach wymagających szczególnej ostrożności.

Poza światłami w oknach obu domów nic nie wskazywało na to, że coś się tu stało. Ulice były wyludnione, a jeśli najbliżsi sąsiedzi zastanawiali się, do czego doszło, robili to za zaciągniętymi zasłonami i w ciemnościach.

Mac zatrzymał samochód, ale nie gasił silnika. - Nie powiem, że cieszę się, że pana poznałem, to by było głupie. Ale mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

- Nie wejdzie pan?

- Nie sądziłem, że może pan tego chcieć.

- Sam nie będę mógł spojrzeć Ellen w oczy.

- Nie wiem, jak mógłbym panu w tym pomóc. Poza tym, nie będzie pan sam, jest tu policja.

- Nie mogę... nie potrafię tam wejść i powiedzieć jej, że nie odnalazłem Jessie. Miała taką nadzieję. Jak mogę tam wejść i pozbawić ją tej nadziei?

- Musi poznać prawdę. No, chodźmy, pójdę z panem.

Wyszli z samochodu i ruszyli w stronę domu. Mac nie zamierzał się w to mieszać. Uważał, że spełnia swój obowiązek, pomaga osobie w potrzebie i wszystko to - albo przynajmniej jego rola - za chwilę się skończy. Mógł poświęcić tę chwilę i kilka miłych słów.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i wypadła z nich kobieta. Zupełnie jakby w domu doszło do gwałtownej eksplozji, która rozsadziła drzwi i wymiotła ją na zewnątrz.

- Jessie? - krzyknęła. Przystanąła, wpatrując się w Maca. - Gdzie Jessie?

- Pani Brant, ja...

- Rozumiem. Pan jest pewnie lekarzem. Tak jak myślałam. Jessie pobiegła na skróty do Mary Marthy, potknęła się i wpadła do strumienia. I jest w szpitalu, a pan przyjechał powiedzieć mi, że wszystko jest w porządku, to nic groźnego, wróci do domu za kilka...

- Pani Brant, proszę przestać. Jestem prawnikiem, nie lekarzem.

- Gdzie Jessie?

- Przykro mi, nie wiem.

W tym momencie przemówił Dave: - Nie poszła do Mary Marthy, Ellen. Nie znalazłem jej.

- O Boże. Błagam, Boże, pomóż jej. Pomóż mojemu dziecku. Dave objął ją. W oczach Maca wyglądało to bardziej jak wzajemne podtrzymywanie się, a nie obejmowanie. Poczł głęboki żal, bo uświadomił sobie, że nic już dla nich nie może zrobić. Skierował się z powrotem do samochodu. List w kieszeni ciążył mu coraz bardziej - jak kamień, do którego nagle wszystko zaczęło przywierać.

Już prawie doszedł do chodnika, gdy jakiś głos za nim rzucił: - Chwileczkę, proszę pana.



Mac odwrócił się i ujrzał młodego mężczyznę w ciemnoszarym garniturze i kapeluszu pod kolor. Kapelusz - fedora - sprawiał, że wyglądał jak studenciak w przebraniu.

- Tak? O co chodzi?

- Mogę prosić o pańskie nazwisko?

- MacPherson.

- Co pan tu robi o tej porze, panie MacPherson?

- Podwiozłem pana Branta do domu.

- Porucznikowi powtórzy pan to samo?

- Oczywiście - odparł sucho - jeśli tylko porucznik będzie chciał to usłyszeć.

- O, z pewnością. Tędy proszę.

Idąc po podjeździe, Mac zauważył kolejny policyjny samochód, zaparkowany pod garażem. Światła miał skierowane na okno pokoju z tyłu domu. Jakiś policjant badał właśnie to okno, drugi stał poza zasięgiem światła. Mac dostrzegał tylko siwe włosy, obcięte na jeża i sterczące jak szczotka. To wystarczyło.

- Witaj, Gallantynie.

Gallantynie zrobił kilka kroków naprzód, mrużąc oczy od światła. Był średniego wzrostu, miał szerokie, masywne ramiona, lekko zgarbione. Jego postawa i ruchy znamionowały wielką, ledwo kontrolowaną niecierpliwość. Przypominał Macowi świetnie wytresowanego, potężnego ogiera z otarciem od siodła, niewidocznym gołym okiem. Nikt nie wiedział, gdzie to otarcie się znajduje, ale nie wolno go było dotknąć, więc wszyscy woleli mieć się na baczności.

- Co ty tu robisz, Mac? - zagadnął Gallantynie.

- Zostałem zaproszony. Widocznie podpadam pod kategorię „podejrzane typy kręcące się po okolicy”.

- A faktycznie kręciłeś się?

- Faktycznie byłem w okolicy, ale nie sądzę, abym się kręcił. Chyba że o czymś mi nie wiadomo, może to

nieświadome. Mogę zadać ci to samo pytanie? Co ty tu robisz, Gallantyne? Myślałem, że jesteś uwiązany do biurka.

- Co jakiś czas mnie odwiązują. Salvadore jest na urlopie, a Weber ma zapalenie kaletki maziowej. Wejdz. Chcę z tobą porozmawiać.

Z powodów, które nie były jasne nawet dla niego samego, Mac nie palił się do wejścia. Nie chciał, aby zaginione dziecko stało się dla niego jeszcze bardziej realne, nie chciał oglądać podwórka, na którym się bawiła, stołu, przy którym jadła, pokoju, w którym spała. Chciał, aby pozostała wyłącznie nazwiskiem i cyfrą - Jessie Brant, lat dziewięć.

- Wolałbym zostać na zewnątrz - oświadczył.

- A ja wolałbym, żebyś wszedł.

Gallantyne odwrócił się i przeszedł przez otwartą furtkę, prowadzącą na taras. Nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy Mac idzie za nim. Zakładał, że tak, i nie mylił się.

Tylne drzwi domu stały otworem, blokowała je donica z wyschniętą azalią. Umundurowany policjant zbierał odciski palców z drzwi i mosiężnej klamki. Nie było śladów wskazujących, że ktoś otworzył je siłą albo majstrował przy zamku.

Kuchnia, z kolei, nosiła ślady kryzysu w rodzinie: filiżanki z niedopitą kawą, przepełnione popielniczki, otwarta buteleczka aspiryny, kosz na śmieci pełen zużytych chusteczek i puste pudełko po nich.

- Siadaj, Mac - zaproponował Gallantyne. - Wyglądasz na zdenerwowanego. Jesteś prawnikiem tych ludzi?

- Nie.

- Przyjacielem domu?

- Znam Branta od jakiejś godziny, jego żonę od pięciu minut. - Opowiedział pokrótce o telefonie Kate i o tym, jak spotkał Branta na ganku pod jej domem.

- Nieprawdopodobna historia - ocenił Gallantyne.

- Wszystko, co dotyczy pani Oakley, zaprawione jest dużą dozą nieprawdopodobieństwa i braku logiki. Jest kobietą nerwową, znajdującą się pod dużą presją, zwłaszcza ostatnio.

- Dlaczego ostatnio?

- Znam dwa powody, ale może być ich więcej. Uważa, że mąż, z którym się rozwodzi, wynajął kogoś, aby ją szpiegować. A w tym tygodniu otrzymała anonimowy list, nakazujący jej lepiej zajmować się córką.

Gęste, szare brwi Gallantyne'a uniosły się. - Czytałeś ten list?

- Tak. Pani Oakley od razu przyniosła go do mojego biura. Jest dość mocno przekonana, że napisał go sam pan Oakley, aby ją podręczyć. Nie uwierzyłem jej. W ogóle nie potraktowałem sprawy poważnie. A teraz boję się, bardzo się boję, że popełniłem błąd.

- Czemu?

- Masz, sam zobacz. - Wyjął kopertę z kieszeni. Był zbulwersowany widokiem własnych, trzęsących się rąk. Zupełnie jakby ciało poczuwało się do winy, jeszcze zanim umysł zdążył to zaakceptować. - Teraz wiem, że powinienem był pokazać ci to od razu. Niby mam zwyczajowe wymówki: byłem zmęczony, znużony wymysłami Kate Oakley i tak dalej. Ale wymówki nie wystarczą. Gdybym tylko...

- Jesteś za stary na zabawę w „gdybym tylko” - przerwał mu Gallantyne, wyjmując list z koperty. - Gdy pani Oakley go dostała, był już tak złożony?

- Tak.

- No, to w każdym razie coś nowego. - Przejrzał list, mamrocząc pod nosem. - „Pani córka za bardzo naraża swoje delikatne ciało. Dzieci trzeba otaczać staranną opieką, strzec je przed niebezpieczeństwami życia, dbać, by dostawały dobre, pożywne posiłki, aby ich kości miały dobrą izolację. I ubrania. Powinna pani ubierać ją w więcej ubrań, żeby chronić

jej ręce, nogi, itd. Na miłość boską, błagam, proszę lepiej zajmować się swoją małą córeczką".

Przeczytał list znowu, tym razem po cichu, i rzucił go na stół, jakby chciał się go jak najszybciej pozbyć. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się, a na czoło zaczęły występować kropelki potu, coraz większe i większe, które, pod własnym ciężarem, spłynęły w końcu na brwi.

- Mogę tylko powiedzieć, że cholernie się cieszę, że list ten nie jest skierowany do Brantów. Na razie myślę, że mała chciała po prostu nastraszyć rodziców i dała nogę z domu. Pewnie zgarnął ją już jakiś patrol... Co się tak na mnie gapisz?

- Myślę, że ten list był skierowany do pani Brant.

- Powiedziałeś, że był skierowany do pani Oakley.

- Jessie Brant i mała Oakley, Mary Martha, są najlepszymi przyjaciółkami. Brant twierdzi, że są nierozłączne, czyli często u siebie bywają. Mary Martha jest dziewczynką wysoką jak na swój wiek, ma lekką nadwagę i we wszystkich sytuacjach woli zachowywać ostrożność. Autor lub autorka listu nie opisuje Mary Marthy. Opisuje Jessie.

- Tego nie możesz być pewny.

- Mogę być pewny dwóch rzeczy. Mary Martha jest w domu, ze swoją matką, a Jessie nie.

Gallantyne przez chwilę stał bez słowa. Wziął list, złożył go z powrotem i schował sobie do kieszeni. - Na razie nikomu o tym nie powiemy. Ani rodzicom, ani prasie, ani nikomu innemu.

Howard Arlington obudził się o świcie w pokoju motelowym. Spod półprzymkniętych powiek pokój wydał mu się taki sam jak setki innych, w których mieszkał, ale po chwili zaczął dostrzegać różnice: aktówki, którą rok temu dostał od Virginii, nie było na komodzie, tam gdzie ją zawsze kładł, a stojak na walizkę w nogach łóżka był pusty. Gdy odwrócił głowę, wykrochmalony kołnierzyk koszuli zaczął go boleśnie uwierać w szyję, co uświadomiło mu, że wciąż jest w ubraniu. Nawet krawat miał zawiązany. Poluzował go, ale wciąż czuł ucisk w gardle. Czuł się tak, jakby w nocy usiłował połknąć coś zbyt dużego i suchego, coś, co wciąż stało mu w przełyku.

Wstał i rozsunął zasłony. Do okna przywarła mgła, jak ektoplazma zagubionych dusz, szukających schronienia. Zaciągnął zasłony z powrotem i włączył lampę. Jeśli nie liczyć odcisku, jakie jego ciało zostawiło na szenilowej narzucie łóżka, pokój wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał. Szafa była pusta, popielniczki nieużywane, szklanki na komodzie - wciąż owinięte w pergamin.

Nie pamiętał, żeby się tu meldował, ale musiał przecież wpisać się do księgi gości, podać nazwisko, adres i numer rejestracyjny samochodu, musiał też zapłacić z góry, bo nie miał bagażu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była przemowa Virginii na tarasie u Brantów: „Nie mamy już niczego, co można by zaoferować dziecku... Jakim okrucieństwem byłoby przekazanie dziecku tak brzydkiego życia... Straci tę niewinność i nadzieje, i marzenia; wszystko to straci. Gdy będzie w moim wieku, tysiąc razy zdąży już pomyśleć, że wolałaby nie żyć”.

Pokłócił się z Virginią, a teraz był w motelu. Tylko tych dwóch rzeczy był pewien. Gdzie, w jakim mieście znajdował się ten motel, jak i dlaczego sam się tu znalazł - tego nie

wiedział. W swoim życiu tak często jeździł z miasta do miasta i pomieszkiwał w różnych motelach, że pewnie zadziałał automatycznie.

Zostawił klucz do pokoju na komodzie i poszedł do samochodu. Na przednim siedzeniu leżała pusta, półlitrowa butelka po whisky, a w tapicerce wypalona była dziura po papierosie, szeroka na cal. Fakt trzeci, skonstatował ponuro, byłem pijany. Włożył butelkę do schowka i odjechał.

Pierwszy mijany znak uświadomił mu kolejny fakt: wciąż znajdował się w San Felice, niedaleko nabrzeża, nie więcej niż cztery mile od domu.

Gdy zajechał pod dom, zobaczył, że w kuchni pali się światło. Virginia o tej porze zwykle jeszcze spała, więc zastanawiał się, czy zostawiła je specjalnie dla niego, czy po prostu zapomniała wyłączyć. Często jej się to zdarzało - twierdziła, że zapomniała i Howard miał podejrzenia, że po prostu boi się ciemności, ale nie chce się do tego przyznać. Ustawił wóz w garażu, obok jej auta, minął podjazd i wszedł po stopniach na tylny ganek. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Virginia siedziała przy kuchennym stole, a olbrzymi retriever leżał u jej stóp. Żadne nie poruszyło się.

- Virginio? - odezwał się Howard.

Pies otworzył oczy, zdawkowo pomachał ogonem i znowu zasnął.

- Pies przynajmniej zwykle szczeka, gdy wracam do domu - zauważył. - Nawet na tyle już nie zasługuję?

Virginia odwróciła się. Powieki miała spuchnięte, poranione od łez, a oczy zaczerwienione i otoczone siateczką zmarszczek, których nigdy wcześniej u niej nie zauważył. Mówiła nisko i beznamiętnie:

- Poszukuje cię policja.

- Policja? Dlaczego, na miłość boską, ich wzywałaś? Przecież wiedziałaś, że wrócę.

- Nie. Nie wiedziałam, ale też nie wzywałam.

- Co tu się w ogóle dzieje? Co policji do tego, że upiłem się i spędziłem noc w motelu?

- Tak właśnie było, Howardzie?

- Tak.

- Możesz to udowodnić?

- Czemu miałbym to udowadniać?

Ukryła twarz w dłoniach i znowu zaniósła się gorzkim płaczem, tak że cała zaczęła się trząść. Pies usiadł i położył jej łeb na kolanach, obserwując Howarda spod oka, jakby to jego winił za te hałasy.

Wini mnie za wszystko, pomyślał Howard, zupełnie jak ona. Z tym że teraz nawet nie wiem, za co się mnie wini. Czy po pijanemu zrobiłem coś, czego nie pamiętam? Nie mogła to być bójka. Nie mam żadnych śladów, ubranie jest całe.

- Virginio, powiedz, co się stało.

- Jessie... Jessie zniknęła.

- Gdzie zniknęła?

- Nikt nie wie. Ona... po prostu zniknęła. O dziesiątej Ellen zaniósła jej szklanekę wody i była ostatnią osobą, która ją widziała, poza... - Zamilkła, przyciskając drżące wargi wierzchem dłoni.

- Poza kim? - spytał Howard.

- Poza osobą, która pomogła jej zniknąć.

Howard wpatrywał się w nią, zdezorientowany i bezradny. Nie miał pewności, czy mówi prawdę, czy może wszystko to powstało w jej głowie. Zachowywała się wczoraj dość osobliwie, stanęła przecież w grządce dichondry i twierdziła, że jest drzewem.

Dostrzegła jego wątpliwości i zgadła, co się za nimi kryło.

- Myślisz, że zwariowałam. Cóż, chciałabym, aby tak było. Łatwiej mogłabym znieść tę straszną, straszną rzecz...

Znowu zaczęła szlochać, wciąż powtarzając imię Jessie, jakby Jessie była gdzieś w pobliżu i mogła jej odpowiedzieć.

Howard zrobił, co mógł - przyniósł jej dwie tabletki na uspokojenie i nalał wody z dzbanka, stojącego w lodówce. Zakrztusiła się tabletkami, woda wyciekła jej na stary, wełniany szlafrok. Zimna strużka przesiąkła przez materiał i zaszczypała ją w rozgrzaną skórę między piersiami. Virginia syknęła i ciasniej owinęła szyję szlafrokiem. Przestała płakać, a w jej oczach czaiło się już nie szaleństwo, a uraza.

- A więc szuka mnie policja - podjął Howard. - Dlaczego?

- Przesłuchują wszystkich, przyjaciół, sąsiadów, wszystkich, którzy ją znali... znają. Mówią, że w takich przypadkach często bywa to krewny albo zaufany przyjaciel rodziny.

- W jakich przypadkach?

Nie odpowiedziała.

- Kiedy zniknęła?

- Między dziesiątą a jedenastą. Ellen położyła ją do łóżka o dziesiątej, wzięła tabletkę na sen i poszła spać. Dave szukał ciebie. Ellen mówi, że zamknęła tylne drzwi, ale gdy wrócił Dave, były otwarte. Poszedł sprawdzić, czy Jessie śpi. Nie było jej w łóżku. Przeszukał dom, wołał ją, potem obudził Ellen. Przyszli tutaj. Szukaliśmy wszędzie, ale Jessie nie było. Ja zadzwoniłam na policję, a Dave pobiegł do domu Mary Marthy, ścieżką wzdłuż strumienia, z której dziewczynki zawsze korzystały.

- Dzieci lubią uciekać z domu.

- Zniknęło tylko to, co miała na sobie: piżama, szlafrok i kaptur. Poza tym nie miała motywu i nie miała pieniędzy.

- Miała dwadzieścia dolarów, które jej wtedy dałem.



- Faktycznie! - Oczy Virginii zapłonęły nadzieją. - Według Jessie to przecież majątek. Musimy powiedzieć...

- Nikomu nie powiemy.

- Musimy. To rzuci nowe światło na całą sprawę.

- Na mnie też - powiedział ostro. - Policja zapyta, dlaczego dałem małej te dwadzieścia dolarów. Powiem im, że byłem zły i chciałem zrobić ci przykrość. Ale czy mi uwierzą?

- Taka jest prawda.

- Oni mogą uznać inaczej.

Zdawało się, że Virginia nie rozumie, o czym on mówi. Gdy jej to wytłumaczył, wyglądała na zbulwersowaną.

- To niemożliwe, aby coś takiego przeszło im w ogóle do głowy. Nie o tobie, Howardzie.

- Dlaczego nie?

- Jesteś godnym szacunku, żonatym człowiekiem.

- Szpital Coraznada zapełniają godni szacunku, żonaci ludzie. - Wyjął chusteczkę i wytarł sobie kark. - Czy policja już cię przesłuchiwała?

- Tak. Głównie niejaki porucznik Gallantyne. Nie podobał mi się. Nawet gdy mówiłam prawdę, zachowywał się tak, jakbym kłamała. Był z nim jeszcze jeden człowiek, jakiś MacPherson. Co jakiś czas zbliżali do siebie głowy i szeptali. Czułam się przez to nieswojo.

- Co to za MacPherson?

- Dave mówił, że to prawnik.

- Czyj?

- Pani Oakley.

- A skąd tu się wzięła pani Oakley?

- Nie wiem. Przestań się nade mną znęcać, nie mogę tego znieść. Znów zdawała się na granicy wybuchu. Howard wstał, wlał wody do ekspresu i włączył go. Po chwili oświadczył: - Nie znęcam się nad tobą. Po prostu staram się dowiedzieć, co powiedziałaś policji, żebym mógł to potwierdzić. Źle by się

stało, zarówno dla mnie, jak i dla ciebie, gdyby nasze wersje sobie przeczyły.

Zimno przypatrywała mu się spod opuchniętych powiek. - W ogóle nie obchodzi cię, że Jessie zniknęła, prawda? Myślisz tylko, jak by tu ocalić własną skórę.

- I twoją.

- O moją się nie martw. Wszyscy wiedzą, jak ja kocham to dziecko.

- Niezupełnie, Virginio - powiedział cicho. - Wszyscy wiedzą, że ją kochasz, ale nie wszyscy wiedzą, jak...

Ponury nastrój przerwał nagle ekspres, w którym zaczęła wesoło bulgotać kawa. Virginia obejrzała się i zmierzyła go wzrokiem, jakby spodziewała się, że ekspres za chwilę dokona czegoś niespodziewanego i interesującego, na przykład wybuchnie.

- Dokąd pojechałeś po wyjściu od Brantów? - spytała.

- Do monopolowego, a potem jechałem wzdłuż plaży. W końcu trafiłem do motelu.

- Byłeś oczywiście sam?

- Tak, byłem sam.

- Do jakiego motelu?

- Nie pamiętam, nie zwróciłem uwagi. Ale gdybym musiał, mógłbym go znowu odszukać.

- Ellen powiedziała policji - zwróciła do niego głowę - że byłeś zazdrosny o stosunki łączące mnie z Jessie.

- Jakie to życzliwe z jej strony.

- Musiała powiedzieć prawdę. W takich okolicznościach nie możesz przecież oczekiwać, żeby kłamała, aby cię nie urazić.

- Nie o to się martwię, tylko, jak to słusznie określiłaś, o moją skórę. O czym jeszcze była wczoraj mowa?

- O wszystkim, co wczoraj zaszło; o tym, jak się pokłóciliśmy, o tym, jak dziwnie rozmawiałeś z Jessie,

zupełnie jakbyś był pijany, chociaż wypiliśmy tylko dwa piwa, o tym, jak pognałeś dokądś samochodem i Dave usiłował cię bez skutku odnaleźć.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jakich to lojalnych mam przyjaciół. Ich racje zupełnie do mnie trafiają - dodał sucho. - A ja, z kolei, trafię dzięki nim za kratki. Może o to w ogóle chodziło?

- Niczego nie rozumiesz. Byliśmy zmuszeni przedstawić całą prawdę, jaka by nie była. Może tu chodzić o życie dziecka. Gallantyne twierdzi, że każdy, nawet najmniejszy szczegół ma znaczenie. Musieliśmy mu powtarzać wszystko aż do znudzenia. Nie mogłam skłamać, żeby cię chronić, nawet gdybym chciała.

- Czyli sugerujesz, że niespecjalnie ci na tym zależało? Patrzyła na niego z niedowierzaniem, z półotwartymi ustami. -

Do ciebie to cały czas nie dociera? Zaginęło dziecko, dziewięcioletnia dziewczynka. Może nie żyje, a ciebie to wcale nie obchodzi. Czy ty nic nie czujesz?

- Czuję. Czuję, że ktoś usiłuje zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

Między czwartą a siódmą rano Ellen Brant spała niespokojnie przy telefonie, na kanapie w salonie. Z sześć razy śniło jej się, że telefon dzwoni, za każdym razem budziła się, żeby podnieść słuchawkę. W końcu wstała, przemyła twarz, przyczesła włosy, a na dzinsy i T - shirt wciągnęła jeszcze gruby wełniany płaszcz. Potem poszła do sypialni, sprawdzić, czy Dave już nie śpi i czy w razie czego usłyszy telefon.

Leżał na plecach i wpatrywał się w sufit. Przewrócił się na bok i spojrzał na nią, a pytanie, które miał w oczach, zamarło mu na ustach. - Oczywiście żadnych wieści?

- Żadnych. Idę do Oakleyów. Chcę zadać Mary Marcie kilka pytań.

- Zrobi to porucznik.

- Może łatwiej jej będzie rozmawiać ze mną. Ona i jej matka w obecności nieznanym drętwieją.

- Jak jest na dworze?

- Zimno i mgliście.

Wiedziała, że myśli o tym samym co ona, że może gdzieś w tej zimnej mgle wędruje Jessie, ubrana tylko w piżamę i bawełniany szlafrok. Przygryzając mocno dolną wargę, żeby się znów nie rozplakać, poszła do garażu i wsiadła do starego dodge'a kombi. Pod przednimi siedzeniami wciąż leżał piasek z wczorajszej wycieczki na plażę. Zdawało się to tak dawno temu, w zupełnie innym mieście, gdzieś, gdzie świeciło słońce, cicho pluskały fale, a piasek był miękki i gorący. Przeczynała, że tamtego miasta nie ujrzy już nigdy.

Wyjechała tyłem z garażu, a gorące łzy ciekły jej po policzkach. Gdy ściekały na szyję, były już zimne. Ze złością wytarła je rękawem płaszcza. Przy Mary Marcie nie mogła sobie pozwolić na płacz, mógłby ją przestraszyć i sprawić, że zamilknie albo, co gorsza, zacznie kłamać. Wiele razy widziała Mary Marthę po jakiejś domowej awanturze. Efekt był zawsze ten sam - niewidzące oczy, beznamiętny głos: nie, nic się nie stało, nie, wszystko w porządku.

Mary Martha sama otworzyła drzwi, najpierw tylko na tyle, na ile pozwalał łańcuch. Poznawszy Ellen, odpięła łańcuch i otworzyła je na całą szerokość. Mimo wczesnej godziny ubrana była tak, jakby wychodziła do miasta - w różową sukienkę z haftem i czyste sandały. Kucyk był tak porządny i ciasny, że aż unosił jej lekko brwi. Wydawała się lekko zaskoczona, jakby spodziewała się kogoś innego.

- Jeśli przyszła pani do mamy - powiedziała - to właśnie robi w kuchni śniadanie.

- Wolałabym porozmawiać tylko z tobą, Mary Martho.

- Lepiej spytam, czy mama mi pozwoli. Jest dzisiaj jakaś taka zdenerwowana, nie wiem czemu. Ale muszę uważać.

- Nic ci nie powiedziała?

- Tylko że przychodzi Mac i jakiś żołnierz i mamy wszyscy uciąć sobie pogawędkę.

- Żołnierz?

- Porucznik. Tak mam się do niego zwracać, żeby zrobić dobre wrażenie. - Spojrzała w dół, na swoją sukienkę, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż jest wystarczająco czysta, aby robić dobre wrażenie. - Chce pani wejść?

- Tak.

- No dobrze.

Zamykała właśnie drzwi, gdy z kuchni doleciał głos Kate Oakley: - Mary Martho, powiedz Macowi, że zaraz przyjdę.

- To nie Mac. To mama Jessie.

- Mama...? - W drugim końcu korytarza pojawiła się Kate Oakley. Ruszyła szybko w ich kierunku, jej obcasy stukały o linoleum jak dwa niesynchronizowane ze sobą zegarki, usiłujące się nawzajem dogonić. Na twarzy miała mocny makijaż, ale szarość zmęczenia prześwitywała spod bieli i różu. Otoczyła Mary Marthę ramieniem. - Lepiej idź i włóż bekon do piecyka, kochanie.

- Co z tego, że wystygnie - oznajmiła Mary Martha. - Ciepły czy zimny, smakuje tak samo.

- Przy gościach nie zachowujemy się niegrzecznie, jagniątko. Umówiliśmy się, prawda?

- Tak, mam.

- No to zmykaj.

Mary Martha skierowała się w stronę kuchni.

- Ale ja chciałam z nią porozmawiać - rzuciła desperacko Ellen. - Muszę. Ona może coś wiedzieć.

- Nic nie wie. To tylko dziecko.

- Jessie to też tylko dziecko.

- Przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale Mary Martha ma z nikim nie rozmawiać, dopóki nie zjawi się tu nasz prawnik.

- A więc nie powiedziała jej pani o Jessie?
- Nie chciałam jej martwić.
- Trzeba jej powiedzieć. Może będzie w stanie pomóc. Może kogoś widziała, słyszała coś. Skąd mamy to wiedzieć, jeśli jej nie spytamy?
- Spyta ją Mac. On lepiej radzi sobie z takimi... takimi sytuacjami. Lepiej niż ja czy pani.
- A więc to dla pani wyłącznie sytuacja, z którą trzeba sobie poradzić?

Kate pokręciła bezradnie głową.

- Nie ma znaczenia, co pani teraz powiem, bo jest pani pogrążona w rozpacz. Dalsza rozmowa nie ma sensu. Muszę poprosić, żeby pani już wyszła. - Otworzyła ciężkie, dębowe drzwi. - Naprawdę przykro mi, pani Brant, ale sądzę, że postępuję właściwie. Mac porozmawia z Mary Martha. W jego towarzystwie czuje się swobodniej niż w moim albo pani.

- Nawet jeśli jest z nim policjant?
- Ona to pani powiedziała?
- Sama się domyśliłam.
- Cóż, to bez znaczenia. Mary Martha uwielbia Maca i nie boi się policjantów.

Ale jej ostatnie słowo zwinęło się w znak zapytania, a gdy Ellen odwróciła się, żeby spojrzeć na nią z ostatniego schodka, Kate trzymała drzwi tak kurczowo, jakby szukała w nich oparcia.

Po śniadaniu Mary Martha usiadła na parapecie w pokoju dziennym, z kotem Puddingiem na kolanach. Nie wolno jej było ubrudzić rąk ani pognieść sukienki, ale kot dodawał jej otuchy, której tak potrzebowała. Jego ciepłe ciało, miękkie futerko i oczy, które zdawały się tyle wiedzieć, ale niczym się nie przejmować, niosły ukojenie.

Wkrótce ujrzała, jak Mac i porucznik wyłaniają się z mgły i wstępują na schodki. Słyszała, jak mama rozmawia z nimi w

przedpokoju, na początku tym niskim, ostrożnym głosem, którym zawsze posługiwała się w rozmowach z nieznanymi, a potem wyższym, bardziej swobodnym i naturalnym. Brzmiało to tak, jakby protestowała i kłóciła się, ale w końcu ustąpiła. Po chwili obaj mężczyźni weszli do pokoju sami, a Mac zamknął drzwi.

- Dzień dobry, Mary Martho - zaczął Mac. - To jest porucznik Gallantyne.

Mary Martha wstała i wykonała krótki, elegancki dyg, z kotem wciąż w objęciach.

Gallantyne skłonił się poważnie. - Masz pięknego kota, Mary Martho. Jak się wabi?

- Pudding. Ale ma też inne imiona.

- Naprawdę? Jakie?

- Czasem Geronimo. Albo Król Artur. Ale gdy jest niegrzeczny i złapie jakiegoś ptaka, nazywam go Sheridanem.

- Przełożyła kota z lewego ramienia na prawe. Przestał mruścić i zamachnął się, usiłując dosięgnąć łapą do jej kitki. - Ma pan jakieś medale?

Gallantyne podniósł krzaczaste brwi. - Jeśli dobrze pamiętam, jak byłem chłopcem, wygrałem sporo zawodów pływackich.

- Chodzi mi o prawdziwe medale, takie za zabicie stu nieprzyjaciół.

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia. Jakby obaj pomyśleli to samo - że czasy, kiedy dostawało się medale za zabijanie, wydawały się tak odległe.

- Porucznik Gallantyne nie jest w wojsku - powiedział Mac. - Jest policjantem. Jest też moim dobrym znajomym, nie musisz się więc go obawiać.

- Nie obawiam się. Ale dlaczego chciał się zobaczyć ze mną, a nie z moją mamą?

- Z twoją mamą porozmawia później. Teraz ty jesteś ważniejsza. Sprawiała wrażenie zadowolonej, ale i nieufnej. - Dlaczego?

- Mamy nadzieję - oświadczył Gallantyne - że pomożesz nam odnaleźć twoją przyjaciółkę Jessie.

- Schowała się?

- Nie jesteśmy pewni.

- Ona świetnie potrafi się chować. Jest taka chuda, że może się wszędzie wcisnąć.

- Ty i Jessie dużo się razem bawicie?

- Cały czas, chyba że któraś z nas ma akurat szlaban.

- I powierzacie sobie różne tajemnice?

- Tak, proszę pana.

- Obiecujecie sobie, że nikomu innemu nie zdradzicie tych tajemnic?

Mary Martha pokiwała głową i oznajmiła stanowczo: - I ja ich nie zdradzę, bo przysięgam z ręką na sercu.

- O, jestem pewny, że znakomicie potrafisz dochować tajemnicy - odrzekł Gallantyne. - Ale chciałbym, żebyś coś sobie teraz wyobraziła. Wyobraź sobie, Mary Martho, że jesteś w jakimś niebezpieczeństwie, w miejscu, o którym wiecie tylko wy dwie, ty i Jessie. Jesteś przerażona i głodna, boli cię coś i strasznie pragniesz, żeby cię ktoś uratował. Czy w takiej sytuacji zwolniłabyś Jessie z przysięgi, że zachowa to miejsce w tajemnicy?

- Pewnie tak, ale takiego miejsca nie ma.

- Ale macie inne tajemnice...

- Tak.

Gallantyne patrzył na nią bardzo poważnie. - Myślę, że gdyby Jessie mogła się teraz z tobą skontaktować, zwolniłaby cię z wszystkich obietnic.

- A dlaczego nie może się sko... skontaktować?



- Od dziesiątej wczoraj wieczorem nikt jej nie widział. Nie wiemy, gdzie jest i dlaczego wyszła z domu, i czy wyszła sama, czy z kimś.

W nagłym przypiływie strachu Mary Martha ścisnęła kota jeszcze mocniej. Miauknął donośnie, wysunął pazury, usiłując wyswobodzić się z uścisku, i czmychnął na podłogę. Dziewczynka stała, blada i sztywna, przyciskając ręką podrapane ramię.

- Podrapał mnie - powiedziała wstrząśnięta. - Sheridan mnie podrapał.

- Na pewno nie specjalnie.

- On zawsze robi to specjalnie. Nienawidzę go.

- Możesz płakać, jeśli masz ochotę - zasugerował Gallantyne. - To może ci pomóc.

- Me.

- Dobrze więc, idziemy dalej. W porządku?

- Chyba tak.

- Rozmawialiście czasem o wspólnej ucieczce, tylko ty i Jessie? Może tylko w żartach, na przykład: „Ucieknijmy i wstąpmy do cyrku”.

- To by było głupie - prychnęła z pogardą. - Żaden cyrk tutaj nie przyjeżdża.

- Czasy się zmieniły, odkąd byłem chłopcem. Gdy wściekałem się na rodzinę, życie umilała mi tylko myśl o ucieczce i dołączeniu do trupy cyrkowej... A Jessie często wściekała się na swoją rodzinę?

- Czasami. Głównie na Mike'a, swojego starszego brata. Strasznie nią rządzi, jest dla niej okropny. Sądzymy, że jakaś zła wiedźma rzuciła urok na jego kołyskę.

- Naprawdę? Jaki urok?

- Nie wiem dokładnie jaki. Ale sama wymyśliłam taki, który mógłby zadziałać.

- Powiedz.

- Hokus - pokus / I jad kobry / Mike, gdy dorośnie /  
Będzie niedobry... Trzeba go wypowiadać bardziej  
niesamowitym głosem, ale teraz nie mam ochoty.

Gallantyne zacisnął wargi i pokiwał głową. - I tak brzmi  
bardzo poważnie. Znasz jeszcze jakieś?

- Hokus - pokus / Stara musztarda / Wszyscy nie cierpią /  
Wujka Howarda... Ale ten - dodała z obawą - nie jest już  
chyba taki dobry, prawda?

- No cóż, to raczej nie urok, tylko stwierdzenie faktu.  
Wszyscy nie cierpią wujka Howarda, kropka. A przy okazji,  
kto to wujek Howard?

- Pan Arlington.

- A dlaczego tak go nie cierpisz, Mary Martho?

- To nie ja. Rozmawiałam z nim tylko raz, i był naprawdę  
miły. Dał mi pięćdziesiąt centów.

- Więc czemu wymyśliłaś na niego ten urok?

- Jessie mnie o to prosiła. Miałyśmy wykląć wszystkich  
ludzi, których nie cierpimy, i ona chciała zacząć od wujka...  
od pana Arlingtona.

- A kto był następny na liście?

- Nikt. I tak nam się to już znudziło i mama przyjechała  
mnie odebrać.

- Zastanawiam się - powiedział cicho Gallantyne -  
dlaczego Jessie nie lubi pana Arlingtona. Może ty masz jakiś  
pomysł?

- Nie, proszę pana. Wtedy powiedziała mi o tym po raz  
pierwszy, jak byłyśmy z Mikiem na placu zabaw.

- Kiedy to było?

- Wtedy, gdy pojechałyśmy z mamą do miasta, do biura  
Maca.

- Czyli w czwartek - policzył Mac.

Gallantyne podziękował mu kiwnięciem głowy i znowu skupił całą uwagę na Mary Marcie. - Przed tym czwartkiem myślałaś, że Jessie i Arlingtonowie są dobrymi przyjaciółmi?

- Tak, bo Arlingtonowie zawsze dają jej prezenty i robią wokół niej mnóstwo hałasu.

- Obydwoje?

- No... - Mary Martha zaczęła przypatrywać się czubkom butów. - No, chyba głównie ciocia Virginia, bo jego często nie ma w domu. Ale aż do czwartku Jessie nigdy na niego nie narzekała.

- Załóżmy, że stało się coś, może w czwartek, co zmieniło zdanie Jessie o panu Arlingtonie. Widziałaś się z Jessie w czwartek?

- Tak, poszłam do niej i siedziałyśmy na schodkach przed domem, i rozmawiałyśmy.

- O czym?

- O różnych sprawach.

- Na przykład?

- O książce, którą podarowała jej ciocia Virginia. Taką o lodowcach, górach, rzekach i dzikich zwierzętach. Wydawała się naprawdę ciekawa, tyle tylko, że Jessie musiała ją oddać, bo była za droga, więc rodzice Jessie nie pozwolili jej zatrzymać tej książki. Moja mama - dodała z wyższością - też niczego nie pozwala mi zatrzymać. Gdy Sheridan przysyła mi paczki, nawet nie mogę zajrzeć do środka. Od razu je odsyła albo wyrzuca, łup, do kosza na śmieci.

Gallantyne spojrział na kota. - Jak rozumiem, mówisz o jakimś innym Sheridanie.

- Koty nie wysyłają paczek - zachichotała. - To przecież śmieszne. Nie mają pieniędzy i nie mogą nic zapakować ani napisać z boku nazwiska i adresu.

Gallantyne pomyślał niechętnie o anonimowym liście. Nie spał całą noc, najpierw siedział u Brantów i Arlingtonów,

potem w policyjnym laboratorium, badając list. Teraz był pewny, że list napisał mężczyzna, młody, wykształcony, w dobrej formie fizycznej. Opis ten pasował do setek mężczyzn w mieście. Fakt, że Howard Arlington również do nich należał, nic na razie nie znaczył.

- Mary Martho, słyszałem, że ty i Jessie dużo czasu spędzacie na szkolnym boisku i placu zabaw - powiedział.

- Tak. Bo tam są różne gry i huśtawki, i drabinki.

- A nie zauważyłaś, żeby ktoś was tam obserwował?

- Trener. To jego praca.

- Oprócz trenera, nie zauważyłaś, żeby ktoś się kręcił w pobliżu? Albo może widziałaś samochód, który kilka dni pod rząd parkował w tym samym miejscu?

- Nie. - Mary Martha ze znużeniem pokręciła głową. - Mama mówiła mi o takich mężczyznach. Są naprawdę źli i jak tylko takiego zobaczę, muszę natychmiast pobiec do domu. Jessie też. Ona bardzo szybko biega.

Może jednak za wolno, pomyślał ponuro Gallantyne.

- A jak rozpoznać takiego człowieka?

- No, częstują gumą albo cukierkami, mogą nawet dać ci lalkę. Albo zaproponować podwiezienie samochodem.

- I nic takiego nie przytrafiło się nigdy ani tobie, ani Jessie?

- Nie. Widziałyśmy raz pana, który wyglądał na naprawdę złego, ale to był tylko tata Timmy'ego i był zły, bo Timmy nie poszedł do dentysty. A Timmy nosi aparat.

Kącik ust Gallantyne'a zadrżał niecierpliwie. A więc Timmy nosi aparat i ma ojca, który wygląda na złego, a ja jeszcze niczego się nie dowiedziałem.

- Ty znasz historię o Tomku Sawyerze?

- Pani w szkole nam opowiadała.

- Może pamiętasz, że tam kryjówką była jaskinia. Czy ty i Jessie macie coś takiego? Może niekoniecznie jaskinię, ale

jakieś wyjątkowe, sekretne miejsce, w którym się spotykacie albo zostawiacie sobie liściki i tak dalej?

- Nie.

- Zastanów się. Ja i jeszcze wielu innych ludzi całą noc szukaliśmy Jessie.

- Nie schowałyby się na całą noc - Mary Martha zamyśliła się. - Chyba że wzięłyby ze sobą kanapki i chipsy.

- Nie ma dowodów, że je wzięła.

- A więc nie schowała się. Byłaby zbyt głodna. Jej tata mówi, że powinien dostać podwójne zwolnienie podatkowe, bo ona tyle je. Co to jest zwolnienie podatkowe?

- Wkrótce się dowiesz. - Gallantyne odwrócił się do Maca, który stał pod drzwiami, jakby bronił ich przed nagłym wtargnięciem Kate Oakley. - Masz do niej jeszcze jakieś pytania?

- Jedno czy dwa. O której poszłaś wczoraj spać?

- Koło ósmej.

- To dość wczesna pora, jak na wakacje. Nie chciałaś korzystać z dnia i światła?

- Mama i ja lubimy wcześniej chodzić spać i wcześniej wstawać. Ona nie lubi... my nie lubimy nocy.

- Od razu zasnęłaś?

- Pewnie tak. Nie pamiętam, abym robiła coś innego.

- To logiczna konkluzja - Mac uśmiechnął się kpiąco. - Wstawałaś w nocy?

- Nie.

- Nawet do łazienki?

- Nie, ale o takich rzeczach nie mówi się przy obcych - oświadczyła surowo.

- Porucznik Gallantyne to mój przyjaciel.

- Ale nie mój i mamy.

- Zobaczymy, czy będziemy w stanie to zmienić. Poproś tu swoją mamę, dobrze?

- Tak, proszę pana. Tylko... niech pan jej tu za długo nie trzyma.

- Czemu nie?

- Bo może zacząć płakać, a od płakania boli ją głowa.

- A na to nie możemy pozwolić, prawda?

- Nie, proszę pana. - Mary Martha znowu dygnęła sztywno, wzięła kota i wyszła.

- Co za dziwne dziecko - stwierdził Gallantyne. - Zawsze taka jest?

- Przy dorosłych. Nigdy nie widziałem jej w towarzystwie dzieci.

- Dziwne. Odniosłem wrażenie, że jesteś przyjacielem rodziny, i to od dawna.

- Jestem przyjacielem rodziny, gdy się im nie powodzi - odparł sucho. - Gdy wszystko jest dobrze, jestem raczej wrogiem rodziny.

- A tak w ogóle, to dlaczego chciałeś tu ze mną przyjechać?

- Och, powiedzmy, że po prostu jestem ciekawy.

- Powiedzmy, że nie tylko...

- No dobrze. Kate Oakley to bardzo trudna i wrażliwa kobieta. Jest trudna, więc nie potrafi prosić o pomoc ani przyjąć jej jak normalna wrażliwa osoba. Chciałem zapewnić jej wsparcie moralne. Czasami mogę ją skrytykować albo urządzić jej scenę, ale mam dla niej wiele sympatii.

- Ile konkretnie?

- Jest ode mnie dwadzieścia lat młodsza. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

- Nie do końca.

- A więc wytłumaczę ci jak krowie na rowie. Ja i Kate Oakley nie mamy sekretnego romansu. Byłem prawnikiem jej ojca, gdy żył, a gdy zmarł, zarządzałem jego majątkiem, lub

raczej jego brakiem. Oficjalnie jestem ojcem chrzestnym Mary Marthy, a nieoficjalnie pewnie i Kate. Ot, cała historia.

- Ta historia jeszcze się nie skończyła - zauważył ostrożnie Gallantyne. - Chyba nie jesteś na tyle naiwny, żeby wierzyć, że sami piszemy swoje zakończenia.

- Możemy je trochę podredagować.

- Nie oszukuj się.

Mac chciał kłócić się dalej, ale usłyszał w przedpokoju kroki Kate. Zastanawiał się, jak zareagowałyby na insynuacje Gallantyne'a - szokiem, niezadowoleniem, a może nawet rozbawieniem. Nigdy nie wiedział, co ona tak naprawdę myśli. Gdy tryskała humorem, wyczuwał w niej smutek, a gdy pogrążała się w rozpacz, czuł, że udaje. Wszystko w niej zdawało się ukryte, jakby w którymś momencie życia postanowiła zejść do podziemi, gdzie będzie bezpieczna.

Pomyślał o dzikich stworzeniach, zamieszkujących kanion za jego domem. Lisy, szopy, oposy, wiewiórki, wszystkie można było wywabić z zimowych kryjówek obietnicą jedzenia i gorącego, wiosennego słońca. Dla Kate nie było słońca, jej głodu nie zaspokoiłoby jedzenie. Obserwował ją, gdy weszła do pokoju, myśląc: Czego ty chcesz, Kate? Powiedz, czego chcesz, a dam ci to, jeśli tylko będę mógł.

Stała niepewnie w drzwiach, jakby rozważała, jak się zachować.

Zanim zdążyła się zdecydować, Gallantyne przemówił do niej cichym, pewnym głosem: - Proszę usiąść, pani Oakley. Mamy nadzieję, że nam pani pomoże.

- Też mam taką nadzieję. Darzyłam... darzę Jessie wielką sympatią. Jeśli coś jej się stało, dla Mary Marthy będzie to straszny cios. Myśli pan, że to mogło być porwanie?

- Nie mamy na to dowodów. Brantom nie powodzi się najlepiej, nie dostali żądania okupu. Jesteśmy prawie pewni, że Jessie opuściła dom z własnej woli.

- Jak można być tego pewnym?

- Sypialnia Jessie nie nosi śladów walki, pies Arlingtonów nie czekał, a na pewno czekałby, gdyby poczuł kogoś obcego, i tylne wejście do domu było otwarte. Zamontowano tam nowy typ zamka, wbudowany w klamkę, gdy naciśnie się klamkę, drzwi się zamykają, gdy się ją pociągnie - otwierają. Sądzymy, że gdy Jessie wychodziła, zostawiła je otwarte, umyślnie lub nie. Moim zdaniem umyślnie, bo zamierzała wrócić. Coś jej w tym przeszkodziło. Lub ktoś.

Przerwał, żeby zapalić papierosa, otulając zapałkę dłonią, jakby znajdował się na dworze i wiał silny wiatr.

- Zakładamy więc, że wyszła z domu z własnej woli, z powodu, jakiego jeszcze nie znamy. Dwa najbardziej prawdopodobne miejsca, do których mogła się udać, to dom Arlingtonów i pani. Pani Arlington twierdzi, że jej nie widziała, i pani twierdzi tak samo.

- Oczywiście, że jej nie widziałam - odparła sztywno Kate. - Natychmiast zadzwoniłabym do jej matki.

- Chciałbym teraz, żeby rozważyła pani możliwość, że dostała się tu bez pani wiedzy, schowała się gdzieś i zasnęła.

- Nie ma takiej możliwości.

- Wydaje się pani zupełnie o tym przekonana.

- Jestem. Ten dom jest Sheridanoodporny. Mój były mąż nabrał zwyczaju włamywania się tu w czasie mojej nieobecności i wynoszenia wszystkiego, co mu tylko wpadło w oko - mógł to być alkohol, meble, srebra, znowu jakiś alkohol... Na wszystkich drzwiach i oknach zainstalowałam więc specjalne zamki. Gdy wieczorem kładę się spać, sprawdzam, czy są zamknięte. Przegapienie choć jednego mogłoby kosztować mnie życie.

- Jessie oczywiście wie o tych zamkach?

- Tak. Pytała mnie o nie. Dziwiła się, że dom musi być zabezpieczony przed wtargnięciem męża i ojca... Dlatego też,



panie poruczniku, bez mojej wiedzy i zgody Jessie nigdy by się tu nie dostała.

A więc zostają Arlingtonowie, pomyślał, albo ktoś z ulicy, ktoś, kto znajdował się gdzieś między domem Arlingtonów a Oakleyów.

- Czy pani zdaniem Jessie jest nieśmiała?
- Nie. Jest... raczej bezpośrednia i otwarta.
- Wobec nieznajomych też?
- Wobec wszystkich.
- Czy ostatnio kręcili się tu jacyś nieznajomi?

Rzuciła Macowi krótkie, pytające spojrzenie. Kiwnął głową na znak, że powiedział już Gallantynie'owi o mężczyźnie w zielonym coupe.

- Tak - odparła - ale nigdy nie łączyłam go z Jessie ani z Mary Martha.

- Może niczego nie planował, po prostu czekał. A gdy Jessie wyszła z domu sama, dała mu to, na co czekał - okazję.

Na szyję wystąpił jej nagły rumieniec, z początku wielkości dziesięciocentówki, zaczął po chwili pełznąć w kierunku uszu i dekoltu sukienki. Niczym trująca, czerwona farba, po całym jej ciele rozchodziła się świadomość losu, jaki mógł spotkać Jessie.

- To równie dobrze mogłaby być Mary Martha, a nie Jessie. To chce mi pan uzmysłowić?

- Proszę o tym pomyśleć.

- Nie. To nie do pomyślenia. Mary Martha bez mojego pozwolenia nie wyszłaby z domu i na pewno nie wsiadłaby z obcym mężczyzną do samochodu.

- Dziecku, które jest samotne i chciałoby obdarzyć kogoś uczuciem, można wiele zaoferować. Na przykład szczeniaka albo kotka...

- Nie, nie! - Ale nie przekonał jej nawet dźwięk własnych Mzyków protestu. Wiedziała, że porucznik ma rację.

Wiedziała, że zaledwie kilka wieczorów temu Mary Martha wyszła z domu bez pozwolenia. Pobiegnęła do Jessie, korzystając ze skrótu przez strumień. A gdyby wyszła wtedy frontowymi drzwiami, jak to jej się często zdarzało... Tamten osobnik stał po drugiej stronie ulicy dokładnie w tym momencie... - Nie, nie - powtórzyła. - Nauczyłam Mary Marthę, że mężczyznom nie można ufać, nie można im wierzyć, ja sama dowiedziałam się tego po latach cierpień. To kłamcy, oszuści i dręczyciele. Mary Martha już to wie. Nie będzie musiała przekonywać się o tym na własnej skórze, jak Jessie...

- Cicho już, Kate - ostrzegł Mac. - Porucznik jest zbyt zmęczony, aby od rana wysłuchiwać twoich teorii.

Nawet nie spojrzała w jego stronę. - Biedna Jessie, biedne, niedoinformowane dziecko, wpatrzone w ojca jak w obraz. Wierzyła mu, a ta jej głupia matka jeszcze ją w tym umacniała, choć musiała wiedzieć, co się święci.

Gallantyne podniósł brwi. - A co się święci, pani Oakley?

- Całe mnóstwo.

- A kogo to dotyczy?

- Muszę cię ostrzec, Kate - przerwał Mac - żebyś nie powiedziała czegoś, czego nie będziesz w stanie udowodnić.

- Innymi słowy, mam się zamknąć?

- Dopóki nie rozmówisz się ze swoim prawnikiem.

- Mój prawnik potrafi tylko kazać mi się zamknąć.

- Plotki nie rozwiążą tej sprawy.

- Nie, ale mogą pomóc - zauważył łagodnie Gallantyne. - Chciała pani powiedzieć mi coś o ojcu Jessie.

Kate wodziła wzrokiem od Gallantyne'a do Maca, jakby usiłowała zdecydować się, który z nich stanowi mniejsze zło. - To żadna nowość. Datuje się to od czasów Adama. Brant to mężczyzna, więc korzysta z przywileju, jakim jest zdradzanie żony i pozbawianie prawowitych dzieci praw do spadku. O,

znakomicie udaje, prawie tak dobrze jak Sheridan, gdy ten utrzymuje, że kocha Mary Marthę.

- Sugeruje pani, że Brant ma romans z jakąś kobietą?

- Tak.

- Z kim?

- Z Virginią Arlington.

Przypatrywali się jej obaj, Mac z wysiłkiem, Gallantyne z chłodnym niedowierzaniem.

- To prawda - dodała, zaciskając pięści. - Nie mogę tego udowodnić, nie dysponuję ich wspólnymi zdjęciami. Ale to niezbity fakt.

- Fakty, pani Oaldehy, to często przypuszczenia, którym dajemy wiarę.

- Nie mam nic przeciwko pani Arlington, nie mam powodów, dla których mogłabym dawać wiarę jakimś oszczerstwom na jej temat. Prawdopodobnie jest taką samą ofiarą jak ja, oszukaną przez mężczyznę, zwiedzioną jego obietnicami. O, powinien pan usłyszeć Sheridana u szczytu swoich obietnic... Ale pan pewnie wie o tym wszystko, poruczniku. Założę się, że sam pan złożył niejedną obietnicę.

- Owszem, zdarzało się.

- I dotrzymał ich pan?

- Niektórych nie.

- To czyni z pana kłamcę, nieprawdaż, poruczniku? Nie lepszego niż cała reszta...

- Kate, proszę cię, bądź już cicho - przerwał jej Mac. - W niczym ci to nie pomoże, Jessie też nie.

Położył dłoń na ramieniu Gallantyne'a i przeszli obaj w drugi koniec pokoju, rozmawiając ze sobą szeptem. Nie mogła rozróżnić poszczególnych słów, ale była pewna, że mówią o niej.

Gallantyne podniósł w końcu głos: - Pani Oakley, muszę prosić, aby nikomu nie wspominała pani o Charliem Gowenie.

- O Charliem Gowenie? Nawet nie wiem, kto...

- Mężczyzna w zielonym coupe. Proszę nikomu o nim nie mówić, ani przyjaciółom, ani rodzinie, ani reporterom, ani innym policjantom. Jeśli o panią chodzi, Charlie Gowen nie istnieje.

Gdy o wpół do szóstej wieczorem Charlie wrócił do domu, był tak wykończony, że ledwo wyszedł z samochodu i ostatkiem sił przemierzył trawnik, dzielący podjazd i budynek. Cały dzień harował, w nadziei że szef, pan Warner, zauważy to i doceni. Charlie wyjątkowo potrzebował aprobaty pana Warnera, bo Ben był na niego zły, że wczorajszej nocy za długo nie wracał do domu. Wiedział, że pan Warner i Ben to dwaj zupełnie różni ludzie i uznanie jednego nie oznaczała automatycznie akceptacji u drugiego, ale nie zaszkodziło spróbować. W myślach zawsze liczył się z nimi tak samo, a w snach często wymieniali się twarzami.

Wstępując na schody, schylił się, żeby podnieść wieczorny dziennik. Leżał pod fikusem, złożony i ściśnięty gumką, tak że Charlie mógł przeczytać tylko środkową część wielkiego nagłówka: OŚ WIDZIAŁ TĘ.

Charlie zazwyczaj wstrzymywał się z lekturą dziennika, dopóki nie przeczytał go Ben, bo Ben lubił pierwszy wszystkiego się dowiadywać i przekazywać to Charliemu. Ale dziś się nie wahał. Rozerwał gumkę i rozłożył gazetę. Uśmiechała się do niego twarz Jessie. Nie była taka jak ostatnim razem, gdy ją widział, wstrząśnięta i przerażona, ale miała na sobie te same ubrania - biały szlafrok zarzucony na piżamę.

Nagłówek głosił: CZY KTOŚ WIDZIAŁ TĘ DZIEWCZYNKĘ? - a pod zdjęciem było wyjaśnienie: „To fotomontaż; zdjęcie twarzy Jessie Brant nałożono na inne, przedstawiające dziecko podobnej postury i wieku, w stroju, jaki zniknął z szafy Jessie. Dziennik wyznaczył nagrodę w wysokości 1000 dolarów za informacje mogące przyczynić się do ustalenia miejsca pobytu Jessie Brant”.

Charlie stał i długo patrzył na dziewczynkę, pół - nieznajomą, pół - Jessie. Potem odwrócił się i ruszył na oślep

w górę, gazetę kurczowo przyciskając do piersi, jakby chciał ukryć przed sąsiadami starą ranę, która znowu puściła i zaczęła krwawić. W zaciśniętym pokoju, przy zamkniętych drzwiach i zaciągniętych roletach, przeczytał artykuł o zniknięciu Jessie. Zaczynał się od opisu Jessie; jej ojca, technika w firmie elektronicznej; jej brata, Michaela, który dowiedział się o wszystkim dopiero, gdy kuter straży wodnej odnalazł jego łódź rybacką; i jej matki, ostatniej osoby, która widziała Jessie o dziesiątej.

Oficjalne oświadczenie policji, wydane przez porucznika D.W. Gallantyne'a, brzmiało: „Dowody, jakimi na razie dysponujemy, wskazują, że Jessie opuściła dom z własnej woli, korzystając z tylnych drzwi, których nie zamknęła, aby móc wrócić do domu. Kto, lub też jaki splot wydarzeń, uniemożliwił jej powrót? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie zwracamy się do Państwa. Jest bardzo prawdopodobne, że ktoś widział, jak wychodzi z domu albo idzie ulicą, i może dostarczyć nam informacji, w jakim kierunku zmierzała i czy była sama. Wszystkich, którzy ją widzieli, prosimy o niezwłoczny kontakt. Do prośby tej przyłączają się pogrążeni w bólu rodzice Jessie”.

W pokoju panował półmrok. Mrużąc oczy, aby lepiej widzieć, Charlie jeszcze raz przeczytał oświadczenie Gallantyne'a. To było nie tak, zupełnie nie tak, wiedział, że policja się myli. Ktoś powinien powiedzieć o tym temu porucznikowi, ktoś powinien wyprowadzić go z błędu.

Położył się na łóżku, wciąż przyciskając gazetę do piersi. Tykanie budzika nagle wydało mu się wyjątkowo głośne i wyraźne. Miał ten budzik jeszcze z czasów college'u. Myślał o nim jak o starym przyjacielu; jego głos był ostatnim, jaki słyszał wieczorem, i pierwszym rano: tik tak, tik tak, tik tak. Teraz jednak głos ten brzmiał inaczej, nie był już tak przyjazny ani podnoszący na duchu.

Zbereźnik zbereźnik, zbereźnik chorak, zbereźnik chorak.

- Wcale nie - wyszeptał. - Nie jestem taki. Nie tknąłem jej. Zbereźnik chorak, wabik na znak, trybik już wrak, zbereźnik zbereźnik, wynik na wspak, wynik na wspak, wynik na wspak.

Charlie? Jesteś tam? - zawołał Ben. Gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, nacisnął na klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. - Charlie, posłuchaj, już się na ciebie nie gniewam. Wiem, że jesteś teraz dorosły i jeśli późno wracasz do domu, to nic mi, cholera, do tego. Nie jest tak?

- Jest.

- Muszę przestać traktować cię jak młodszego brata, co wciąż ma mleko pod nosem. Tak mówi Louise, i, kurczę, ma dziewczyna rację, prawda?

- Chyba tak.

- Niedługo tu przyjedzie. Lepiej żeby nie zastała cię nadaś... nieprzygotowanego.

- Przygotowuję się.

- Dobrze. A przy okazji, nie mogłem znaleźć Dziennika. Ty go tam masz?

- Nie.

- Pewnie gazeciarz o nas zapomniał, ale nie chciałbym tego zgłaszać, więc pójdę do Forstera. Wracam za kilka minut.

- Dobrze.

- Słuchaj, Charlie, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- Nie jestem chorak.

- Co? Nie dosłyszałem, co...

- Nie jestem chorak.

Nieznane słowo zaniepokoiło Bena. Zmartwienie stawało się coraz większe i większe, a jego fragmenty zaczęły odpadać i przeradzać się w coś, z czym radził sobie lepiej - w złość.

Gdy dotarł do apteki, był już całkowicie przekonany, że Charlie użył tego słowa specjalnie, żeby zrobić mu na złość.

Przed apteką stał pan Forster. Minę miał poważną, ale oczy błyszczały mu z podniecenia, jakby właśnie dowiedział się, że jeden z jego klientów zapadł na przewlekłą chorobę, a jemu przypadło w udziale wieloletnie zaopatrywanie go w przepisane medykamenty.

- No proszę, toż to Benny Gowen. Jak leci, Benny?

- Dobrze. Nikt już nie nazywa mnie Bennym, panie Forster.

- Coś takiego. Czyli jestem chlubnym wyjątkiem. Czym mogę służyć?

- Poproszę Dziennik.

- Przykro mi, skończył się już. - Pan Forster bystro przyglądał się Benowi znad okularów. - Gdy tylko wyłożyłem gazety na stojak, rozeszły się jak gorące bułeczki. Nic tak nie zwiększa sprzedaży gazety jak historia naprawę paskudnego morderstwa, czy co tam było. Ale ty, pracując w centrum, tam gdzie tętni życie miasta, pewnie wszystko już wiesz.

- W pracy nie mam czasu na czytanie - odparł Ben. - Kogo zamordowali?

- Policja nie twierdzi, że to było morderstwo. Ale ja myślę, że tak. Mała zniknęła, od zeszłego wieczora nikt jej na oczy nie widział.

- Mała?

- Dziewięciolatka, Jessie Brant. Zniknęła wczoraj wieczorem, spod własnego domu. Przecież jeśli żyła, ktoś zdążyłby już zauważyć dziewięcioletnie dziecko wałęsające się po ulicach w piżamie. To logiczne. Zapamiętaj moje słowa, małej już nie ma wśród żywych, a jedyne, na co możemy liczyć, to żeby znaleźli jej ciało i złapali człowieka odpowiedzialnego za tę zbrodnię. Mam rację, Benny?

- Nic o tym nie wiem.



Pan Forster zdjął okulary i zaczął przecierać je chusteczką, jeszcze brudniejszą niż one same.

- A przy okazji, jak miewa się Charlie? Nie jest chorak.

- Dobrze. Już od dłuższego czasu miewa się dobrze.

- Pytam, bo był tu wczoraj z migreną. Kupił aspirynę, ale, niech mnie, aspiryna nie pomoże na źródło problemu. Ciekawa rzecz, migrena. Niektórzy lekarze uważają, że migreny mają podłoże psychiczne - rozumiesz, spowodowane są problemami natury emocjonalnej. W przypadku Charliego zgodziłbym się z tą teorią. Biorąc pod uwagę jego historię, problemy, które miał i...

- To już przeszłość.

- Przeszłość i koniec to niezupełnie to samo. - Pan Forster nałożył okulary z miną człowieka, który z poprawą widoczności ufnie wiąże lepszy wgląd w istotę sprawy. - Nie zrozum mnie źle. Moim zdaniem Charlie jest w porządku. Ale ja jestem jego przyjacielem, a nie kimś przypadkowym, kto przeczytał akurat o tej dziewczynce i przypomniał sobie, co było wtedy. Na pewno zaczniesz się gadanie.

- I jestem pewny, że będzie pan miał w nim udział. - Ben odwrócił się, żeby odejść, ale ręka pana Forstera zatrzymała go jak kotwica. - Proszę mnie puścić.

- Ty mnie chyba nie zrozumiałeś. Lubię Charliego, jestem po jego stronie. Ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że znowu jest coś nie tak. Pewnie nie ma to nic wspólnego z tą dziewczynką, bo to zaczęło się wczoraj po południu, jeszcze zanim coś jej się stało... Wysłuchasz mnie jak rozsądny człowiek?

- Posłuchałbym, gdyby miał pan coś konstruktywnego do powiedzenia.

- Może i jest to konstruktywne, nie wiem. W każdym razie był tu wczoraj jeden człowiek, pytał, gdzie mieszka Charlie. Zasłonił się mało prawdopodobną historyjką, że niby

zapomniał sprawdzić adres. Udawałem, że mu wierzę, ale od początku wiedziałem, że stara się mnie pociągnąć za język.

- Chodziło o Charliego?

- Tak.

- Co mu pan powiedział?

- To, co należało. Nic się nie martw, wystawiłem Charliemu jak najlepsze świadectwo, celujące od góry do dołu. Tylko... jedna rzecz nie daje mi od tego czasu spokoju. Ten człowiek wyglądał na jakiegoś funkcjonariusza, więc czemu interesował się Charliem?

- Czemu go pan o to nie spytał?

- Kurczę, to by zepsuło zabawę. Miałem przecież udawać, że dałem się nabrać. Grałem rolę...

- Żadne gierki Charliemu tu nie pomogą.

Oczy pana Forstera rozbłysły z podniecenia. - A więc przyznajesz mi rację, co? Z Charliem jest faktycznie coś nie tak, znowu potrzebuje pomocy. Tak?

- Wszyscy potrzebujemy pomocy, panie Forster - oznajmił Ben i odszedł, tym razem już bez przeszkód. Wiedział, że pan Forster będzie go obserwował, więc starał się poruszać naturalnie i swobodnie, jakby nie czuł ołowianych łańcuchów, pętających mu kończyny. Łańcuchy te czuł prawie całe życie; z ich drugiej strony przykuty był Charlie.

Zatrzymał się na rogu, wśród ruchu, wśród ludzi idących we wszystkich kierunkach po chodnikach i przechodzących przez ulice. Zegar na gmachu sądu wybijał właśnie szóstą. Chciał go uciszyć i stracić poczucie czasu, chciał przyłączyć się do rzeki nieznajomych, anonimowych twarzy, zmierzających w nieznane mu miejsca. Bycie kimkolwiek, gdziekolwiek, kiedykolwiek, byłoby lepsze niż bycie Benem, który szedł do domu, aby wypytać Charliego o martwe dziecko.

Przed domem stał mały, sportowy samochód Louise. Ben zastał ją w salonie na przeglądaniu jakiegoś magazynu. Widząc go w drzwiach, uśmiechnęła się, ale z niepokoju w jej oczach mógł wyczytać, że wie już o zaginionym dziecku i cicho zadaje sobie te same pytania, które pan Forster zadawał głośno.

Odezwał się, starając się nadać głosowi pozory radości i bez troski: - Witaj, Louise. Kiedy przyjechałaś?

- Z dziesięć minut temu.

- A gdzie Charlie?

- W swoim pokoju, ubiera się.

- Aha. Wybieracie się dokądś? Myślałem... na dworze robi się dość zimno, więc może rozpalilibyśmy w kominku, usiedli i pogadali.

Louise znowu uśmiechnęła się cierpliwie, jakby miała już dość gadania, a zwłaszcza gadania z dziećmi, małymi czy dużymi. - Nie wiem, co planuje Charlie. Otworzył mi drzwi i oznajmił, że właśnie się ubiera. Nawet nie wiem, czy chciał, abym na niego czekała. Ale i tak czekam. Nabrałam już takiego zwyczaju. - Po chwili dodała, tym samym tonem: - O której wczoraj wrócił?

- Musiało już być dość późno. Spałem.

- Poszedłeś spać, a Charlie włóczył się gdzieś sam? Jak mogłeś?

- Byłem zmęczony.

- Dałeś mi do zrozumienia, że pójdziesz go szukać. Mnie kazałeś wracać do domu i odpocząć i obiecałeś, że się tym zajmiesz. I nie zrobiłeś tego.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo zacząłem myśleć o naszej wcześniejszej rozmowie - powiedział z namysłem. - Zrobiłaś mi awanturę, że powinienem zaufać Charliemu, dać mu szansę, żeby mógł

dorosnąć, umożliwić mu własne decyzje. Nie możesz mieć i tego, i tego, Louise. Nie możesz najpierw mówić mi, żebym traktował go jak odpowiedzialnego, dorosłego człowieka, a zaraz potem wysyłać mnie na poszukiwania, jakby chodziło o jakieś trzyletnie dziecko, a nie o Charliego. Nie możesz zarzucać mi błędów w traktowaniu go, a godzinę później błagać mnie, żebym znowu popełniał te błędy. Bądź ze mną szczerą, Louise. Jakie jest twoje stanowisko? Co ty naprawdę myślisz o Charliem?

- Cicho. Jeszcze cię usłyszy.

- Tak traktujesz odpowiedzialnego, dorosłego człowieka, nie pozwalasz mu niczego podsłuchać?

- Chodziło mi...

- Chodziło ci właśnie o to. Trzylatek, zamknięty w własnym pokoju, nie może usłyszeć, o czym mamusia i tatuś dyskutują w salonie.

- Nie chciałabym, żeby Charlie pomyślał, że się kłócimy, to wszystko.

- Ale my się naprawdę kłócimy. Czemu miałby tak nie myśleć? Jeśli jest odpowiedzialnym, dorosłym...

- Przestań to powtarzać.

- Czemu? Bo ten opis do niego nie pasuje i nie możesz znieść myśli, jak jest naprawdę?

- Ben, proszę cię, przestań. Nie czas na to.

- Właśnie teraz jest na to właściwy czas - oznajmił poważnie. - Właśnie teraz, w tej chwili, musisz zdecydować, co tak naprawdę myślisz o Charliem. Jasne, kochasz go, oboje go kochamy. Ale nie jesteś mu oddana tak jak ja. Albo, bardziej dosadnie, nie jesteś na niego skazana. Cały czas możesz jeszcze zmienić zdanie, uciec. Do dzieła, Louise.

- Nie mogę.

- Dla waszego wspólnego dobra lepiej by było, gdybyś chociaż spróbowała. Wyjdź stąd i nie oglądaj się. Od ponad

roku śnisz, a ja ci na to pozwalam. Ale teraz dzwoni budzik i czas wstawać i ruszyć w drogę. Zmykaj, Louise.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Proszę o szansę - powiedział Ben. - Szansę, żeby choć jedno z naszej trójki mogło przeżyć. To nie będzie Charlie i to nie mogę być ja. Wykorzystaj swoją szansę, zrób to dla mnie, jeśli nie dla siebie. Chciałbym mieć pewność, że będziesz kiedyś szczęśliwa, że czeka cię nieskomplikowane życie.

- Coś takiego nie istnieje.

- Nie wyjdiesz?

- Nie.

- Więc niech Bóg cię ma w swojej opiece. - Podszedł do okna i stanął tyłem do Louise, żeby nie mogła dostrzec łez, na które mu się zbierało. - Wczoraj wieczorem zaginęła mała dziewczynka. Już jedna osoba z sąsiedztwa wiąże z tą zbrodnią Charliego. Będą kolejne, i to nie zwykli plotkarze jak Forster, ale ludzie u władzy. Nieważne, co Charlie uczynił albo czego nie uczynił; szykuje się dla niego ciężka przeprawa. Dla ciebie też, jeśli masz zamiar zostać.

- Zostaję.

- Tak, tego się obawiałem. Dlaczego? Chcesz zostać męczennicą?

- Chcę zostać żoną Charliego.

- Na jedno wychodzi.

- Nie pozbawiaj mnie pewności siebie - poprosiła. - Nie byłoby to trudne, nie mam jej wiele. Ale to, co mam, może w ciągu najbliższych dni pomóc Charliemu i może nawet tobie.

- Dni? Myślisz w kategorii dni, a co z miesiącami, latami...

- Składają się z dni. Tak zdecydowałam się o nich myśleć. No dobrze - dodała łagodniejszym tonem - czy dasz mi swoje błogosławieństwo?

- Dam ci wszystko, co tylko mogę.

- Dziękuję.

Słyszając na schodach kroki Charliego, odwróciła się do drzwi. Kroki dudniły energicznie i żywo, zupełnie jakby w ciągu ostatnich kilku minut Charliemu zmienił się humor. Gdy wkroczył do pokoju, zauważyła, że jest świeżo ogolony i ma na sobie swój dobry garnitur oraz krawat, który dała mu na urodziny. Wydawał się zaskoczony, że ją widzi, zaczęła się więc zastanawiać, czy faktycznie chciał, żeby sobie poszła, i dlaczego w takim razie tak się wystroił. Niósł w rękę wieczorną gazetę.

Była pognieciona i podarta, wyglądała jak sfatygowana łapka na muchy.

Położył ją ostrożnie na ławie, uporczywie wpatrując się w Bena. - Jednak ją znalazłem, Ben. Zaraz po twoim wyjściu postanowiłem znowu jej poszukać i proszę, była schowana pod tym krzakiem. Pamiętasz, jak go nazywaliśmy, gdy byliśmy mali? Psikus. Kiedyś byłem przekonany, że on naprawdę robi psikusy.

- Ja sprawdzałem pod fikusem - oświadczył Ben.

- Widocznie nie zauważyłeś. Była właśnie tam.

- Nie było jej tam.

- Mogłeś... mogłeś się pomylić. W zeszłym tygodniu narzekałeś na oczy. Tak czy siak, to taki drobiazg, po co kłócić się o to przy Louise?

- Louise niech się lepiej przyzwyczaja. A jeśli to taki drobiazg, to dlaczego skłamałeś?

- No, ja... no, może to nie było dokładnie tak. - Gardło Charliego poruszało się, jakby chciał połknąć albo wypluć coś dużego i niewzruszonego, sprawiającego mu ból. - Po powrocie do domu zabrałem gazetę do pokoju, żeby ją przeczytać.

- Dlaczego? Zazwyczaj cię to nie interesuje.

- Zobaczyłem nagłówek, artykuł o tej dziewczynce i zdjęcie. Chciałem je dokładnie przestudiować, zanim... zanim pójdę na policję.

Ben przypatrywał mu się przez chwilę, po czym powtórzył: - Zanim pójdziesz na policję. Dobrze usłyszałem?

- Tak. Teraz jestem pewny... ta twarz, te ubrania, nazwisko i adres. Jestem całkowicie pewny. Dlatego właśnie ubrałem się elegancko, żeby zrobić dobre wrażenie na komendzie. Zawsze powtarzasz, że dobre wrażenie jest konieczne. Jak wyglądam?

- Bardzo wytwornie. Zrobisz piorunujące wrażenie... Dobry Boże, co ty chcesz zrobić, sobie i mnie? Czy nie wystarczy, że...

- Ja robię tylko to, co do mnie należy. W gazecie piszą, że wszyscy świadkowie powinni się zgłosić i powiedzieć, co wiedzą. A ja jestem świadkiem. Śmieszne, nie? Zawsze chciałem być kimś i teraz w końcu jestem. Świadkiem. To bardzo ważne, tak piszą. Może nawet jedynym w całym mieście, wyobrażasz to sobie?

- Nie. Nikt sobie tego nie wyobraża. Tym razem przeszedłeś sam siebie.

Uśmiech Charliego był wymuszony, dumny i niepewny.

- Tak naprawdę, to niczego nie zrobiłem, po prostu akurat tam byłem, gdy wychodziła z domu. Na policji pomylili się. Nie wiedzą, z którego domu naprawdę wyszła, nie ze swojego, jak pisali w gazecie, tylko z....

- Akurat tam byłeś, tak?

- Tak.

- W samochodzie?

- Tak.

- Zaparkowanym?

- Nie... nie jestem pewny, chyba po prostu przejeżdżałem wolniutko obok.

- Bardzo, bardzo wolniutko?

- Chyba tak. Mogłem się na chwilę zatrzymać, bo byłem zaskoczony, że ją widzę. Było już tak późno, o tej porze nie powinna wychodzić. Jej rodzice powinni się nią lepiej zajmować, nie pozwalać jej biegać po ulicy po dziesiątej wieczorem, bez opieki.

- I ty zaoferowałeś jej tę opiekę, Charlie?

- O, nie.

- A rozmawiałeś z nią w ogóle?

- Nie. Może tylko wypowiedziałem głośno jej imię, bo byłem tak zaskoczony, że ją widzę tak późno, w taki ziąb, tak samotną. - Przerwał gwałtownie, marszcząc czoło. - Mącisz mi w głowie tymi pytaniami. Zbaczam przez ciebie z tematu. Nieważne, jak się tam znalazłem i co robiłem. Ważne, że nie wyszła z własnego domu. Policja myśli, że tak, więc moim obowiązkiem jest to sprostować. Założę się, że ucieszą ich nowe zeznania.

- Pewnie, że tak - warknął Ben. - A teraz idź do swojego pokoju.

- Co takiego?

- Słyszałeś, idź do swojego pokoju.

- Nie mogę, jestem świadkiem, potrzebują mnie. Potrzebują...

- W takim razie muszą się po ciebie zgłosić.

- Stajesz na drodze wymiarowi sprawiedliwości. Tak się nie robi.

- Sprawiedliwości? A jak myślisz, jaka sprawiedliwość czeka ciebie, skoro nawet nie potrafisz wytłumaczyć, co robiłeś pod domem tej dziewczynki i czy stałeś pod nim, czy tylko przejeżdżałeś obok?

- Wszystko ci się myli. Oni nie ścigają mnie, ja niczego nie zrobiłem.



Ben odwrócił się. Chciał walnąć Charliego pięścią, chciał płakać albo z krzykiem wybiec na ulicę. Ale jedyne, co mu pozostawało, to stać twarzą do ściany i marzyć, żeby znów znaleźć się na rogu ulicy, gdzie mógłby udawać, że jest kimkolwiek, zmierza dokądkolwiek, o wszystko jedno której godzinie dnia i nocy.

Jedynym odgłosem w pokoju był oddech Charliego. Był to zupełnie zwyczajny oddech, wdech, wydech, wdech, wydech, ale w uszach Bena był to odgłos zbliżającej się klęski.

- Może powinienem pozwolić ci na to samobójstwo - powiedział w końcu. - Ale nie mogę. W każdym razie jeszcze nie teraz. Więc proszę cię, żebyś dzisiaj został w swoim pokoju, a porozmawiamy o tym jutro rano.

- Ben może mieć rację - odezwała się Louise. Było to pierwsze zdanie, jakie wypowiedziała od momentu wejścia Charliego do pokoju. Teraz mówiła bardzo cichym, ale autorytatywnym głosem bibliotekarki. - Potrzebujesz czasu, żeby przemyśleć swoją wersję wydarzeń.

Charlie uparcie kręcił głową. - To nie jest moja wersja wydarzeń. To fakty.

- No dobrze, w takim razie potrzebujesz czasu, żeby przypomnieć sobie wszystkie fakty. Nie możesz twierdzić, że byłeś przy tym obecny, jeśli nie podasz jakiegoś wiarygodnego powodu, dlaczego się tam znalazłeś i co tam robiłeś.

- Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Na innych ulicach, w innych dzielnicach też jest świeże powietrze. Policja spyta, dlaczego wybrałeś właśnie to miejsce.

- Nie wybrałem. Jeździłem w kółko, bez celu, delektując się wol... świeżym powietrzem.

- Tak jak wtedy?

- Kiedy?

- Gdy znalazłam cię na Jacaranda Street.

- Czemu to wyciągasz? - zawołał z wściekłością. - Wiesz przecież, że nic się wtedy nie stało. Sama mi to powiedziałaś, to ty mnie w końcu przekonałaś. Powiedziałaś: „Nic się nie stało, Charlie. Nic a nic, tylko w twojej głowie”. Dlaczego teraz tego nie mówisz, Louise?

- Powiem, jeśli chcesz.

- A nie dlatego, że w to wierzysz?

- Tak. Ja... w to wierzę. - Uczepiła się jego ramienia, opiekuńczo, a zarazem bezradnie.

Spojrzał na nią jak na obcą, czyniącą mu nieprzystojne propozycje. - Nie dotykaj mnie, kobieto.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Ja cię przecież kocham.

- Nie. Wszystko niszczysz. Zaprzepaściłaś moją szansę na zostanie świadkiem.

Wyrwał się jej i rzucił się do przedpokoju. Kilka sekund później usłyszała trzaśnięcie drzwi do jego pokoju. W dźwięku tym była pewna ostateczność, jak przy zamykaniu przeczytanej książki.

To koniec, pomyślała. Miałam sen, zadzwonił budzik, ocknęłam się i teraz już koniec.

Budzik wciąż dzwonił jej w uszach, mogła też wyłować dźwięk głosu Bena. Brzmiał bardzo spokojnie, ale był to spokój porażki.

- Powinienem być zmusić cię do wyjścia. Zrobiłbym to, gdybym tylko wiedział, co chodzi mu po głowie. Ale jak mogłem domyślić się tego kawałka o świadku? - Wyjrzał przez okno. Robiło się ciemno i mgliście. Szerokie, mięsiste liście kosmatki ociekały już wodą, a latarnie uliczne oblekły się w zwiewne, szare opończe. - To wszystko albo bujda, albo prawda, ale nie cała.

- A jaka jest cała?

- Że zaatakował i zabił tę dziewczynkę.
- Przestań. Nigdy w to nie uwierzę. Nigdy.
- Już prawie wierzyłaś, gdy przestępowałaś ten próg. Przyszłaś tu, bo szukałaś otuchy. Chciałaś usłyszeć, że Charlie wrócił wczoraj wcześniej, że pogawędził ze mną i poszedł spać. Ale tak nie było. Tutaj raczej nie znajdziesz otuchy. To luksus, na który nie możemy sobie pozwolić.
- Nie przyszłam tu dla otuchy. Chciałam zobaczyć się z Charliem, powiedzieć, że go kocham i że mu ufam.
- Ufasz mu, tak?
- Tak.
- Jak bardzo? Na tyle, żeby pozwolić mu pobiec na policję z tą historyjką?
- Oczywiście zanim wystawi się na ich... pytania, powinien zastanowić się i ustalić szczegóły.
- Według ciebie to zupełnie proste, jakby umysł Charliego był jakąś encyklopedią, którą mógłby w każdej chwili otworzyć i sprawdzić fakty. Może masz trochę racji. Może jego umysł to faktycznie jakaś księga, ale napisana w języku, którego ani ty, ani ja nie znamy, strony są nie po kolei, niektóre się posklejały, a jeszcze innych wcale nie ma. Średnie miejsce na szukanie odpowiedzi, prawda?
- Przestań mnie już dręczyć. To nie fair.
- Jeśli ci to nie odpowiada, droga wolna.
- Więc teraz tylko to od ciebie dostanę - pokażesz mi, gdzie są drzwi, i każesz nie wracać?
- Dokładnie tak.
- Dlaczego?
- Już ci mówiłem. Jedno z naszej trójki powinno mieć szansę, choćby jedną. - Cały czas wpatrywał się we mgłę, przyciskając do okna szarą, anonimową twarz rozpacz. - Charlie to mój problem, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zajmę się nim. Nie pójdzie na policję ani dzisiaj, ani żadnego

innego dnia. Zrobi to, co mu każe. Dopilnuję, żeby rano szedł do pracy, a po południu wracał bezpiecznie do domu. Zostanę z nim, będę z nim rozmawiał, pogram z nim w „a pamiętasz?”. Lubi tę grę - a pamiętasz, jak byliśmy mali, Ben? - potrafi w nią grać godzinami. Nie będzie to życie szczęśliwe ani produktywne, ale teraz mogę mieć tylko jedną nadzieję - żeby w ogóle przeżył. Jest notowanym przestępcą seksualnym. Wcześniej czy później przesłuchają go w sprawie zaginięcia tego dziecka. Mam nadzieję, że później, i że uda mi się wybić mu z głowy ten pomysł bycia świadkiem.

- W jaki sposób?

- Przekonam go, że wcale nie był w pobliżu tego domu, że nie widział tego dziecka, niczego nie widział. Cały czas był tutaj, ze mną, zasnął na fotelu i miał koszmar.

- Nie rób tego, Ben. Ryzykownie jest pracować mózgiem osobie, która nie potrafi rozróżnić prawdy i fantazji.

- Jeśli nie potrafi ich rozróżnić - zaczął Ben - to ja mu w tym pomogę. A on mi uwierzy. To będzie zupełnie jak zabawa w „a pamiętasz?”. A pamiętasz, jak wczoraj wieczorem siedziałeś w fotelu, Charlie? Zasnąłeś, krzyczałeś przez sen, miałeś koszmar o jakimś domu i dziewczynce, która z niego wychodziła...”

List musiał napisać bardzo szybko, bo wiedział, że wkrótce przyjdzie tu Ben, żeby z nim porozmawiać. Złożył go sześć razy i wsunął do koperty, zaadresowanej do Komendy Głównej Policji. Włożył go do zapinanej, na ekspres kieszeni kurtki i znowu usiadł przy biurku. Biurko to dostał, gdy miał dwanaście lat, było więc dla niego za małe. Aby przy nim pracować, musiał się garbić, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Dzięki temu czuł się wielki - jak olbrzym, a nie człowiek, ale dobry olbrzym - taki, który wykorzystuje swoją siłę do obrony, a nie do dręczenia słabszych, i którego wszyscy szanują.

Do pokoju wszedł Ben, więc Charlie udał, że pochłonięty jest reklamą na ostatniej stronie magazynu.

- Kolacja gotowa - oznajmił Ben. - Podgrzałem paszteciki z kurczakiem, które przyniosłem z kafeterii.

- Zjem jednego, jeśli koniecznie tego chcesz, ale wolałbym nie.

- Nie jesteś głodny?

- Nie za bardzo. Pasztecika z kurczakiem jadłem wczoraj.

- Wczoraj mieliśmy ravioli. Nie pamiętasz? Skaleczyłem się o puszkę. Patrz, wciąż mam rozcięty palec.

Charlie uprzejmie spojrział na palec. - To przykre. Musisz bardziej uważać. Ale wczoraj nie było mnie na kolacji.

- Właśnie, że byłeś. Zjadłeś za dużo i zasnąłeś w salonie na fotelu ojca.

- Nie, Ben. Bywało tak, ale nie wczoraj. Wczoraj było inaczej, zupełnie inaczej. Najpierw pojechałem z transportem do Służby Leśnej. Cały ten upał i pył przyprawił mnie o ból głowy, więc potem pojechałem do apteki kupić aspirynę.

- Od aspiryny zrobiłeś się śpiący. Dlatego właśnie zasnąłeś...

- Wcale nie byłem śpiący, byłem głodny. Chciałem wziąć Louise na kolację... Tak chciałem - dodał poważnie. - Ale w bibliotece jej nie było, więc sam pojechałem na paszteciki z kurczakiem.

- Dokąd?

- Do twojej kafeterii. Nie w porządku byłoby jadać gdzie indziej.

- Świetny czas sobie wybrałeś na bycie w porządku wobec mnie. Widział cię ktoś?

- No chyba. Przecież tam byłem.

- Rozmawiałeś z kimś?

- Z kasjerką. Przywitałem się.

- Poznała cię?

- O, tak. Zazartowała, że płacić muszą wszyscy, nawet brat szefa. No pięknie, pomyślał Ben. Nawet gdyby to sobie wcześniej zaplanował, nie mógłby spieprzyć tego bardziej. - O której tam byłeś?

- Nie wiem. Nie śledzę czasu, żeby on mnie nie śledził...

- A co robiłeś, gdy skończyłeś jeść?

- Pojeździłem sobie trochę, już ci mówiłem. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby oczyścić zatoki.

- Wróciłeś do domu przed dziesiątą.

- Nie, niemożliwe. Było po dziesiątej, gdy zobaczyłem...

- Nic nie zobaczyłeś - ostro przerwał mu Ben. - Byłeś tutaj przed dziesiątą.

- Nie pamiętam, żebym cię widział, gdy wróciłem.

- Bo nie widziałeś. Byłem w łóżku. Ale wiem, która to była godzina, bo miałem jeszcze zapalone światło.

- A może się pomyliłeś, tak jak z ravioli?

- Historia z ravioli służyła tylko temu, żebyś wyznał mi prawdę. Wiem, że byłeś w aptece i w bibliotece, ale chciałem, żebyś sam mi o tym powiedział. I powiedziałeś.

- Ale tamtego nie powiedziałem.

- Byłeś w domu przed dziesiątą. Jeszcze nie spałem, słyszałem, jak wchodzisz. Jeśli ktoś cię spyta, to właśnie masz powiedzieć. No, dalej, powiedz teraz.

- Proszę cię... zostaw mnie w spokoju.

- Nie mogę. - Ben pochylił się nad biurkiem, blady i skrzywiony. - Jesteś w niebezpieczeństwie, a ja usiłuję cię uratować. Uratuję cię wbrew tobie. Teraz powiedz. Powiedz, że byłeś w domu przed dziesiątą.

- Wtedy zostawisz mnie w spokoju?

- Tak.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Byłem w domu przed dziesiątą - powtórzył Charlie, mrugając oczami. - Skaleczyłeś się, otwierając puszkę ravioli. Leciała ci krew, cała kuchnia była we krwi. Pokaż rękę. Cały czas cię boli?

- Nie.

- Więc czemu płaczesz?

- Boli mnie... coś innego.

- Nie powinieneś jadać takich ostrych potraw jak ravioli.

- Faktycznie, to był błąd. - Głos Bena był jak strzęp szeptu, urywek krzyku. - Jakoś ci to wynagrodzę, Charlie.

- Mnie? Ale to przecież ciebie boli.

- Dzielimy ten ból. Zupełnie jak dawniej, kiedy wszystkim się dzieliliśmy. Pamiętasz, jak kumple się ze mnie zawsze naśmiewali, bo ciągle szwendał się za mną mój młodszy brat? Mnie to nigdy nie przeszkadzało, lubiłem to twoje szwendanie. Teraz będzie zupełnie tak samo, Charlie. Rano będę odwoził cię do pracy, w południe możesz przychodzić do kafeterii i zjeść ze mną lunch...

- Mam własny samochód - zauważył Charlie. - I czasem wolimy zjeść lunch tylko we dwójkę, Louise i ja.

- Godziny lunchu Louise mają się wkrótce zmienić. Pewnie nie będą się już pokrywać z twoimi.

- Mnie tego nie powiedziała.

- Ale powie. A jeśli chodzi o samochód, trzymanie dwóch to moim zdaniem marnotrawstwo, skoro ja mogę zawieźć cię, gdzie tylko będziesz chciał. Spróbujmy tak przez jakiś czas i zobaczymy, czy się uda. Może nawet zdołamy oszczędzić trochę pieniędzy na jakąś podróż.

- Louise i ja jedziemy w podróż poślubną.

- No, ale jeszcze nie teraz.

- Louise mówi, że we wrześniu, za miesiąc.

- Ona ma teraz urwanie głowy w bibliotece. Możliwe... że nie będzie mogła się wyrwać.

- Czemu Louise mówi o tym wszystkim najpierw tobie?  
Wyjaśnij mi to.

- Nie dzisiaj.

- Ze względu na ten ból?

- Tak, właśnie tak. A teraz daj mi kluczyki do swojego samochodu.

Charlie włożył lewą rękę do kieszeni spodni. Czuł w niej kluczyki, okrągły do bagażnika, spiczasty do stacyjki. - Chyba zostawiłem je w samochodzie.

- Tyle razy ci powtarzałem, żebyś tego nie robił.

- Przepraszam. Pójdę i przyniosę.

- Nie. Ja to zrobię.

Charlie patrzył, jak Ben wychodzi. Tego nie miał w planach, zaplanował tylko ten list. Ale teraz dostrzegł szansę, której nie mógł przepuścić, tak jak zwierzę, które nie potrafi nie skorzystać z otwartych drzwiczek klatki. Chwycił kurtkę, przekradł się do kuchni i wyszedł tylnymi drzwiami.



Ralph MacPherson zamierzał wcześniej położyć się spać i właśnie się szykował do łóżka, gdy zadzwonił telefon. Szybko sięgnął po słuchawkę, w obawie, że dzwoni Kate, i jednocześnie bojąc się, że to nie ona. Już cały dzień się nie odzywała, a jej ostatnie słowa były pełne wrogości, jakby cały czas miała mu za złe, że nie uwierzył w jej opowieść o Brancie i pani Arlington.

- Słucham.

- Mac, mówi Gallantyne.

- Czy ty nigdy nie sypiasz?

- Dziś po południu zdrzemnąłem się kilka godzin. O mnie się nie martw.

- Martwię się o siebie, a nie o ciebie. Właśnie szedłem do łóżka. Co jest?

- Dzwonię, żeby ci się odwdzińczyć - oświadczył Gallantyne. - Ty pokazałeś mi anonimowy list do Kate Oakley, ja pozwolę ci przeczytać list, który dostarczono mi dzisiaj, o ile przyjdiesz do mnie do biura.

- Na dziś miałem już bardziej kuszące propozycje.

- Zobaczymy. Oba listy napisał ten sam człowiek.

- Zaraz tam będę - rzucił Mac, odkładając słuchawkę.

W klitce, którą Gallantyne nazywał swoim biurem, byli sami. Gallantyne nie okazywał żadnych śladów zmęczenia, w przeciwieństwie do Maca, któremu z wyczerpania kleiły się oczy i ciążyły wszystkie kończyny.

List rozłożony był na biurku, oświetlała go lampa na wyciąganym ramieniu. Napisany był drukowanymi literami, podobnie jak ten, który dostała Kate Oaldehy, i również ten został wielokrotnie złożony, zupełnie jakby autor podświadomie się go wstydził i chciał go jak najbardziej zmniejszyć. Obok leżała koperta z drukowanym napisem: „Komenda Główna Policji”. Znaczka nie było.

- Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał Mac.

- Jakież dwie godziny temu wrzucono go do skrzynki koło drzwi komendy. Nasz dozorca reperował coś tam właśnie i widział mężczyznę, który go przyniósł. Dokładnie mi go opisał.

- I kto to był?

- Charles Gowen - odparł Gallantyne. - Dziwi cię to?

- Dziwi mnie, jak bardzo ryzykował, sam przynosząc list, nie zmieniając charakteru pisma ani tego, jak składa listy.

- A jacy ludzie ryzykują w ten sposób?

- Ci, którzy chcą zostać złapani.

Gallantyne odchylił się na krześle i spojrzał w sufit. Na środku sufitu rysował się cień, rzucany przez klosz lampy - czarny księżyc na białym niebie.

- Sprawdziłem jego kartotekę. Działo się to dawno temu i był od tego czasu leczony, w Szpitalu Stanowym Coraznada i prywatnie. Ale kartoteka to kartoteka. Jeśli człowiek ma raka, lekarze nie mogą lekceważyć historii choroby. A to jest właśnie rak albo nawet coś gorszego. Gowen na to cierpiał i teraz chyba ma nawrót. Przeczytaj list.

Był krótszy niż poprzedni.

Wiadomość dla policji:

Ostatniego wieczora, o 10:30, jechałem Cielito Lane i wiem, że to ZŁO wam podszeptalo, z którego domu wyszła Jessie. Bo naprawdę wyszła z domu obok, od strony zachodniej. Oni mnie teraz uwięzili, więc nie mogę przekazać wam tego osobiście, ale to PRAWDA.

Świadek

PS To Szatan dał mi Jessie pod opiekę.

Mac przeczytał list jeszcze raz, usiłując dociec, kim są „oni” - pewnie to brat i ta kobieta, narzeczona Gowena, o której wspominał pan Forster, aptekarz.

Gallantynie świdrował go wzrokiem. - Interesujący dokument, nieprawdaż? Zwróć uwagę na wielkie litery, ZŁO i PRAWDA. I na postscriptum.

- Chyba chciał napisać to zbyt mądrze.

- Też tak myślę.

- I naczytał się Biblii.

- Najwyraźniej. A ten sąsiedni dom od strony zachodniej należy do Arlingtonów. - Gallantynie pochylił się do przodu i obrócił klosz lampy. Czarny księżyc przesunął się po białym niebie i zniknął. - Zaraz po otrzymaniu tego listu posłałem Corcorana do domu Gowenów. Zastał tam jego brata, Bena, i dziewczynę, Louise Lang. Gowena nie było. Brat i dziewczyna twierdzili, że nie wiedzą, gdzie jest, ale według Corcorana wyglądali na bardzo zdenerwowanych, a czego nie mówili, tego się na pewno domyślali. W każdym razie wydałem rozkazy, żeby odnaleźć i przesłuchać Gowena.

- Wierzysz w to, co pisze w liście - że Jessie wyszła z domu Arlingtonów?

- Pasuje to do teorii pani Oakley, że panią Arlington i Branta łączą więzi nie tylko sąsiedzkie.

- Mówiłem ci już, że do teorii Kate nie można podchodzić zbyt poważnie. Często spodziewa się po ludziach najgorszego, zwłaszcza jeśli jakoś łączy ich z Sheridanem.

- List zdaje się potwierdzać tę wersję.

- Ja tam tego nie widzę.

- Bo nie patrzysz. A powód, dla którego nie patrzysz, jest oczywisty, to Kate Oakley. Po cichu robisz co w twojej mocy, aby wyłączyć ją ze śledztwa.

- Mylisz się - zaprotestował Mac. - Jeśli zeznanie w formie listu wskazuje na pewne zaburzenia umysłowe autora, to nawet gdy potwierdza je zeznanie kobiety, która przejawia podobne objawy, nie oznacza to od razu, że oba są prawdziwe, bo pokrywają się. Może to też oznaczać, że oba są fałszywe.

- Chcesz więcej dowodów? Dobra, zbierzmy je. - Gallantyne wstał, a obrotowe krzesło zaskrzypiało w proteście przeciwko tak gwałtownemu ruchowi. - Jadę porozmawiać z Brantem. Jedziesz ze mną?

- Nie. Wolę się wyspać.

- Sen to dobre dla dzieci.

- Słuchaj, nie chcę, żebyś mnie dalej w to wplątywał.

- Sam się w to wplątałeś, Mac. Nie jesteś tu z czystej ciekawości ani dlatego, że ktoś cię zmusił. Jesteś tu, bo liczysz, że może uda ci się pomóc Kate Oakley. Czemu się do tego nie przyznajesz? Za każdym razem gdy wypowiadasz jej imię, widzę to w twojej twarzy, słyszę w twoim głosie, tę pełną niepokoju, opiekuńczą...

- To nie twój interes.

- Może i nie, ale jeśli z tobą współpracuję, to chcę mieć pewność, że będziesz pracował ze mną, a nie przeciwko mnie, na korzyść kobiety, w której jesteś zakochany.

- I jeszcze wmawiasz mi, że jestem w niej zakochany.

- Ktoś powinien. Ty w pewnych sytuacjach jesteś zbyt powolny. Bez urazy.

- Och, jasne.

- Więc chodźmy.

W domu Brantów było ciemno, świeciła się tylko jedna lampa nad wejściem i jedna za starannie zaciągniętymi zasłonami w salonie.

Gallantyne nacisnął dzwonek i czekał. Mac pierwszy raz widział, żeby Gallantyne okazywał objawy niepewności, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że robi coś, czego normalnie by nie pochwalał - kopie leżącego.

- Pewnie, to czarna robota - powiedział, bardziej chyba do siebie niż do Maca - ale ktoś ją musi odwalić. Moim zadaniem jest uratować dzieciaka, a nie przejmować się uczuciami

rodziny i sąsiadów. I, na Boga, czuję, że oni wszyscy coś przede mną ukrywają.

- Jeśli według ciebie jedynym sposobem na poradzenie sobie z tą sytuacją jest wściekanie się - powiedział Mac - to proszę bardzo, wściekaj się. Ale uważaj. Fakt, że córka Branta zaginęła, nie pozbawia go jeszcze wszystkich praw, tak obywatelskich, jak ludzkich.

- A moim zdaniem, póki mała nie się odnajdzie cała i zdrowa, nikt tu nie ma żadnych praw.

- Niebezpieczne słowa z ust policjanta. Jeśli zaczniesz lekceważyć prawa Branta albo Gowena, pozwalasz ludziom lekceważyć twoje własne prawa.

Gallantyne znowu przycisnął guzik dzwonka, tym razem mocniej i dłużej, choć dźwięk po drugiej stronie drzwi wcale nie stał się przez to głośniejszy i dłuższy.

- Mam już dość tych małych kłamstewek. Kłamstewko tu, kłamstewko tam. Gowen ma z tą sprawą jakiś związek, ale nie on jeden. Chcę odkryć kto jeszcze. Dlaczego pani Arlington twierdzi, że u niej małej nie było?

- Może to Gowen kłamie albo się myli.

- Powtarzam, jego zeznania pokrywają się z zeznaniami Kate Oakley.

- Nie trzeba wciągać w to Kate...

- Pani Oakley sama się w to wciągnęła, tak samo jak ty. Sama, z własnej woli, udzieliła nam informacji o Brancie. Nikt jej o to nie prosił, nikt nie musiał ciągnąć jej za język. Ona też w tym tkwi, Mac, bo sama tego chciała.

- Ale dlaczego?

- Któż to wie? Może brakuje jej podniecających przygód... no, ale to już twoja działka, nie?

- To było podłe.

- Cała ta noc jest podła. W moim zawodzie takie noce to normalka.

W przedpokoju zapaliło się światło i kilka sekund później w drzwiach ukazał się Dave Brant. Cały czas miał na sobie ubrania, które nosił poprzedniego wieczora, dżinsy i bluzę, brudne i poplamione krwią, która po wyschnięciu nabrała koloru czekolady. Jego zraniona ręka obwiązana była bandażem, który wyglądał tak, jakby założył go sobie własnoręcznie.

Miał poszarzałą twarz i bezbarwny głos: - Są jakieś wieści?

Gallantyne pokręcił głową. - Niestety nie. Możemy wejść?

- Chyba tak.

- Pamięta pan pana MacPhersona?

- Tak.

- Chciałbym z panem chwilę porozmawiać, panie Brant.

- Ja wszystko już powiedziałem.

- Jednej czy dwóch rzeczy zapomniał pan nam powiedzieć. - Gallantyne zamknął drzwi. - Albo je pan pominął. Jest pan sam?

- Michaelowi, mojemu synowi, kazałem iść przenocować u kolegi. Moja żona śpi. Pół godziny temu był tu lekarz i dał jej zastrzyk.

- Panu też coś dał?

- Jakieś pigułki. Nie wziąłem ich. Chcę być przytomny w razie... w razie gdyby znaleźli Jessie i gdyby mnie potrzebowała. Może będę musiał gdzieś po nią jechać, może nawet kilkaset mil.

- Proponuję, żeby wziął pan te pigułki. Pojechać po nią może policja...

- Nie. To ja jestem jej ojcem.

- ...policja właściwie musi po nią pojechać. Jeśli Jessie się odnajdzie na tym etapie sprawy, niczego nie osiągnie się położeniem jej do łóżka i prośbą, żeby o wszystkim zapomniała.

- To znaczy, że będzie przesłuchiwana?
- Tak, o ile pozwoli na to jej stan fizyczny i psychiczny.
- Niech pan tego nie mówi, niech pan...
- Sam pan spytał.

Gallantyne zawahał się i spojrzał niepewnie na Maca. Wahanie i wątpliwości kryjące się w jego oczach uzmysłowiły Macowi, dlaczego Gallantyne chciał go mieć pod ręką - potrzebował wsparcia, robił się coraz starszy i bardziej taktowny, nauczył się widzieć obie strony medalu i widok ten pozbawiał go ochoty do walki.

- Może przejdźmy do salonu i usiądźmy - zaproponował Mac. - Musi być pan zmęczony.
- Ależ nie, jestem przytomny, bardzo przytomny.
- Dobrze, to chodźmy.

Jedyna zapalona lampa w salonie stała za fotelem ze sztucznej skóry. Na stoliku obok fotela leżały zdjęcia Jessie: zdjęcie zrobione jej podczas chrztu, zdjęcia klasowe, zdjęcia Jessie z Michael'em, z rodzicami, z psem Arlingtonów, zdjęcie na moście, na którym Jessie z zuchwałą miną obejmuje Mary Marthę, Jessie na plaży, na rowerze, w hamaku z książką.

Dave schylił się i zaczął zbierać te zdjęcia, jakby chciał ukryć Jessie przed wzrokiem obcych. Gallantyne zaczekał, aż wszystkie zdjęcia znalazły się w albumach. Potem zaczął: - Spytał mnie pan, czy mam jakieś wieści. Odpowiedziałem, że nie, i to była poniekąd prawda. Ale mam coś nowego. Pewien mężczyzna twierdzi, że widział Jessie wczoraj, około dziesiątej trzydzieści wieczorem.

- Gdzie?
- Jak wychodziła z domu Arlingtonów. Wie pan coś na ten temat, panie Brant?
- Tak.
- Co na przykład?
- Że to... nieprawda.

- A dlaczego pan tak twierdzi? Przecież o tej porze nie było pana w pobliżu, prawda? Jak rozumiem, szukał pan w tym czasie pana Arlingtona, który pojechał gdzieś po kłótni z żoną.

- Tak.

- Gdzie go pan szukał?

- W kilku barach, w jakichś kawiarniach.

- A potem dokąd pan pojechał?

- Do nich.

- To znaczy do kogo?

Dave odwrócił głowę. - No, musiałem złożyć wizytę Virg... pani Arlington, powiedzieć jej, że nie udało mi się znaleźć Howarda.

- I ta wizyta - powiedział cicho Gallantyne - była dość intensywna? Czasochłonna?

- Opowiedziałem jej, w których miejscach szukałem Howarda.

- Nam opowiedział pan o nich w równo dwie sekundy.

- Rozmawialiśmy też o innych sprawach. Martwiła się o niego, tego wieczora zachowywał się naprawdę dziwnie.

- Czyli jak?

- Wydawał się zazdrosny o względy, jakimi Virginia darzy Jessie.

- Miał też jakieś inne powody do zazdrości?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- To chyba proste pytanie.

- Cóż, nie potrafię na nie odpowiedzieć. Nie wiem, co dzieje się w głowie Howarda.

- Ja mówię o pańskiej głowie, panie Brant.

- Ja... zapomniałem, jak brzmiało pytanie. Jestem... naprawdę mąci mi pan w głowie.



- Przepraszam - powiedział Gallantyne. - Ujmę to inaczej. Co pan poczuł, gdy pan Arlington wyszedł wczoraj od państwa?

- Wszyscy byliśmy tym zmartwieni. Howard nigdy czegoś takiego nie robił.

- O której wyszedł?

- Między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą.

- Co było później?

- Odprowadziłem Virginie do domu. Potem doszedłem do wniosku, że lepiej go poszukam.

- Pan doszedł do tego wniosku, a nie Virginia Arlington?

- To był mój pomysł. Ona była zbyt przygnębiona, by myśleć logicznie.

- Przygnębiona. Rozumiem. Starał się ją pan jakoś pocieszyć?

- Ruszyłem na poszukiwanie jej męża.

- I o której pan do niej wrócił?

- Nie jestem pewny. Nie miałem zegarka.

- Dojdziemy do tego razem, dobrze? Wie pan, o której zauważył pan zniknięcie Jessie.

- O jedenastej. Ma zegar koło łóżka.

- Znakomicie. Pańska żona położyła się spać o dziesiątej. Pół godziny później widziano Jessie, wychodzącą z domu Arlingtonów.

Dave kręcił głową.

- Nie. Mówiłem już, że to nieprawda. To... to straszne i niemożliwe.

- Rzeczy nie mogą być jednocześnie straszne i niemożliwe. Wynika to z samej definicji niemożliwości, jeśli coś jest niemożliwe, to nie istnieje, a zatem nie może być straszne. Możliwości - to co innego. Mogą się zdarzyć i mogą być naprawdę straszne, tak jak ta, którą pan teraz widzi.

- Nie. Nie widzę. I nie zobaczę...

- Musi pan - uciął Gallantyne. - Wnioskuje, że Jessie udała się do Arlingtonów między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści. Drzwi zawsze stały dla niej otworem, mogła przychodzić i wychodzić o każdej porze, zgodnie z zapewnieniami pani Arlington. Weszła tylnymi drzwiami...

- Nie. Były zamknięte, na pewno były zamknięte.

- Sam je pan zamknął?

- Nie.

- To dość poważny błąd, nie uważa pan? A może to dla pana tak naturalne, że nie przeszkadza panu, że ktoś patrzy?

- Nie widziała nas, nie mogła...

- Ja myślę, że widziała. Ujrzała ojca i kobietę, którą nazywała cicią, w sytuacji, która tak ją zszokowała i przeraziła, że aż wypadła na ulicę. Nie wiem, o czym myślała, może tylko o tym, że musi uciec od tego widoku. Wiem, że w samochodzie czekał na nią pewien mężczyzna. Może czekał już od dawna, każdej nocy, ale tej nocy mu się powiodło, bo Jessie nie uważała. Była w takim stanie, że gdy ją napadł, nie mogła krzyknąć po pomoc czy uciekać.

Dave skulił się, tak że głową dotykał kolan, jakby starał się nie zemdleć.

Mac przeszedł przez pokój i pochylił się nad nim. - W porządku, Brant?

- Uuuch. - Nie było to słowo, tylko długie, bolesne westchnienie, oznaczające „wszystko w porządku, chciałbym umrzeć, ale wszystko w porządku”.

- Niech pan posłucha. To wcale nie musiało wyglądać tak, jak opisuje to porucznik Gallantyne.

- To moja wina. To moja wina.

- Gallantyne, powiedz mu.

Gallantyne podniósł brwi i zrobił niewinną minę. - Co mam powiedzieć?

- Nie widzisz, że jest w kiepskim stanie i potrzebuje, żeby ktoś mu dodał otuchy?

- No dobrze, dodam. - Głos Gallantyne'a był cichy i kojący. - Był pan naprawdę grzecznym chłopcem, Brant. Nie miał pan nic wspólnego ze zniknięciem córki. Figle - migle z sąsiadką? Kto by się czymś takim przejmował. Jessie ma już przecież dziewięć lat i powinna wiedzieć o tych sprawach. Nie powinna być wstrząśnięta, przestraszona czy oszołomiona. Czy nie uczą tego w szkołach? Tatuś i ciocia Virginia chcieli tylko pokazać, jak się robi dzieci... Ma pan coś do dodania?

Wolno i z trudem, Dave podniósł głowę. - Nic, poza tym, że... tak było.

- Nie po raz pierwszy?

- Nie, nie po raz pierwszy.

- Planował pan rozwieść się z żoną i ożenić z panią Arlington?

- Niczego nie planowałem.

- A pani Arlington?

- Jeśli miała jakieś plany, to nie dotyczyły one mnie.

- A kogo?

- Jessie. Wydaje mi się, że Jessie jest dla Virginii projekcją jej samej. Jest dzieckiem, którym była Virginia, i wszystkimi dziećmi, których Virginia nigdy nie będzie miała.

- Kiedy pan to odkrył?

- Dzisiaj. Dzisiaj zacząłem o tym myśleć.

- Trochę późno, nieprawdaż? - zapytał Gallantyne. - Za późno, by pomóc Jessie.

- Chce... chce pan powiedzieć, że Jessie... nie żyje?

- Mężczyzna, który czekał na nią w samochodzie, figuruje w aktach jako notowany przestępca seksualny. Na pana miejscu nie żywiłbym większych nadziei. - A w myślach dodał: Tyle tylko, że temu poprzedniemu dziecku udało się przeżyć...

Ciągnęło go w stronę morza, jak kroplę wody usiłującą dołączyć do pozostałych. Musiał zatrzymać się na światłach, omijać miejsca, w których bywali Ben i Louise, zawracać, kiedy znalazł się na nieznajomej ulicy. To wszystko powodowało opóźnienie, ale nie zmieniało jego celu.

Minął swoją hurtownię papierniczą. W biurze paliło się światło, zerknął więc przez okno w nadziei, że zobaczy za biurkiem pana Warnera. W środku nie było jednak nikogo, a światło świeciło się, by odstraszyć włamywaczy. Charlie poczuł się zawiedziony. Chętnie uciałby sobie pogawędkę z panem Warnerem, o niczym szczególnym, po prostu spokojną pogawędkę o zwyczajnych rzeczach, taką jak rozmowy, które prowadzą zwyczajni ludzie. W oczach pana Warnera był właśnie takim zwyczajnym człowiekiem, więc i taka zwyczajna pogawędka mogłaby dojść do skutku. Ale pana Warnera nie było.

Charlie obszedł budynek i znalazł się przy rampie do załadunku, pod którą przechodziła bocznica. Zaczął iść po torach, zupełnie bez powodu, tylko dlatego, że dokądś prowadziły. Stawiał krótkie, szybkie kroki, stąpał tylko po liczonych w myśli podkładach kolejowych. Na zbiegu bocznicy i głównego toru stanął, bo uświadomił sobie nagle, że nie jest sam. Podniósł głowę i ujrzał zbliżającego się do niego człowieka, idącego przez suche, zakurzone chwasty rosnące wzdłuż torów. Wyglądał na jednego z pijaków, kręcących się przy torach, w oczekiwaniu na zasilek, pusty wagon towarowy czy na poprawę losu. Niósł papierową torbę i otwartą butelkę wina.

- Ej, stary, jak nazywa się to miejsce? - zawołał.
- San Felice.

- San Felice, a niech mnie. Tak coś mnie się zdawało, że tu za spokojnie jak na Los Angeles. Ale cały czas Kalifornia, tak?

- Tak.

- Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Wszędzie się było. Wszędzie jest tak samo, ale Kalifornia ma winogrona. - Przytulił butelkę do policzka. - Winogrona to moi starzy kumple. Masz fajki i ogień?

- Nie palę, ale chyba mam tu gdzieś zapałki. - Pogrzebał w kieszeni kurtki i wyjął pudełko. Widniał na nim napis: Jacaranda Street 319. Rozpoznał swój charakter pisma, ale nie pamiętał, żeby to pisał, nie pamiętał też, czyj to adres i czemu zaczął się bać; czemu bał się odezwać, poruszyć - mógł tylko zgnieść pudełko w dłoni.

- E, stary, co z tobą?

Charlie odwrócił się i zaczął biec. Słyszał, jak mężczyzna coś do niego woła, ale nie zatrzymywał się aż do zakrętu torów, gdzie do jego uszu dobiegł nowy dźwięk. Był to dźwięk ostrzegawczy, szczekanie psów, i to nie dwóch czy trzech, ale całej sfory.

Szczekanie psów, zakręt na torach, zapach pobliskiego morza - były jak elektrowstrząsy pamięci, które czuł kolejno w uszach, oczach i nosie. Znał to miejsce. Nie był tu od lat, ale teraz wszystko sobie przypomniał; hotel dla psów skryty za postrzępionym żywopłotem, a kilka jardów na południe - podstawówka. Przypomniał sobie, że dzieci chadzały tą drogą do szkoły, bo wtedy było krócej i bardziej ekscytująco; należało utrzymać się na torze, balansując rozpostartymi ramionami, i czekać do ostatniej chwili, aby uskoczyć w krzaki przed nadjeżdżającym pociągiem. Była to zabawa, w której często dziewczynki okazywały się bardziej nieustraszone od chłopców. Zwłaszcza jedna z dziewczynek wydawała się zupełnie pozbawiona lęku. Śmiała się, gdy motorniczy

wychylał się z lokomotywy i groził jej pięścią, śmiała się, gdy Charlie ostrzegał, że poskarży się dyrektorowi szkoły oraz jej rodzicom i poszczuje ją psami.

- Nie możesz, cha, cha, bo to nie są twoje psy i by do ciebie nie wróciły, a gdyby uciekły, wiele z nich miałyby szczeniaki. Nawet tego nie wiesz, stary głupolu?

- Wiem, ale o tym nie mówię. O takich rzeczach się nie rozmawia.

- Czemu nie?

- W tej chwili złaż z tych torów, bo ci pokażę!

- To pokaż.

Prawie godzinę Virginia stała przy oknie i obserwowała przez szparę w zasłonie dom Brantów i krawężnik, przy którym stał czarny chrysler. Widziała, jak wysiadają z niego Gallantyne i ten prawnik, tkwiła więc na posterunku z nadzieją na jakieś dobre wieści. Nadzieja z każdą chwilą malała, ale Virginia nie była w stanie odejść od okna.

Słyszała za plecami, jak Howard kręci się po pokoju, bierze i odkłada książkę, wyrównuje obraz, zapala papierosa, siada, wstaje, idzie na chwilę do kuchni i wraca. Ta bezustanna krzątania tylko potęgowała w niej uczucie chłodu i ciszy.

- Nie możesz tak stać całą noc - powiedział w końcu Howard. - Zrobiłem ci grzany rum. Napijesz się?

- Nie.

- Może od niego wróciłby ci apetyt.

- Niczego nie chcę.

- Nie pozwolę ci się zagłodzić.

Po raz pierwszy od godziny odwróciła się i spojrzała na niego. - Czemu nie? Mogłoby to rozwiązać twoje problemy. Moje rozwiązałyby to na pewno.

- Nie mów tak.

- Czemu nie? Czy to godzi w twoje ego, że żona wolałaby umrzeć niż dalej żyć w ten sposób?

- To godzi we mnie całego, Virginio. Nie mam nic oprócz ciebie.

- Bzdura. Masz pracę, firmę, klientów - z nimi widzisz się częściej niż ze mną.

- To już przeszłość. W przyszłości będzie inaczej.

- Przyszłość - powtórzyła. - To takie wstrętne słowo. Zupełnie jak słowa, które zdarzało mi się zasłyszeć, gdy byłam mała. Nie wiedziałam, co znaczą, ale brzmiały tak wstrętne, że je powtarzałam, żeby bulwersować ciotkę. Nie wiem też, co oznacza słowo „przyszłość”, ale brzmi wstrętne.

- Obiecuję ci, że tak nie będzie. Rano, jak jeszcze byłeś w łóżku, zadzwoniłem do szefa w Chicago. Nic ci nie mówiłem, bo czekałem na właściwy moment, ale chyba nie mogę czekać dłużej. Rzuciłem pracę. Powiedziałem mu, że moja żona i ja zamierzamy... zaadoptować dziecko i chciałbym więcej czasu spędzać z rodziną.

- Czemu powiedziałeś mu coś takiego? To szaleństwo.

- Nie planowałem tego, tak jakoś wyszło. Gdy sam siebie usłyszałem, wcale nie wydało mi się to szaleństwem. Pomyślałem, że to właśnie to.

- Nie. Nie możesz...

- Zaproponował mi stanowisko kierownicze w Phoenix. Miałbym stałą pensję, bez prowizji za te większe transakcje, bez innych dodatków, więc zarabiałbym mniej. Ale mógłbym pracować od dziewiątej do piątej, jak normalny człowiek, a soboty i niedziele spędzałbym w domu. Powiedziałem mu, że się zastanowię i pod koniec tygodnia podejmę decyzję.

Odwróciła się do okna, żeby nie mógł zobaczyć jej twarzy i zgadnąć, o czym myśli.

- Z drugiej strony, Phoenix może ci się nie spodobać, Virginio. Jest o wiele większe od San Felice, a latem bywa

tam gorąco, naprawdę strasznie gorąco, i oczywiście brakuje oceanu, który daje rześki powiew.

- I nie ma tam... nie ma mgły?

- Nie ma mgły.

- To już mi się podoba. Mgła sprawia, że czuję się taka samotna. Nawet gdy świeci słońce, spoglądam na morze i zastanawiam się, kiedy spłynie na mnie szarość.

- Gwarantuję ci brak mgły!

- W twoim głosie jest tyle nadziei - szepnęła. - Przestań. Proszę, przestań.

- Co jest nie tak z nadzieją?

- Nie jest u ciebie niczym poparta.

- Poparta jest mną i tobą, naszym małżeństwem, naszym wspólnym życiem.

Wzięła długi, głęboki oddech, od którego aż się zatrzęsła.

- Nie mamy już małżeństwa. Pamiętasz ten wierszyk o młodej kobiecie, która „na poduszce siedziała, pięknie haftowała, truskawki z kremem sobie zajadała”? Cóż, siedzenie jej się znudziło, haft przestał wychodzić, od truskawek dostała wysypki, a od kremu utyla. Potem wprowadziła się tu Jessie. Z początku jej wizyty stanowiły dla mnie atrakcję, dzięki nim mogłam oderwać się od szarej rzeczywistości. Potem zaczęłam coraz bardziej ich wyczekiwać, a w końcu całkowicie od nich zależeć. Status sąsiadki, pseudocioci, już mi nie wystarczał. Chciałam zostać jej matką, jej prawdziwą matką... Rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć?

- Chyba tak.

- Przychodził mi do głowy tylko jeden sposób, aby zdobyć to, czego chciałam. Poprzez Dave'a.

- Nic więcej już nie mów.

- Muszę ci wyjaśnić, jak to się stało. Byłam...



- Nawet jeśli w Phoenix latem będzie gorąco, zawsze możemy kupić dom z klimatyzacją. Jeśli wolisz, moglibyśmy go nawet zbudować od fundamentów.

- Howardzie, posłuchaj...

- Rozejrzymy się za jakąś sporą działką i sami rozrysujemy plany albo zatrudnimy architekta. Podobno taniej wychodzi wynająć architekta, bo na podstawie tego, jakimi jesteśmy ludźmi i jakie wiemy życie, architekt potrafi zdecydować, co jest w domu faktycznie potrzebne.

- A jakimi jesteśmy ludźmi, Howardzie?

- Chyba przeciętnymi. W niektórych sprawach nam się poszczęściło, w innych nie... O nic więcej nie możemy prosić. To miasto ma nazwę od feniksa. Pamiętasz, kim on był?

- Ptakiem - odparła. - Pięknym, jaskrawo upierzonym ptakiem, jedynym w swoim rodzaju. Umierał, stając w płomieniach, i na nowo odradzał się z własnych popiołów, żeby zacząć życie od nowa... - Odwróciła się od okna, pozwalając zasłonie wrócić na swoje miejsce. - Porucznik Gallantyne wychodzi od Brantów. Poproś, żeby tu przyszedł, dobrze?

- Po co?

- Chciałabym powiedzieć mu wszystko, co do tej pory zataiłam: o Jessie i jakie wiązałam z nią plany, o Davie, nawet o tych dwudziestu dolarach, które jej ofiarowałeś. Nie możemy już niczego ukrywać ani przed sobą, ani przed innymi ludźmi. Poprosisz go tutaj?

- Dobrze.

- Będzie to trochę jak śmierć w płomieniach, ale wytrzymam, jeśli i ty wytrzymasz.

Usiadła na kanapie i czekała, rozmyślając, jak dziwnie będzie codziennie robić Howardowi śniadania.

Dziewczynka szła w jego stronę po łuku torów. Była wyższa, niż ją zapamiętał, i nie skakała zwinnie po torze, jak

to miała w zwyczaju. Szła po podkładach pomiędzy torami, wolno i niezgrabnie, udając, że nie zna tej drogi. Zawsze lubiła płatać różne figle, ale tego numeru jeszcze nigdy nie robiła. Fakt, że była noc, również wiele zmieniał. Nie mogła być w drodze z albo do szkoły, musiała przyjść tu specjalnie dla niego, szukając guza. Niczego się nie bała - ciemności, psów, pijaków, pociągów, a już najmniej - Charliego. Wiedziała, kiedy i gdzie jeżdżą pociągi, wiedziała, że psy są w klatkach, pijacy chcą tylko, żeby dać im spokój, a na groźby Charliego - podobnie jak na puste puszki i butelki walające się przy torach - nie zwracała uwagi. Na wszystko miała odpowiedź: to nie jego tory, Charlie nie ma nad nią władzy, to wolny kraj, może robić, co tylko jej się podoba, a jeśli zgłosi ją na policję, to sama powie im, że chciał w niej zrobić dziecko, i jeszcze ją popamięta, cha, cha.

Jej język szokował Charliego, a jej tupet go dezorientował. Czasami jej jednak zazdrościł, jakby kiedyś chciał być taki jak ona: To wolny kraj, Ben, i mogę robić, co mnie się żywnie podoba. Nie masz nade mną władzy... Nigdy jednak nie zdołał użyć tych słów. Znikały mu z języka jak sól, pozostawiając po sobie tylko daleki posmak i pragnienie.

Stał bez ruchu, obserwując zbliżającą się dziewczynkę. Dziwił się, jak szybko urosła i jak nieporadne stały się przez to jej ruchy. Kuśtykała i potykała się, upadała na jedno kolano i wstawała. Nie, tego nie byłaby w stanie udawać. Ta zwinna, nieustraszona i wyszczekana dziewczynka stawała się kobietą, coraz bardziej ograniczaną rozwijającym się ciałem i świadomością, co może się stać. W ciemności kryło się niebezpieczeństwo, pijacy po wytrzeźwieniu stawali się groźni, psy mogły uciec, pociągi - jechać niezgodnie z rozkładem, a Charliego należało brać poważnie.

- Charlie?

W którymś momencie swojego dorastania poznała jego imię. Ucieszył się z tej oznaki szacunku, ale zmiana w jej głosie zaniepokoiła go. Wydawał się taki cieniutki, taki przestraszony.

Odezwał się:

- Nie zrobię ci krzywdy, dziewczynko. Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.

- Wiem.

- Skąd wiesz? Nigdy ci tego nie mówiłem.

- Nie musiałeś.

- Jak masz na imię?

- Louise - odrzekła. - Mam na imię Louise.

Gallantyne wysadził Maca na parkingu przy komendzie policji.

Mac otworzył swój samochód i usiadł za kółkiem. Nieprzyjemna scena u Branta i niespodziewane zeznanie Virginii Arlington oszołomiły go i wyczerpały.

- Jedź do domu i wyśpij się - nakazał mu Gallantyne. - Nie nadajesz się do tej roboty.

- Wolę działać na sali sądowej, w świecie rządzącym się jaśniejszymi prawidłami.

- Jak dzidzius w piaskownicy, co?

- Niech ci będzie.

- Kłopot z prawnikami polega na tym, że tak przyzwyczaili się do tych wszystkich przepisów, że bez zajrzenia do kodeksu nie potrafią nic zrobić. A policjant musi improwizować.

- Twój dzisiejszy koncert nie przypadł mi do gustu - skrzywił się Mac. - Może powinieneś zacząć brać lekcje.

- Czyli nie podoba ci się, jak traktowałem Branta?

- Nie.

- Ale dotarłem do niego, nie?

- Połamaleś go na maleńkie kawałeczki. Proponuję, żebyś zainwestował jednak w jakiś kodeks.

- Mam kodeks. Tyle że trzymam go w kieszeni niedzielnych spodni, żeby się nie zniszczył. Dajmy już temu spokój, Mac. Jesteśmy starymi kumplami, nie chcę się z tobą sprzeczać. Bierzesz wszystko za poważnie.

- Doprawdy...?

- Dobranoc, Mac. Wracaj do piaskownicy.

- Dobranoc. - Ziewnął, szeroko i z rozmysłem. - A jeśli znowu wpadniesz na jakiś trop, nie kłopotz się. Mój telefon i tak będzie odłączony.

Wyjechał z parkingu, licząc na to, że ziewnięcie wyglądało autentycznie i że Gallantyne'owi nie przyjdzie do głowy, iż wcale nie wybiera się do domu.

Zegar na gmachu sądu zaczął wybijać pełną godzinę. Dziesiąta. Kate będzie już spała, zamknięta w swoim wielkim domu, z którego wszystko już rozkradziono. Będzie musiał ją obudzić i porozmawiać z nią, zanim Gallantyne zdąży się nad tym zastanowić: skąd mogła wiedzieć o romansie Branta i Virginii Arlington? Nie plotkowała z sąsiadkami, nie bywała na przyjęciach, nie chadzała do barów, nie miała przyjaciół. Zostawał więc tylko jeden sposób, jeden jedyny sposób, w jaki mogła się tego dowiedzieć.

Spodziewał się, że zastanie dom pogrążony w zupełnych ciemnościach, ale światło paliło się w kuchni, w jednym z pokoi na piętrze

i w przedpokoju. Nacisnął dzwonek, przyciszony ze względu na Sheridana, tak jak ze względu na niego zamknięte były drzwi, a żaluzje spuszczone. On wciąż tu jest, pomyślał Mac. Wszystkie kroki mające na celu zaprzeczenie jego istnieniu tylko je podkreślają. Gdyby choć raz zapomniała zamknąć drzwi czy spuścić żaluzję, znaczyłoby to, że zaczyna o nim zapominać.

Za drzwi dobiegł głos Mary Marthy: - Kto tam?

- Mac.

- Och. - Otworzyła drzwi. Nie wydawała się ani śpiąca, ani zaskoczona. Policzki miała zarumienione, jak po intensywnym bieganiu, ubrana była w sukienkę, której nigdy wcześniej nie widział; wyjściową, z jakiegoś cienkiego, jedwabistego materiału, tak niebieskiego jak jej oczy. - Jesteś za wcześnie. Ale wejdź, wszystko jedno.

- Spodziewałaś się mnie?

- Niezupełnie. Ale mama powiedziała, że punktualnie o jedenastej mam do ciebie zadzwonić i zaprosić cię tutaj.

- Po co?

- Nie pytałam. Bo wiesz co? Ja nigdy w życiu nie czuwałam aż do jedenastej.

- Twoja mama musiała mieć jakiś powód. Dlaczego jej o to nie spytałaś?

- Nie mogłam. Była tak zdenerwowana, że jeszcze zmieniłaby zdanie i nie pozwoliłaby mi tak długo nie spać i bawić się.

- A gdzie ona teraz jest?

- Śpi. Strasznie ją bolało, więc wzięła garść tabletek i poszła spać.

- Kiedy? Kiedy je wzięła? Jakich tabletek?

Dziecko zaczęło odsuwać się od niego, z oczyma wielkimi ze strachu. - Ja nic nie zrobiłam, nic a nic!

- O nic cię nie oskarżam.

- Właśnie, że oskarżasz.

- Nie. Posłuchaj, Mary Martho. - Mówił już cicho, zmusił się też do uśmiechu. - Wiem, że nic nie zrobiłaś. Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką. Powiedz, w co się bawiłaś, zanim przyszedłem?

- W gwiazdę filmową.

- Udawałaś, że jesteś gwiazdą filmową?

- Nie, jej siostrą.

- A kto był gwiazdą?

- Nikt. Znaczą się, nikt prawdziwy - dodała pośpiesznie. - Jak byłam mała, miałam mnóstwo wymyślonych przyjaciół. Czasami wciąż się z nimi bawię. Nie zauważyłeś mojej nowej sukienki...

- Ależ zauważyłem. Jest bardzo ładna. Mama ci ją uszyła?

- O, nie. Kupiła dzisiaj w sklepie. Kosztowała kupę pieniędzy.

- Ile?

Zawahała się. - No, nie powinnam tego rozgłaszać, ale skoro to tylko ty, to chyba mogę. Kosztowała prawie dwadzieścia dolarów. Ale mama mówi, że jest tego warta. Chciała, żebym miała prawdziwą kupną sukienkę na jakąś specjalną okazję, na przykład gdybym spotkała Sheridana. Wtedy przekonałby się, jak mama dobrze się mną zajmuje i jak bardzo mnie kocha.

Gdybym spotkała Sheridana. Słowa te wciąż kołatały mu się w głowie. Wiedział, co to za specjalna okazja, Kate wielokrotnie mu to powtarzała: Zobaczy się z Mary Marthą po moim trupie, nie wcześniej.

- Louise? - Charlie wpatrywał się w ciemności, osłaniając ręką oczy, jakby raziło go słońce. - Nie. Ty nie przypominasz Louise.

- Jest ciemno. Nie widzisz mnie dobrze.

- Widzę. Wiem, coś ty za jedna. Natychmiast złaż z tych torów, bo powiem twoim rodzicom i dyrektorowi szkoły.

- Charlie...

- Proszę cię - powiedział. - Proszę cię, wracaj do domu, dziewczynko.

- Wszystkie dziewczynki są już w domach, Charlie. To ja, Louise. Usiadł gwałtownie na krawędzi jednego z podkładów, pięściami

przecierając oczy, jak chłopiec dopiero co zbudzony ze snu. - Jak mnie znalazłaś?

- Czy to ważne?

- Tak.

- No dobrze. Widziałam, że coś cię gryzie, a czasami jak coś cię gryzie, jedziesz do hurtowni. Czujesz się tam bezpiecznie, wiesz, czego się od ciebie oczekuje, a czego nie. Widziałam, jak spoglądasz przez okno, zupełnie jakbyś chciał znaleźć się w środku. Dla mnie podobną funkcję spełnia biblioteka. Żadne z nas nie jest specjalnie odważne czy silne, ale nie poddajemy się bez walki.

- Ja nie mam o co walczyć.

- Masz życie - oświadczyła. - Samo życie.

- Już nie za długo.

- Charlie, proszę cię...

- Posłuchaj mnie. Widziałem to dziecko wczoraj, rozmawiałem z nią. Nie wiem... nie ręczę za to, co stało się potem. Może ją przestraszyłem. Może zaczęła krzyczeć, a ja chciałem ją uciszyć i to właśnie zrobiłem.

- Dowiemy się tego. Niedługo wszystko sobie przypomnisz. Nie martw się tym.

- Kilka godzin temu wszystko wydawało się takie jasne. Byłem świadkiem. Świetnie się z tym czułem, po swojej stronie miałem prawo i ludzi, miłych ludzi. Ale oczywiście nie mogło to długo trwać.

- Czemu nie?

- Bo oni nie są po mojej stronie i nigdy nie będą. Słyszę ich, w mojej głowie słyszę, jak krzyczą: Łapcie go, trzymajcie go, zabił ją, zabijmy go za to.

Milczała. W oddali dał się słyszeć ostrzegawczy gwizd nadjeżdżającego pociągu. Przez chwilę myślała, żeby wejść z Charliem na tory i stać tam, aż pociąg nadjedzie. Potem

wyciągnęła rękę i sięgnęła po jego dłoń. - Chodź, Charlie. Idziemy do domu.

Jeszcze zanim otworzył drzwi, usłyszał ciężki oddech Kate. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami i z ramionami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wnętrza dłoni skierowane miała do góry, w niemym geście błagania. Była starannie uczesana, miała na sobie jedwabną, niebieską sukienkę, której Mac nigdy wcześniej nie widział. Nowa sukienka i niesamowity porządek w pokoju nadawały całej scenie nierzeczywistą aurę, jakby Kate bawiła się tylko w samobójstwo, ale zabawa przeciągnęła się. Na stoliku nocnym stało pięć pustych buteleczek po pigułkach i zaklejona koperta. Nie było na niej żadnego imienia, ale Mac założył, że adresowana jest do niego, bo to do niego Mary Martha miała dzwonić o jedenastej.

- Kate. Słyszysz mnie, Kate? Karetka jest już w drodze. Wszystko będzie dobrze. - Przytulił twarz do jej dłoni. - Kate, najdroższa, już dobrze. Nie umieraj. Kocham cię, Kate.

Pokręciła głową i Mac nie wiedział, czy protestuje przeciwko zapewnieniom, że wszystko będzie dobrze, czy przeciwko twierdzeniu, że ją kocha.

Jęknęła i rzuciła kilka niezrozumiałych słów.

- Nic nie mów, Kate. Oszczędzaj siły.

- Wina... Sheridana.

- Cii, najdroższa. Nie teraz.

- To Sheridan...

- Wszystkim się zajmę, Kate. O nic się nie martw...

Karetka wkrótce przyjechała i odjechała, w cichej okolicy jej syrena brzmiała głośno i obco. Mary Martha stała na ganku, patrząc, jak jej czerwone światła znikają we mgle. Weszła z Makiem do domu. Wydawała się nie tyle przestraszona, co zaciekawiona.

- Mac, dlaczego mama zachowywała się tak dziwnie?



- Wzięła za dużo pigułek.
- Po co?
- Jeszcze nie wiemy.
- Nie będzie jej dzień, dwa?
- Może nawet więcej. Nie jestem pewny.
- I kto się mną zajmie?
- Ja.

Obrzuciła go długim, badawczym spojrzeniem, jakie często widywał w wykonaniu Kate, gdy patrzyła na Sheridaną.

- Nie możesz. Jesteś tylko mężczyzną.
- Na świecie są różni mężczyźni, Mary Martho - oznajmił
- podobnie jak różne bywają kobiety.
- Moja mama jest innego zdania. Mówi, że wszyscy mężczyźni są tacy sami i robią złe rzeczy, jak Sheridan i pan Brant.

- Wiesz, co zrobił pan Brant?
- Tak jakby, ale nie wolno mi rozmawiać o Brantach, nigdy, przenigdy. Złożyłyśmy z mamą uroczystą przysięgę.

Mac pokiwał poważnie głową. - Jako prawnik, szanuję uroczyste przysięgi. Studiowałem też jednak historię i wiem, że niektóre z nich przynoszą same nieszczęścia, więc trzeba je złamać.

- Ale mnie chce się spać. Lepiej już się położyć.
- Dobrze. Załóż piżamę, a ja przyniosę ci gorącej czekolady.
- Nie lubię gorącej czekolady... znaczy się, jestem na nią uczulona. Tak czy siak, nie mamy czekolady.
- Gdy ktoś podaje mi dwa powody zamiast jednego, raczej mu nie wierzę.

- Nie szkodzi - odparła, ale jej oczy wciąż wodziły niespokojnie po pokoju. - To znaczy, czasami można powiedzieć małe kłamstewko, jeśli stara się dochować uroczystej, tajnej przysięgi.

- Tyle że ona nie jest już tajna. Wiem o niej ja, a wkrótce dowie się też porucznik Gallantyne i przyjedzie tu poszukać Jessie. I sądzę, że ją znajdzie.

- Nie. Nie znajdzie.

- Dlaczego nie?

- Bo tak.

- On znakomicie potrafi szukać.

- A Jessie znakomicie potrafi się chować. - Zamilkła, zatykając usta dłońmi, jakby chciała wepchnąć te słowa z powrotem. Potem wybuchła płaczem, kątem oka wciąż starannie obserwując Maca, żeby sprawdzić, czy udaje się wziąć go na litość. Nie udało się, więc otarła łzy i oświadczyła z wyrzutem: - Wszystko zepsułeś. Miałyśmy zostać siostrami. Miałyśmy iść do college'u i zdobyć dobrą pracę, żebyśmy nie musiały czekać na listonosza z czekiem. Mama mówi, że załatwi wszystko tak, żebyśmy nie musiały nigdy zależeć od złych mężczyzn, takich jak Sheridan i pan Brant.

- To, co mówiła twoja mama, nie było zbyt mądre.

- Mnie i Jessie wydawało się to bardzo mądre.

- Macie po dziewięć lat. - Kate również, pomyślał, wyobrażając sobie wczorajszą scenę: Jessie w szoku, Mary Martha spragniona towarzystwa i Kate, ogarnięta żądzą zemsty na całym męskim rodzie. Moment, gdy Jessie pojawiła się na jej progu z opowieścią o Virginii Arlington i swoim ojcu, musiał być w życiu Kate jednym z tych przełomowych. Był to jednak tylko moment, więc nie mógł trwać długo. Po nocy i dniu spędzonych na jego przedłużaniu, Kate wpadła w panikę.

Nie wiedziała, co począć. Nie miała pieniędzy, żeby uciec z obiema dziewczynkami, a ukrywać Jessie mogła tylko przez kilka dni. Nawet w swoim chorym umyśle musiała zdawać sobie sprawę, że gdyby ją złapano, Sheridan dostałby w ręce

wystarczający dowód na to, że jest niezdolna do pełnienia obowiązków rodzicielskich.

Tylko trzy konspiratorki - Kate, Mary Martha i Jessie, wszystkie trzy niewinne, wszystkie trzy liczące sobie po dziewięć lat - ale Macowi cały czas nasuwały się skojarzenia z trzema wiedźmami z „Makbeta” mówiącymi: Kiedy się tu spotkamy jeszcze? (W przekładzie Macieja Słomczyńskiego.) Z zalem uświadomił sobie, że może nigdy więcej...

- Lepiej idź do Jessie i powiedz jej, że zabieram ją do domu - zasugerował.

- Ona śpi.

- Więc ją obudź.

- Nie będzie chciała wracać do domu.

- Jestem prawie pewny, że będzie chciała.

- Wszystko psujesz - oznajmiła. - Wszystko, co z mamą zaplanowałyśmy.

- Przykro mi, że tak uważasz. Chciałbym pozostać waszym przyjacielem.

- Ale nie możesz. Nigdy, przenigdy. Jesteś tylko mężczyzną.

Gdy poszła, Mac otworzył list, który wziął ze stolika nocnego Kate, zanim jeszcze przyjechała karetka. Napisała tylko jedno zdanie: „Zawsze chciałeś ujrzeć mnie martwą, to powinno cię usatysfakcjonować”.

Od razu zdał sobie sprawę, że list przeznaczony był dla Sheridana, nie dla niego. O nim nawet nie pomyślała. Pierwszą i ostatnią myślą Kate zawsze był Sheridan.

Długo stał z kartką w dłoni, słuchając, jak stary dom skrzypi pod naporem wiatru. Zdawało mu się, że wśród skrzypień i trzasków słyszy w przedpokoju kroki Sheridana.